

Knud Romer  
Ten, kto  
MRUGNIE, BOI SIĘ ŚMIERCI  
Tłumaczyła Bogusława Sochańska  
Replika

Tytuł oryginału Den som blinker er bangefer doden  
Copyright © Knud Romer + Athene/Aschehoug, Denmark 2006  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Projekt okładki Dariusz Jasiczak  
Redakcja Magdalena Wójcik  
Skład i łamanie Paweł Uniejewski  
Wydanie I ISBN 978-83-60383-82-7  
Wydawnictwo Replika  
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 0618944151  
replika@replika.eu  
www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Andrei

Zawsze bałem się dziadka ze strony mamy, tylko strach, żadnych innych uczuć. Znałem go jako Papę Schneidera. Czy jeszcze jakoś się nazywał i jak miał na imię, nie wiedziałem, nie miało to zresztą znaczenia i tak nigdy nie przyszłoby mi do głowy zwrócić się do niego po imieniu. Nie był człowiekiem, do którego mówi się po imieniu.

Papa Schneider miał na twarzy kilometry blizn, wszystkie na lewym policzku, to przez pojedynki z ubiegłego stulecia; należał do Schlagerverein\*. Członkowie Schlagerverein stawali naprzeciwko siebie i bronili swojej godności, tnąc się nawzajem szablami po twarzach – bez zmrużenia oka, lewa ręka założona na plecy. Miał czarne, przetykane siwizną, zaczesane do tyłu włosy i wysokie skronie. Wystarczyło tylko spojrzeć mu w oczy, a już czuł się wyzwany: Sie ha-ben mich fixiert, mein Herr\*\*. Patrzył zawsze prosto przed siebie, nie wiem, czy ktokolwiek, kto napotkał jego spojrzenie, dobrze na tym wyszedł. Z wyjątkiem \*Z niem.: Schlagerverein – Stowarzyszenie Szermierzy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\*Z niem.: Pan zmierzył mnie wzrokiem, mój panie!

7

babci. To, że potrafiła patrzeć Papie Schneiderowi w oczy, było w niej wielkie – mama tego nie robiła – tylko babcia była jego słabym punktem, ukrywał to przed wszystkimi, poza tym był twardy i nieprzenikniony. Rządził niepodzielnie u szczytu stołu w naszej jadalni, gdzie na ścianie wisiał portret rodzinny. Był oprawiony w złotą ramę i przedstawiał leśny pejzaż. Na tle prześwitu Papa Schneider siedzi na trawie obok babci z książką w ręku i patrzy prosto przed siebie, babcia tuli w ramionach niemowlę, a mama, jeszcze dziewczynka, trzyma na smyczy myśliwskiego psa, Bello. Książka, dziecko i pies, role zostały rozdzielone – Papa Schneider uosabiał ducha i kulturę, kobieta – rodzenie dzieci, a dzieci były bliżej natury i należało tresować je jak psy. W czasie posiłków siedziałem wyprostowany, ręce na stole, serwetka pod brodą, jak gdyby Papa Schneider jadł z nami i nie spuszczał ze mnie oka. Gdybym cokolwiek zrobił nie tak, przekroił nożem kartofel albo odezwał się niepytany, wbiłby mi w rękę widelec, byłem tego pewien.

Papa Schneider był najsilniejszym człowiekiem, jakiego znałem, uosabiał wszystko, co ostre, twarde, bolesne. Był guzikiem u kołnierzyka koszuli. Zębami grzebienia w czasie czesania na mokro. Zdrapanym naskórkiem i strachem, że się spóźnię. Nie zwracałem się do niego po imieniu i nie robił tego też nikt inny. Zresztą myślę, że nikt nie wiedział, jak dziadek ma na imię, ani się nad tym nie zastanawiał. On je-

8

den posiadał tę wiedzę niby jakaś przerażająca tajemnicę – i najbardziej ryzykowną stawkę w grze. Bo gdyby któregoś dnia usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, wiedziałby kto. Poza nim samym jego imię znał tylko Bóg. Babcia ze strony mamy eksplodowała w czasie wojny w piwnicy pełnej oczyszczonej benzyny. Nazywała się Damaris Dora Renata Matthes i była jedną z

najpiękniejszych kobiet w Niemczech, mama mawiała, że była piękna jak grecki posąg. Gdy oglądaliśmy jej zdjęcia, wydawało się, że to pocztówki przedstawiające eksponaty jakiegoś muzeum. Jej pierwszy mąż i wielka miłość, Heinrich Voll, zmarł w czasie operacji ślepej kiszki i zostawił ją samą z córką. Rok 1924 nie był dobrym momentem na to, by zostać samotną matką. Swojej urodzie babcia zawdzięczała ponowne zamażpójście, poślubił ją Papa Schneider.

A teraz jego piękna żona była poszarpana na kawałki i poparzona i to, co z niej zostało, żyło w piekle wojennej chirurgii. Pozszywali na niej strzępy skóry i smarowali tranem, bo lekarzowi przyszedł do głowy obłąkany pomysł, że tran wspomogł gojenie ran i lepiej, żeby skóra nie wysychała. To były tortury, babka chodziła nad brzegami Łaby, przez ten ból chciała się utopić i krzyczała i krzyczała: „Mein Gott, warum lapt du mich nich sterben?“\* Dwa razy próbowała popełnić samobójstwo, zabić te resztki, które z niej

\* Z niem.: Boże, dlaczego nie pozwalasz mi umrzeć?

9

zostały, ale nie dawały się zabić, i w końcu zakryła twarz woalką, pogodziła się z bólem i wstydem i żyła dalej jak zniszczony przedmiot.

Nie ciekawiło mnie, jak wygląda, bo nie porównywałem jej z innymi babkami. Przeciwnie, inne babki porównywałem z nią – i byłem zdania, że te wielkie uszy i nosy wyglądają dziwnie. Gdy rodzice zabierali mnie do muzeum, albo gdy byłem z klasą na wycieczce w Glyptotece, wędrowałem po salach i znajdowałem babcię na postumentach, bez nosa, bez uszu, bez rąk, bez nóg. Była dla mnie klasyczną pięknoscą z twarzą zastygłą w bezustym uśmiechu, zupełnie jak twarze posągów. Babcia była skora do płaczu, płakała, gdy przyjeżdżaliśmy w odwiedzin, i płakała, machając chusteczką, gdy ruszaliśmy autem w powrotną drogę, a kiedy ja coś wzruszało, uroczystości, sentymentalne filmy, powtarzała zawsze: „Ich bin so geriihrt“\* – i płakała. Latem siadywaliśmy w ogrodzie, a ja czytałem na głos fragmenty romantycznych powieści Eichendorffa, Keyserlinga, Roberta Walsera. „Ach, wie schön“\*\* – mówiła, gdy opowieść się kończyła, i po twarzy płynęły jej łzy. Kochałem ją i żywiłem dla niej bezgraniczną czułość, gdybym mógł, zdjąłbym gwiazdy z nieba – i pewnego dnia to zrobiłem.

Pojechałem rowerem piętnaście kilometrów na bagna do lasu Hanenov Skoven, pod drzewami za-

\*Z niem.: Jestem taka wzruszona. \* Z niem.: Ach, jak pięknie.

10

czynano już być ciemno. Woda była czarna i nieprzyjemna i wtedy nagle udało mi się dostrzec je w krzakach: robaczki świętojańskie! Zabrałem je z sobą do domu i gdy wszystko już było gotowe, poprosiłem babcię, żeby podeszła do okna i wyjrzała do ogrodu. A tam robaczki świeciły w mroku, migotały na trawniku jak gwiazdy na niebie, jak grupa Oriona. Długo tak staliśmy i patrzyliśmy, aż wreszcie zaczęły się rozłazić, grupa Oriona rozsypała się, świeciła coraz słabiej, i w końcu znikła. Spoglądałem na babcię i czekałem w napięciu, nie było nic lepszego, niż usłyszeć te słowa: „Ich bin so geruhrt“.

To, że dziadek ze strony ojca stworzył linię autobusową w mieście, które było na to za małe, i w czasie, gdy ludzie nie mieli pieniędzy, było typowym przejawem jego optymizmu. Nie trwało długo, nim zainteresowanie nowością znikło i autobus zaczął świecić pustkami. Dziadek przerobił przystanki, ustawił więcej szyldów, pozmieniał godziny odjazdu i obniżył ceny biletów, ale nic to nie pomagało. Cały czas było pod górkę, dziadek wstawał każdego ranka, by przeżywać upokorzenie, siadał w kaszkiecie za kierownicą i jeździł w kółko po mieście, bez jednego pasażera.

Był uparty, zamiast uczyć się na błędach, dla ratowania inwestycji podwajał stawkę, taką miał przypadłość. Nie było mowy, żeby zamknął interes, przeciwnie, teraz właśnie należało działać! Rozbudował park maszynowy i sieć połączeń – i trasa nie była

11

już za krótka, teraz była o wiele za długa, a przede wszystkim kończyła się w miejscu, do którego nikt nie chciał jeździć: w Marielyst\*.

To było Las Vegas mojego dziadka, on jeden wierzył, że Marielyst jest nowym Skagen\*\*, kurortem i miejscowością wypoczynkową – i goście będą walić z Kopenhagi, z Niemiec, i ktoś będzie musiał ich wszystkich dowieźć na miejsce, tylko poczekajcie! W Marielyst nie było wtedy nic poza zbankrutowanymi majątkami, piaszczystymi polami, groblami, na których hulał wiatr, i jednym jedynym pomostem do kąpieli przy pensjonacie, który przez większość roku stał

pusty. Dziadek stworzył swoją wielką linię autobusową w pustce. „Dzisiaj przyjadą” – mówił, zapalał silnik i ruszał do Marielyst, a gdy wieczorem wracał do domu, nie sprzedawszy ani jednego biletu, powtarzał: „Jutro”. Przy kolacji puszczał wodze fantazji, bąbał o pięknie przyrody, o złocie, o zielonych lasach i zagranicznych gościach już szykujących się do wyjazdu, a tymczasem okazywało się, że dziś to jutro, a jutro – za rok i jeszcze rok, i im uboższy był stół, tym więcej rozprawił.

Od czasu do czasu zdarzały się jasne chwile i na przystanku przy szosie stali ludzie, dziadek naciskał pedał gazu, ale gdy dojeżdżał, okazywało się,

\* Dziś miejscowość wypoczynkowa, nad morzem, bardzo popularna wśród Niemców.

\*\* Najbardziej znana duńska miejscowość wypoczynkowa, położona na północy Półwyspu Jutlandzkiego, popularna od przełomu XIX i XX w.

12

że nic z tego. Gdy to się zdarzyło pierwszy raz, na sekundę stanęło mu serce, otworzył drzwi i uchylił czapki, ale na jego: „Tam i z powrotem?” odpowiedzieli: „Tylko tam” i ze śmiechem wepchnęli mu do środka jakieś pudła pełne kur. Z czasem stało się to darmową rozrywką we wsiach i zagrodach na trasie przejazdu autobusu, zwłaszcza dla dzieci – ustawiały się tak, żeby musiał stanąć, ale nikt nie chciał nigdzie jechać.

W końcu dziadek przestał się zatrzymywać, jeździł w tę i z powrotem z przyzwyczajenia i po to, by mieć jakieś zajęcie, a wieczorem zasiadał przy stole i trochę poopowiadał o rozwoju idei spędzania czasu na wolnym powietrzu, która niedługo miała stać się modna – inwazja turystów była tuż-tuż! – ale sam już w to prawie nie wierzył i nie wiedział, co robić. Nie udawało mu się unikać wierzycieli i utrzymywać rodziny; klepali biedę, aż któregoś ranka powiedział to, co wszyscy powtarzali przez cały czas: „Nie przyjadą”, i ruszył w trasę po raz ostatni.

Jechał szosą z Gedser przez Vaeggerløse i minął stację kolejową, gdzie na przystanku, podobnie jak tyle już razy, stał jakiś młody człowiek. Dziadek nie zatrzymał się, dlaczego miałby się zatrzymywać? Ale tym razem było inaczej, mężczyzna zaczął biec, krzyczeć i machać kapeluszem, chciał jechać! Dziadek otworzył drzwi i młody człowiek wsiadł do autobusu. „Guten Tag!” – powiedział, kupił bilet w jedną stronę i wysiadł przy pensjonacie. „Kąpielisko bałtyc-  
\*Z niem.: Dzień dobry.

13

kie Marielyst” – powiedział dziadek po niemiecku i życzył gościowi „einen guten Aufenthalt!” – ćwiczył to latami, a teraz, gdy mogło się przydać, było już, oczywiście, za późno.

Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać, patrzył na groble porośnięte wydmuchrzycą i na biały piasek i zielony pas wody i błękitne niebo. Widział na plaży tysiące turystów kąpiących się i bawiących na piasku, w jego spojrzeniu Bałtyk wylewał się na brzegi. A potem zawrócił do miasta i odstawił autobus – i tak to się skończyło. Usiadł na ławce przy stacji kolejowej i już tam pozostał, patrzył na pociągi, które mijały go i zabierały mu życie. Było lato 1914 roku, Carl Christian Johannes poddał się.

Wyspa Falster leżała w rzeczywistości pod powierzchnią morza, istniała jedynie w świadomości ludzi, bo nie chcieli myśleć, że jest inaczej. Ale gdy już nie potrafili utrzymać postawy pionowej i kładli się do snu, woda po cichutku wzbierała, zalewała groble i pola i lasy i miasta i oddawała ład Bałtykowi. A ja nie spałem, patrzyłem, jak się zbliża, patrzyłem przez okno na wielką wodę, która wypełniała ogród – wśród domów i drzew pływały ryby – a Nykobing żeglowało w oddali poprzez noc niczym okręt wojenny. Niebo pełne było rozgwiazd, liczyłem je, liczyłem – i wpływałem w sen. Rankiem woda wycofywała się, a ludzie budzili się w swoich

\* Z niem.: Udanego pobytu.

14

łózkach i wstawali, by spędzić jeszcze jeden dzień, przekonując się wzajemnie o tym, że istnieją i że istnieje Falster, i że wszystko to znajduje się na mapie kraju. Miasto pachniało morzem i rybami – na ulicach leżały wodorosty i wyrzucone przez morze meduzy – od czasu do czasu znajdowałem muszle albo skamieniałe jeże morskie i chowałem je do szuflady razem z innymi dowodami, jakie zebrałem, na istnienie Atlantydy.

W naszym domu była dziurka i gdy się do niej przystawiało ucho, słychać było głosy i muzykę. To grało radio tranzystorowe. Stało w kuchni brudne od tłustych

oparów, antena trzymała się dzięki taśmie klejącej, mama słuchała go przez cały dzień, gdy ojciec pracował w biurze. Poza mną było to jej jedyne towarzystwo, zmywała, słuchając „Państwo dzwonią, my gramy”, gotowała obiad przy „Dzielnicy Karlsena”, polerowała srebra do „Kiedy to było, gdy się zdarzyło?” i odkurzała z cygaretką w ustach i kieliszkiem wódki w ręce przy południowym koncercie. Muzyce Beethovena i Brahmsa i Czajkowskiego towarzyszyły odgłosy odkurzacza Nilfisk, długimi pasażami rytmicznego buczenia splatały się z nią w przedpokoju i krótkimi, mocnymi uderzeniami w jadalni, gdzie dywan wymagał dodatkowej obróbki. Gdy już było cicho i czysto, mama posyłała mnie do garażu z torebką pełną kurzu i cała muzyka i kaszel i głosy i salwy oklasków lądowały w kubie na śmieci. Uniosłem pokrywę i zajrzałem do środka

15

– wymknęło się kilka taktów pastorałe, cuchnęły pleśnią i fermentującymi jabłkami. Zatrzasnąłem pokrywę i wszystkie tony ucichły, ojciec nie lubił muzyki.

Od czasu do czasu zimą zaczynało być naprawdę zimno i wtedy wiedziałem, że czas na wycieczkę do Niemiec. Jechaliśmy odwiedzić przyrodną siostrę mamy, ciotkę Evę, jej męża, wuja Helmuta, i ich trzech synów, Axela, Reinera i Clausa. Mama i ojciec napakowali auto ciepłą odzieżą, walizkami i prezentami, i wskakiwałem na tylne siedzenie za mamę, która zrobiła na drogę kanapki. Ojciec dwa razy sprawdzał drzwi wejściowe, zamykał furtkę i ostatni raz zaglądał do bagażnika, wszystko było jak trzeba. I wciskał się za kierownicę w kapeluszu i w rękawiczkach do jazdy samochodem – miał za długie nogi na to, by móc siedzieć wygodnie – poprawiał lusterko i odczytywał licznik paliwa i kilometrów. Powiedział, że pokazuje dokładnie dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt cztery i pół kilometra i zapisał to – i godzinę – w kalendarzu; wyjeżdżaliśmy o dwie minuty za późno, a trzeba było zdążyć na prom. „Paszporty, pieniądze, papiery” – mówiliśmy chórem, a potem ojciec przekręcał w stacyjce kluczyk, mama zapalała cygaretkę i pogłasniała w radiu informacje o ruchu na drogach i ruszaliśmy z Hans Ditlevsensgade, po czym skręciliśmy, poważnie spóźnieni.

16

Gdy na granicy sprawdzał nas oficer, zastygaliśmy, by co do joty przypominać nasze wizerunki na zdjęciach – i przez chwilę uśmiechaliśmy się w czarno--białych barwach. I po wszystkim autostrada leżała przed nami otworem. Mama popijała z nakrętki bezcłowe – śmialiśmy się i śpiewaliśmy – ojciec prosił, żeby ściszyła radio i przestała pić wódkę, dosyć już! Przed dwudziestu laty opuściła dla niego Niemcy, teraz siedziała zanurzona we wspomnieniach, patrzyła na domy i pola i zagrody, które przelatowały za szybami auta i dawały jej w odpowiedzi znaki i odwzajemniały jej spojrzenie. Odczytywała z tablic nazwy mijanych miast, po cichu, dla samej siebie, i w Michelinie śledziła palcem trasę do domu – Hamburg, Hanower, Getynga, Frankfurt nad Menem – palec służył po mapie drogowej jak łąka, aż zatrzymał się w Oberfranken.

Wzdłuż autostrady pojawiało się coraz więcej świerków, wzgórza były coraz wyższe, aż zamieniły się w góry, a gdy pokonywaliśmy ostatni, ciemny odcinek szosą, białymi płatkami sypał ciężki śnieg. Dotarliśmy do Miinchberg, mama potrząsnęła mną: „Wir sind da”<sup>\*</sup> – szepnęła, a ja obudziłem się pośród setek kilometrów papierków od cukierków. Spojrzałem za okno i zacząłem wycierać rękawem parę. Wjechaliśmy przez kutą bramę, nasze światła oświetliły podjazd wielkiego domu. Stał na wzgórzu i przypominał zamek obronny, była i wieża i park

<sup>\*</sup>Z niem.: Jesteśmy na miejscu.

17

i stare drzewa; to tu, w samym środku zimowego pejzażu, mieszkała rodzina Hagenmiillerów.

Z głównych schodów schodzili, machając do nas, ciotka Eva i wuj Helmut, synowie stali w szyku, mieli krótkie, jasne włosy i kanty na spodniach i kłaniali się i witali i podawali rękę, jakby ich kto nakręcił – „Griip Gott, Tante Hilde, Grup Gott, Onkel Knut, Gru(3 dich, Vetter Knudchen!” Ciotka Eva dała mi w policzek spiczastego całusa:

– Na, Kleiner Knut, fróliche Weihnachten<sup>\*</sup> – jej głos łamał świąteczne życzenia na małe, ostre kawałeczki. Przywitała się z ojcem i na koniec odwróciła się w stronę mamy:

– Schau mai einer an, das Hildermauschen<sup>\*\*</sup>.

– Ach, Evamauschen! – wykrzyknęła mama i padły sobie w ramiona i nienawidziły się ponad wszystko.

Lubiłem spośród nich tylko wuja Helmuta, który był niski i okrągły i chodził pochylony do przodu, bo bolał go kręgosłup. Miał zielone oczy i nosił okulary – gdy szczypał mnie w policzki i kłuł palcem w brzuch, żeby wywołać mój śmiech, byłem pewien, że potrafi przejrzeć mnie na wskroś i że robi inspekcję mojego szkieletu i moich organów – tak jak lekarz, gdy każe zakaszleć. Śmiałem się i śmiałem i już zaczynałem czuć, że nadchodzi przeziębienie, więc wuj Helmut posłuchał mnie i pomyślał i postawił diagnozę, a potem wyjął z kieszeni cukierek \* Z niem.: No, Knudziku, wesołych świąt. \*Z niem.: Hilduniu, kołeczku.

18

i wsadził mi go do ust. Cukierek smakował kamforą, wuj powiedział, że jest dobry na większość chorób. Weszliśmy do domu.

Wuj Helmut był radiologiem, całymi dniami robił ludziom zdjęcia rentgenowskie i mówił im, czy będą żyć, czy nie. Przychodził do domu na lunch i wypijał kieliszek, a potem wracał do pracy i dalej robił zdjęcia, a przez jego klinikę przewinęło się całe miasto, obcy i znajomi i przyjaciele i rodzina – prędzej czy później przychodziła kolej na wszystkich. Zdziarało go to, był coraz bledszy – od lampy błyskowej, która ukazywała rzeczy w prawdziwym świetle – i coraz bardziej bolał go kręgosłup i kaszlał i kurczył się. Wieczorem po kolacji wycofywał się w milczeniu, wchodził ciężko po schodach z butelką wina i zamykał się w swoim pokoju na poddaszu, żeby, jak się mówiło, studiować. Nikt nie wiedział co – wuj studiował nauki tajemne.

Wierzył w duchy i miał po temu powody. Jako siedemnastolatek został wysłany na wschodni front i szedł na Stalingrad, a dwa miliony zmarłych później maszerował w rosyjską zimę z powrotem i stracił trzy palce u nóg i rozum. Widział swoich przodków trzymających nad nim ręce i ochraniających go przed kulami i przed zimnem, i choć wrócił żywy, nigdy nie wrócił do końca. Żył ze swoją rodziną w przeszłości, w otoczeniu duchów, które widział tylko on, po wojnie zostały mu jedynie halucynacje z minionego życia.

Latami zbierał rodzinne pamiątki, antyki i każdą rzecz, którą znalazł, ustawiał w rogach pokoi i na

19

komodach i wieszał na ścianach i urządzał w domu rodzinne mauzoleum. Wypełniały je relikwie dziadków, pradziadków i prapradziadków, aż po zbroję, którą ustawił na szczycie schodów – nocami chodziła po domu i chrząściła, a wuj Helmut lunatyko-wał, maszerując przez nigdy niekończącą się zimę. Synom dał z okazji konfirmacji herbowe pierścienie, które należały do rodziny, a potem umieścił ich wśród portretów i zbroi i sreber, i tkwili tam bez szansy na ucieczkę, a ich los był przypieczętowany herbową pieczęcią i czerwonym lakiem.

Zazdrościłem im, czułem się pozbawiony mojej części historii, a któregoś dnia przed Gwiazdką wuj Helmut kazał mi przyjść po kolacji do jego pokoju, miałem dostać coś więcej niż pierścień, wuj mrugnął do mnie. Czas włókł się niemilosiernie, rodzina nie chciała skończyć kolacji, jedzenie deseru trwało i trwało, roztopił się na talerzach, aż wreszcie wuj powiedział: „Mahlzeit”\*, odłożył serwetkę, odsunął krzesło i wstał od stołu. Wziął swoje wino i poszedł schodami na górę, a potem zamknął za sobą drzwi pokoju. A ja już przy nich stałem, zapukało moje serce – nie ręka – tak mocno waliło. Pomyślałem, że umieram, wuj Helmut otworzył drzwi i powiedział: „Dobry wieczór”.

Pokój zavalony był papierami i książkami, pod ścianami stały regały. Wuj zaczął opowiadać o różnych rzeczach – o samurajskim mieczu, który przywiózł z Japonii, o hinduskich dzwoneczkach modlitew-

\*Z niem.: Dziękuję.

20

nych, o wiszącej na ścianie broni. Usiadł za biurkiem, na którym leżały księgi parafialne i stare fotografie. Siedział przy nim nocą, studiował i rysował drzewa genealogiczne z coraz to bardziej fantastycznymi rozgałęzzeniami i powoli opróżniał butelkę wina. Nad biurkiem wisiał oprawiony w ramę z szybą wieniec, był przewiązany czarną wstążką; wuj wyjaśnił, że to warkocz jego babki, ucięty, gdy odeszła w 1894 roku, wisiał na pamiątkę po niej w salonie jego rodziców. Wuj zakaszlał, zamilkł i spojrział mi w oczy, wiedziałem, że nadeszła ta chwila, i wuj otworzył szufladę.

Powiedział, że w niemieckiej armii nie istniało słowo „wycofać się” – i położył na biurku mały kawałek metalu. Pokazał mi ranę na przedramieniu i opowiedział o bitwie, z której ten kawałek pochodził, i o marszu powrotnym przez Rosję. Gdy wojsku potrzebne było zaopatrzenie, wysyłano oddziały przednie do walki z SS,

które broniło żołnierzom dostępu do magazynów. Odbiły i utrzymywały przyczółek tyle czasu, ile żołnierzom zajmowało wykradzenie jedzenia, odzieży i amunicji, a potem szli dalej na zachód, uciekając przed zaglądą. Wuj Helmut westchnął, spuścił rękaw i podał mi kawałek metalu. Był to fragment rosyjskiego granatu ręcznego. Należał do mnie.

Wuj był nafaszerowany odłamkami, które z niego co jakiś czas wychodziły, i przy każdym spotkaniu dawał mi kolejny i dalej opowiadał o wojnie, a ja kawałek po kawałku łączyłem te historie w całość. Były to opowieści o walce o przeżycie, ale na końcu każdej był trup, wuj nic nie mógł zrobić, tylko starać się

21

przetrwac, tak długo, jak się da. Czasem opowieść stawała w miejscu, wuj gubił się w szczegółach, opisywał jakiś pejzaż czy kurtkę od munduru, na której liczył guziki. Gdy spytałem, do kogo należała, powiedział, że do kogoś, kto zginął, a potem dał mi kawałek metalu i na tym skończył kolejną opowieść.

W zasadzie nikt poza mną nie lubił wuja Helmuta. No nie, lubiła go mama, i ojciec chyba też, ale nie jego żona i dzieci. Najsilniejszym uczuciem, jakie wobec niego żywili, był strach, a w domu panowała przynębiająca atmosfera. Ciotka Eva wyszła za niego dla pieniędzy i dlatego, że był jednym z niewielu mężczyzn, jacy po wojnie byli do wzięcia. Synowie przemykali się chyłkiem jak zbite psy i potulnie robili, co kazał, wszystko w nich było udawane, gdy przymilali się, zawsze służyli pomocą i grzecznie jedli przy stole, dostrzegałem w ich ruchach koła zębate i byłem przekonany, że są mechanicznymi lalkami nakręcanymi przez strach, wymierzone policzki i areszt domowy, więc przez większość czasu zajmowałem się sam sobą.

Gdy mijala Gwiazdka i nadchodził czas powrotu do domu, ogarniało mnie cudowne uczucie ulgi, nie mogłem doczekać się momentu oddalenia się od duchów tego zimnego domu, w którym ledwie człowiek przekroczył próg, już łapał przeziębienie. Mama i ojciec znieśli walizki do auta, powiedzieliśmy „dziękuję” i „do widzenia” i po raz ostatni ustawiliśmy się na tarasie – sypał śnieg – wuj Helmut pomachał ręką i poprosił, żebyśmy się ścieśnili: ciotka Eva, Axel, Rainer i Claus, mama, ojciec i ja. A potem po-

22

wiedzieliśmy „cheese” i wuj przybliżył aparat do oka i nacisnął na wyzwalacz, a ja krzyczałem, krzyczałem, krzyczałem, ale było za późno. Zdjęcie zostało zrobione i wiedziałem, że wuj Helmut zobaczy na nim, kto z nas umrze pierwszy. Gdy wybieraliśmy się na zakupy, zawsze było tak samo. Mama wzdychała, chwytala torbę i wkładała futro – było żółte w czarne cętki, ocelot, ojciec mówił, że dobrze w nim wygląda. Jeśli ktoś zanadto się zbliżał, wyobrażałem sobie, że zostanie pożarty. Mama nakładała na głowę pasującą do futra czapkę, a potem brała mnie za rękę i smutno się uśmiechała: „So, Knidchen, jetzt gehen wir einkaufen”\*. Brałiśmy głęboki oddech, mobilizowaliśmy w sobie odwagę i wychodziliśmy do miasta.

Piekarz był kilka przecznic od nas, na Enighedsvej. Gdy weszliśmy, zrobiło się cicho, ludzie spoglądali na nas, a potem się odwracali. Staliśmy w ogonku, który wciąż się wydłużał i nigdy nie nadchodziła nasza kolej. Mama powiedziała „przepraszam” i może lekko uniosła rękę, żeby zwrócić uwagę, że teraz nasza kolej, ale nikt nie zareagował i tak to trwało, aż wreszcie sprzedawcy już dłużej nie mogli udawać, i podśmiechując się pod nosem i wymieniając spojrzenia z innymi klientami, spytali, czego mama sobie życzy.

Poprosiła o litr mleka i kostkę masła i chleb, jasny, pszenny, i razowy, gruboziarnisty. Mówiła nerwowo,

\* Z niem.: No, Knudziku, idziemy na zakupy.

23

łamaną duńszczyzną, a sprzedawcy wkładali do torebek skwaśniałe mleko, zjełczałe masło i czerstwy chleb i wydali jej za mało reszty. Mama pochyliła głowę: „Bardzo dziękuję – powiedziała – przepraszam”. Pospiesznie wyszliśmy na ulicę i nigdy już tam nie wróciliśmy. Szliśmy dalej ulicą Gronsundvej na róg do rzeźnika Bengtsena, potem przez most Hojbro do warzywniaka na Ostergade i do Kaffe Jeppesen na Slotsgade, i sklep po sklepie historia się powtarzała.

Pokonywaliśmy naszą codzienną trasę przez miasto, które odwracało się do nas plecami, więc widzieliśmy wszystko od tyłu i spotykaliśmy jedynie ludzi, którzy odchodzili i machali rękami, opędzając się od nas, gdy mama się do nich zwracała. Patrzyli w drugą stronę, drzwi były zamknięte, towary wyprzedane, krzesła zajęte, a ksiądz po bożonarodzeniowej mszy cofał rękę. Idąc na rynek i

całą drogę z powrotem, byliśmy jedynymi ludźmi na świecie, biegłem przy niej drobnymi kroczkami, ona trzymała mnie za rękę, a ja trzymałem ją. Jaką ulgą było, gdy zamknęliśmy za sobą drzwi domu i staliśmy bezpieczni w przedpokoju. Mama wieszała ocelota w szafie, kładła w kuchni zakupy na swoje miejsce. A potem nalewała sobie kieliszek wódki, schodziła do salonu i nastawiała płytę i zapalała cygaretkę i wyciągała się na sofie, wypuszczając dym – resztę popołudnia spędzała na przyjęciu, którego była jedynym gościem, słuchała piosenek Żary Leander i Marleny Dietrich i Heinza Ruhmanna i innych szlagierów z lat trzydziestych. Rozmyślała o Berlinie.

24

Była wtedy piękną blondynką, cieszyła się pełnią życia do czasu, gdy odebrali jej to życie naziści. Przyjechała do Berlina na studia w trzydziestym dziewiątym, mieszkała w eleganckim miejscu dla młodych kobiet, Victoria Studienanstalt. Był tam park, portier i pokojówki i ostry reżim domowy, który istniał tylko po to, żeby go łamać. Za dnia studiowała na uniwersytecie, nocami bawiła się; pili szampana, tańczyli przy amerykańskiej muzyce i naśmiewali się z popiersia Hitlera, któremu zakładali na głowę wiaderka od lodu. I choć od czasu do czasu – gdy był alarm bombowy – siedzieli w piwnicy, potem dalej imprezowali i nie zastanawiali się nad wojną – tak mówiła. Wojna była daleko, była czymś, o czym czytało się w gazetach – jej przyjaciółka, Inge Wolf, zdawała egzamin końcowy, ścigając się z rosyjską armią, która zdobywała Berlin.

Widziałem oczami wyobraźni mamę tańczącą wśród dymiących ruin Berlina do dźwięków piosenki Żary Leander *Davon geht die Welt nich unter*, podczas gdy Inge w sądny dzień stała przy tablicy – i wcale nie było tak niebezpiecznie. Mama wszystko bagatelizowała, opowiadając o obozach pracy, gdzie, żeby się dostać na uniwersytet, trzeba było odrabiać prace społeczne – nazywało się to *Arbeitsdienst* – i gdzie dowódcami były kobiety w brunatnych sukniach i włosach splecionych we frykadelki, prawdziwe sadystki. O szóstej rano był *Fahnenappel\**, wciągano flagę na maszt – *Sieg Heil!* – a potem poranna gim-

\*Z niem.: Apel z podniesieniem flagi.

25

nastyka. Pracowali w niebieskich strojach roboczych u chłopów, pełli buraki, opróżniali wychodki i rozkładali nawóz pod kapustą, a wieczorem było szkolenie, pobierali lekcje nazizmu, i potem kapusta na stół i do łóżka. Mama przygrywała na akordeonie do tańców i stawiała się komendantkom, nienawidziły ją za urodę, dumę i bogactwo. Kazały jej całymi dniami oczyszczać na polu z glist główki kapusty, a na rannym apelu słyszała: „*Hildę Voll, vortreten, du hast einen zersetzenden Geist, du hetzt das Lager auf!*”<sup>\*\*</sup> Tak działo się na każdym kolejnym obozie, które kazano im budować przed wojną, ale mogło być o wiele gorzej, najważniejsze było, żeby za nic w świecie nie dać się wysłać do fabryki amunicji.

Mama nastawiła inną płytę: „*Das Fraulein Nie-mand liebt den Herrn Sowieso, Sie ist so glucklich in seiner Nah. Die beiden wohnen im Luftschloss Nirgendwo im Land der Traume am goldnen See*”<sup>\*\*</sup> – a potem mówiła o przyjacielu z dzieciństwa, *Stichlingu*. Jego ojciec był szefem policji w *Klein-wanzleben*, gdzie dorastała, i miał wytrych, więc dostawali się do wszelkich możliwych miejsc w mieście, a babcia go uwielbiała. Był w kawalerii i został oficerem wojsk pancernych. Mama zamilkła, nie powiedziała już o nim ani słowa – płyta się skończyła, a ja niczego więcej się nie dowiedziałem.

\* Z niem.: *Hilde Voll, wystap, masz naturę wywrotowca, podburzasz cały obóz.*

\*\* Z niem.: *Panna bezimienna pokochała jakiegoś pana i jest z nim szczęśliwa.*

Zamieszkali w krainie snów w zamku na piasku nad złocistym morzem.

26

Mama była światową damą i przestała nią być wraz z końcem świata. Straciła więcej, niż kiedykolwiek byłem to sobie w stanie wyobrazić, a kolejne cierpienia czekały ją w *Nykobing*. Po wojnie porzuciła resztę tego, co zostało jej z życia – rodzinę, nazwisko, kraj i język – i zamieszkała w Danii, bo zakochała się w moim ojcu. Znosiła upokorzenia, pogardę i nienawiść do Niemców, kochała go, nazywała bogiem--słońcem. Był całym jej światem, miała tylko jego – nikt nie chciał bywać w towarzystwie Niemki. „*Ach ja*”<sup>\*\*</sup> – westchnęła jak zwykle, zaciągnęła się cygaretką i opróżniła kieliszek, a potem nastawiła *Dreig-roschenoper*<sup>\*\*</sup> i śpiewaliśmy razem *Mackie Messer*, *Kanonen Song* i *Seerauber Jenny*<sup>\*\*\*</sup>, a gdy doszło do miejsca, gdzie pytają ją, kto ma umrzeć, odpowiadaliśmy chórem: „*Alle!*”<sup>\*\*\*\*</sup> Miałem zawsze nadzieję, że będzie tak jak w tym songu, że przypłynie okręt z

pięćdziesięcioma armatami i zbombarduje Nykobing i uratuje nas i zabierze daleko stąd. Kiedy bawiłem się w porcie, stałem, wypatrując go i wyobrażałem sobie, jak mknie po Sundzie na pełnych żaglach i jak zarzuca kotwice. Potem na maszt wjeżdżała piracka flaga – i zaczynało się bombardowanie i nim dzień się skończył, miasto leżało w gruzach i nadeszła godzina zemsty. Na rynku odbył się sąd, ludzie dowiedzieli się, kim jest moja

\*Zniem.: No tak.

\*\* Opera za trzy grosze.

\*\*\* Song o Mackie Majchrze, Song o armatach, Jenny, narzeczona pirata.

\*\*\*\*Z niem.: Wszyscy!

27

mama, a sąsiedzi i ekspedienci z piekarni i rzeźnik i sprzedawca warzyw i ksiądz i dzieci i wszyscy pozostali ukłękli i mieli jedną szyję. A mama i ja uśmiechnęliśmy się do siebie i powiedzieliśmy: „Hopla!” – i głowy kulały się w nieskończoność.

Babcia ze strony ojca miała na imię Karen. Była kobietą o szerokiej, poważnej twarzy. W wieku dwunastu lat straciła matkę, ojcu zbyt trudno było zajmować się dziewczynką, dwoma nastoletnimi synami i gospodarstwem, więc wysłał ją do ciotki Bondo do Store Heddinge i babka wzrastała w jej sklepie bławatnym, który należał do sieci Flensborglageret. Ciotka Bondo była stara, zapomniała, że Karen w ogóle u niej jest. Dziewczynka przez większość czasu była pozostawiona samej sobie, kręciła się po domu, brakowało jej ojca i braci, tęskniła za matką, nie miała właściwie nikogo. Popołudniami siedziała w sklepie pośród bielizny, sukien i tkanin z metra i czekała na tego jedyne, który zjawi się i ją porwie. Marzyła o romantycznych scenach w tiulu, o kochaniu się wśród szyfonów i wiecznej miłości w koronkach, i w chwili gdy zjawił się Carl, była sprzedana. Carl był wysoki i przystojny i opowiadał o Kanadzie i obiecał, że ją z sobą zabierze – wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach! – więc wygramoliła się spod zwojów tiulu, szyfonów i koronek, powiedziała „tak” i dała mu swój pierwszy pocałunek.

Była wiosna 1902 roku, babcia i dziadek zaręczyli się. A potem wyjechali do Kopenhagi, ciotka Bondo

28

tego nie zauważyła, a może było jej wszystko jedno. Pobrali się w kościele garnizonowym i gdy Carl skończył służyć w wojsku, Karen była w ciąży, więc wrócili na Falster i wydzierżawili hotel Orehoved. Leżał tuż nad cieśniną Storstrom i dziadek mógł patrzeć na drugą stronę na wyspę Masnedo – i jeszcze dalej, na Zelandię. Obserwował prom kolejowy i postanowił postawić na mobilność ludzi, wiedział z gazet, że wciąż rośnie, przyszłość należała do handlu i turystyki i miała ich zabrać i przenieść aż za Atlantyk!

Na początku klienci nie dopisywali, ale tak jest zawsze, jakiś czas musi upłynąć, nim nowe miejsce stanie się znane. Dziadek rozgłaszał wieści najlepiej, jak potrafił, ustawiał na drogach tablice ze strzałkami, a Karen zajmowała się dzieckiem i sprzątała i gotowała i prowadziła hotel bez gości. Zmieniała nieużywane pościelenie, układała kwiaty w wazonach dla nikogo, a dziadek zamieszczał w gazetach ogłoszenia i nadał hotelowi pięć gwiazdek. Opisywał jego nowoczesność i komfort, wychwalał płaski i mglisty pejzaż i atrakcyjne miejsca, gdzie nie było nic wartego zobaczenia, a Karen każdego wieczoru stawała za barem gotowa przyjmować podróżnych, którzy nigdy się nie zjawiali. Prom przypląwał, ale przyjezdni omijali hotel – nikt nie miał nic do załatwienia w Orehoved. Po kilku sezonach w pustym hotelu romantyzm diabli wzięli i dziadkowie zdecydowali się postawić na lokalną społeczność i zamiast hotelu prowadzić gościniec – obiady, spotkania towarzyskie – może nawet z muzyką i tańcem, żeby przyciągnąć okolice,

29

o, właśnie tego tam brakowało! Mieli być goście na lunch i danie dnia i menu tygodnia i wino miesiąca i sezonowe garni, a na sobotę dziadek wynajął orkiestrę i rozwiesił plakaty. Minał tydzień, stoły i krzesła pozostały nietknięte, Karen wyrzucała na kompost lunch, danie dnia, menu tygodnia i sezonowe garni, dziadek stał w drzwiach z biletami i winem miesiąca, orkiestra grała i do późna w nocy migotały światła, ale nikt nie przyszedł, dziadek mógł równie dobrze zamknąć lokal.

Rzucał się w kolejne przedsięwzięcia, zapraszał na wykłady i wieczory dyskusyjne, na degustację porto, pianino i śpiewy, i chociaż dyskutował z samym



sobą i klaskał orkiestrze, której jedyną publicznością była Karen, utrzymywał, że sukces zależy od tego, czy wystarczająco długo się wytrwa, i że traci ten, kto się poddaje. Nie było w tej myśli nic błędnego, problemem była jej realizacja, więc dziadek zaczął mówić o zaproszeniu jakiegoś powszechnie znanego polityka, a może słynnego kabareciarza? Pisał listy i czekał na listonosza, potem pisał następne, a gdy się kładli spać, uspokajał Karen, zły los za chwilę się odwróci. I pewnego dnia to się stało.

Dziadek przybiegł z listem w rękę, list był od agenta z Kopenhagi, który pośredniczył w kontaktach z gwiazdami teatru i życia kulturalnego. Zaledwie tydzień później umówili się na spotkanie i dziadek pojechał pociągiem do Kopenhagi. Nie rozstawali się z Karen od żołnierskich czasów, więc zdawało jej się, że minęła wieczność, nim drzwi się otworzyły i wszedł promieniejący Carl. „Jesteśmy uratowani!”

30

– wołał, machając kapeluszem. Przyniósł kieliszki i wino miesiąca i zaczął opowiadać o pobycie w Kopenhadze i o agencji – odtąd wszystko już będzie inaczej! „Ruchome obrazy – szepnął, unosząc kieliszek. – Otwieramy iluzjon” – stuknęli się kieliszkami i wypili. Babci zbierało się na płacz, tego już było za wiele, wiedziała, że tym razem skończy się źle.

A Carl nie miał cienia wątpliwości, ujrzał światło w tunelu. Zaczął urządzać w restauracji salę kinową, krzesła ustawił w rzędy, zawiesił płótno, zawiadomił prasę i we wtorek 17 lipca 1909 gazeta „Lolland--Falsters Folketindende” doniosła, że władze regionalne dały z rekomendacji rady gminy pozwolenie na organizowanie wieczorów filmowych i że w sobotę o dwudziestej gościniec Orehoved zaprasza na pierwszy pokaz. Po projekcji miał być wyszynk, muzyka i tańce, dziadek postawił wszystko na jedną kartę – i ludziewalili tłumnie.

Pielgrzymowali z Vording-borg i Norre Alslev, chłopci szli polami, niosąc w torbach swoje najlepsze buty, nawet dziedzic Wilhelm przybył powózka z Orenaes i usadowił się w pierwszym rzędzie obok proboszcza i członków rady miejskiej.

Dziadek przywitał gości, zgasił światła i włączył projektor.

Zaczęło migotać, w stożku światła tańczył kurz, a na płótnie poruszały się cienie, och, ach, coś podobnego! Oglądali rybaka, który zegnał się na kei z rodziną, a potem odpłynął razem z dwoma towarzyszami. Sztorm, statek się rozbija, toną, morze wyrzuca na brzeg ciało rybaka, odbywa się pogrzeb,

31

żona i dzieci stoją nad grobem pogrążeni w bólu – i zerwała się taśma. W lokalu było cicho jak makiem zasiał, dziadek bał się zapalić światło, zebrani siedzieli jak skamieniali, patrzyli przed siebie. Po chwili z piątego rzędu dobiegł cichutki płacz, ktoś szlochał, a potem zaczął płakać jeszcze ktoś i jeszcze, i proboszcz już stał przy jakiejś kobiecie i pocieszał ją i trzymał za rękę, ludzie zaczęli wstawać, sunęli przed nią i składali kondolencje. Dziedzic i burmistrz pospiesznie odjechali, a dziadek nic nie mógł zrobić, żeby ich zatrzymać i wyjaśnić nieporozumienie, i taki był koniec hotelu Orehoved. Nazajutrz flagi w mieście opuszczono do połowy, ludzie chodzili zasmuceni, rozmawiali przyciszonymi głosami i do końca tygodnia opłakiwali zmarłych, a w niedzielę był pogrzeb, rozdzwoniły się dzwony, trumny spuszczone do ziemi. Dziadek już dawno przestał tłumaczyć, że to tylko film, wrócili z Karen z cmentarza i usiedli przy stole, a ona powiedziała, że jest w ciąży, w drodze było drugie dziecko. Dziadek nalał sobie kieliszek i powiedział, że lada dzień będą musieli się wyprowadzić.

To nie burmistrz decydował ani nie policja, ani dyrektor Banku Handlowo-Przemysłowego – ani w ogóle żaden inny człowiek. Decydowały gawrony. Latały dokoła, skrzeczały, skakały po ulicach, siedziały w grupach na dachach, miały nas na oku. Opróżniały kubły na śmieci, plądrowały rzeźnię, zbierały się w porcie, gdy przyplływali rybacy. Wiosną latały za

32

siewnikami i wydzioby wały ziarno, gdy tylko spadło na ziemię, jesienią niszczyły plantacje i kradły owoce. Nie było drzewa ani lampy ulicznej bez gawronów, nie przepuściły niczemu – zjadały wszystko, a jeśli człowiek zbyt długo stał bez ruchu, przylatywały i zaczynały go dziobać.

Ich głosy były pierwszymi dźwiękami, jakie dobiegały moich uszu rano – długo zanim się obudziłem – i ostatnimi, które słyszałem, gdy kładłem się spać. Leżałem, wsłuchując się w nie, zbliżały się, przelatywały nad domem, ich krzyk wypełnił powietrze, a ja nie miałem czym się im przeciwstawić, starałem się

koncentrować myśli na swoim pokoju i na zabawkach, śpiewałem Wiesz, źrebaczkę, co?, wszystko na nic. Niemal nie odróżniałem się w mroku od tła, strach rósł we mnie, aż wylewał się z brzegów i pograżał mnie, a wtedy nadchodziło to, czego najbardziej się obawiałem, przylatywały gawrony i mnie porywały.

Nikt nie rozumiał, dlaczego zamiast spać, krzycząc, była to niekończąca się walka. Przeciągałem to, jak długo mogłem, próbowałem tłumaczyć, ale z moich ust wydobywały się jedynie ochrypłe dźwięki. Rankiem gawrony odleciały, a ja biłem ramionami powietrze i przestałem tylko dlatego, że potrząsała mną mama:

„Knidchen, aufwachen”. Miałem gorączkę, byłem chory. Rodzice czytali u Spocka o chorobach wieku dziecięcego, ale nie mogli nic z tego zrozumieć, więc zadzwonili po lekarza. Zjawił się z czarną teczką – nazywał się dr Kongstad – przyłożył mi rękę do czoła, zajrzał do gardła i zmierzył

33

puls. A potem stwierdził, że to koklusz, wypisał receptę, zatrzasnął torbę i poszedł – a ja połykałem tabletki i dostawałem jabłka i wodę z sokiem. Skończyło się to tak, jak się spodziewano i jak napisano na etykiecie; gdy słoiczek był już pusty, wszyscy zgodnie stwierdzili, że wracam do zdrowia.

Od tego czasu wiedziałem, że najlepiej zachowywać się jak gdyby nigdy nic, zacząłem chodzić do przedszkola panny Freuchen i najlepiej, jak potrafiłem, naśladowałem inne dzieci, bawiłem się z nimi i śmiałem się, gdy one się śmiały. Trochę gryzłem i nie śpiewałem z wszystkimi Na gałęzi siedzi wrona, ale potem zaczęło mi to mijać i zniknęło w szkole. Gdy jechałem rowerem przez las na mecz lilipuciej drużyny B 1921, krzyk gawronów wśród drzew nie robił już na mnie wrażenia. Wskakiwałem w strój – niebieska koszulka, niebieskie skarpety i białe spodnie – i udawałem normalnego i biegałem po wyboistym polu wśród gawronów; można było kopać piłkę i z daleka patrzeć, jak polefałuje, unosi się i opada – to piłka sprawiała, że wlatywały w powietrze.

Miały swoje gniazda w lesie – był to istny sabat czarownic – grona ptaków zwisały z gałęzi długimi stalaktytami. I właśnie tam urządzono Falster City Camping: „Oaza w mieście niezliczonych możliwości”. Był tam kiosk z lodami, a niemieccy turyści siedzieli przed willami namiotów i przyczepami campingowymi i rozpaczali. Zwabiono ich przyjaznymi dla dzieci plażami, idylliczną przyrodą, przytulnym miasteczkiem – jak głosiła broszurka – ale o kolonii gawronów nie wspomniano ani słowem.

34

W wakacje marzeń budził ich hałas, który zaczynał się od wzlotów solo, a pod wieczór ptaki zbierały się w wielkie stada, sunęły nad miasto i z powrotem do lasu. Wtedy nadchodziło najgorsze z wszystkiego – deszcz ptasich odchodów. Sprzedawcy chowali towary pod dach, ludzie zbierali ze sznurów pranie i chodzili pod parasolami i w kaloszach, i uciekali w tej brei tak szybko, jak tylko się dało. Mieszkańcy w większości zostawali w domach, i kręcili głowami na odgłosy spadających na szyby odchodów, które wszystko zaświniwały, a turyści pakowali się i uciekali i nie było nikogo, kto by za nimi nie patrzył i nie chciał do nich dołączyć. Dopiero późnym wieczorem ludzie zbierali się na odwagę i wychodzili na ulicę, życie toczyło się dalej, choć wszyscy wiedzieli, że żyją na kredyt. Byliśmy ptasią karmą – to gawrony rządziły w Nykobing.

Uwielbiałem jedzenie babci, Wienerschnitzel i Kalbs-fleischgeschnetzeltes z Rósti, ale najlepszy był jej gulasz. Gotowała w starych garnkach i używała wielkich noży, boczek i cebula skwierczały na patelni, w powietrzu unosiła się woń przypraw, papryka, cynamon i pierz wywoływały kichanie, a z garnków buchała para, roznosząc zapach, z którym nic nie mogło się równać. Trudno było powstrzymać się od zanurzenia w garnku palca, a gdy już wreszcie nadszedł ten czas i gulasz trafiał na talerze, świat eksplodował smakowymi wrażeniami, które sięgały coraz głębiej i głębiej i nigdy się nie kończyły. Człowiek

35

miał uczucie, że jest w dalekiej podróży, mijało wiele lat, nim z rozpaloną głową znów znalazł się w pokoju – i brał dokładkę.

Gulaszowi babci nie sposób było się oprzeć, gdy raz się go spróbowało, miało się ochotę na więcej i nie przestawało się podstawiać talerza. Kończyło się to tylko dlatego, że babcia mówiła „stop”, zabierała garnek i ze ścierką na pokrywcę wstawiała go do lodówki. I stał tam, a ja o niczym innym nie mogłem myśleć i byłem coraz bardziej głodny. Gdy tylko mama zamknęła za sobą drzwi i wyszła z babcią do miasta, pobiegłem do kuchni. Spojrzałem na garnek w lodówce, została jeszcze jedna porcja, wsadziłem palec – gulasz smakował lepiej niż kiedykolwiek.

Prowadził mnie aż do prababci, Lidii Matthes, która sto lat wcześniej w tym samym garnku smażyła boczek i cebulę, dodawała paprykę, puree z pomidorów i czosnek – i imbir, jałowiec i kminek – a gdy wszystko się zagotowało, wlewała czerwone wino i bulion wołowy, i tak powoli rozbudowywała gulasz i godzinami dusiła go na małym ogniu, aż mięso zmiękło. Zachowywała jedną porcję i używała jej jako zaczynu, i w ten sposób smak gulaszu rósł i z latami stawał się coraz bogatszy. Babcia przejęła garnek po prababci i robiła wszystko tak samo jak ona, i dbała o to, by zawsze troszeczkę zostało na punkt wyjścia do kolejnego gulaszu.

Garnek był czarny, ciężki, żeliwny, i niewiele brakowało, a byłby zginał pod koniec wojny. Babcia i Papa Schneider musieli uciekać z Kleinwanzleben, bo zbliżała się rosyjska armia, zdążyli tylko zrolo-

36

wać obrazy, zakopać wino i pozamykać drzwi, i zjawili się Anglicy, którzy ich ewakuowali. Pojechali wozami pełnymi nasion buraków cukrowych, które hodował Papa Schneider, nie chciał dopuścić, by wpadły w ręce komunistów. Niczego nie mógł z sobą zabrać – tylko lustrzanekę, którą przeschmuglował pod płaszczem. Garnek z resztką ostatniego gulaszu został w domu i utraciliby go razem z całą resztą, gdyby nie mama.

W czterdziestym drugim uciekła z Berlina do Austrii. Długo nie mieli od niej wiadomości, i babcia była chora ze zmartwienia, nie wiedziała, czy mama żyje, czy nie. A ona ukryła się przed wojną i przed nazistami na pewnej górze w Steiermark, w klasztorze, i żywiła się kartoflami. Wytrzymała tam zimę i lato i jeszcze jedną zimę, czekając, aż się to wszystko skończy. W ostatnich miesiącach wojny zrozumiała, że Łaba stanowi linię graniczną, a Kleinwanzleben leży po niewłaściwej stronie i zostanie zajęte przez Rosjan; trzeba było uciekać i to szybko! Próbowała ostrzec rodzinę, ale nie zdążyła – wszystkie linie telefoniczne były głuche, nie wiedziała, co robić, postanowiła jechać im na ratunek, do Kleinwanzleben.

Wsiadła do pierwszego lepszego pociągu z Grazu, nikt nie wiedział, czy pojedzie, a tym bardziej, czy dotrze na miejsce. Większość połączeń kolejowych nie działała, a te, które zostały, bez przerwy były atakowane. Jechali godzinę czy dwie i pociąg zahamował, pasażerowie rzucili się do rowów – samoloty zniżały lot, ostrzeliwały pociąg i zrzucały bomby – a potem znów wskoczyli do wagonów i dalsza po-

37

dróż polegała na tym, żeby ujechać tyle kilometrów, ile się da, do następnych nalotów. Jechali na wschód, do Pragi, bo tam prowadziły tory, ale to nie był właściwy kierunek, więc mama znalazła pociąg, którego stacja końcowa leżała w Berlinie, najgorszym miejscu świata. Po tygodniu jazdy, przemierzania Węgier i Czechosłowacji, wysiadła z podziurawionego nabojami wagonu na Anhalter Bahnhof, ale myślała już tylko o tym, żeby stamtąd uciec, i biegła, by się ratować i zaryzykowała i wskoczyła do ostatniego pociągu, który wyjeżdżał z miasta, a za jej plecami Berlin wyleciał w powietrze.

To, że dotarła żywa do Magdeburga, było cudem. Miasto znalazło się na samej linii frontu, po jednej stronie stały oddziały amerykańskie, po drugiej niemieckie, a na ulice i domy spadał deszcz bomb. Kleinwanzleben leżało pięć kilometrów dalej, mama z głodu i przemęczenia była na skraju wyczerpania.

Ukradła jakiś rower i pojechała wśród burzy eksplozji, a u kresu jej sił stał dom przy Breite Weg. Wbiegła na schody, drzwi były zamknięte, zaczęła pukać do okien – nikogo nie było, dwór był pusty. Weszła do środka przez okienko w piwnicy, chodziła po domu, wołała – było jasne, że uciekali w panice – ale nie traciła nadziei, choć nie miała już sił stać na nogach. Usiadła ciężko w kuchni i wtedy przypomniał jej się gulasz.

Otworzyła drzwi do pralni – garnek stał tam, gdzie odstawiono go kilka dni wcześniej. Pachniał jak tysiąc i jedna noc, jak rajski ogród i kusił, by do niego podejść, i prowadził rękę do łyżki i już czło-

38

wiek marzył i już nie był w stanie się oprzeć i robił jedyną rzecz, której pragnął, jadł – ale mama położyła pokrywkę na swoje miejsce. Gdyby teraz uległa i zjadła resztkę gulaszu, to byłby koniec, smak byłby stracony na zawsze. Choć dręczył ją głód, wzięła garnek pod pachę, umieściła go na bagażniku roweru i pojechała w kierunku niemieckiej armii, by tam znaleźć schronienie i rodzinę i oddać garnek swojej mamie.

To dzięki temu babcia dalej mogła serwować gulasz, który liczył sto lat. Przy każdym wykradanym kęsie było w nim coraz więcej czaru i coraz więcej smaku, byłem tak pochłonięty jedzeniem, że nie usłyszałem, jak otworzyły się drzwi. Doznałem szoku, gdy nagle w kuchni zjawiła się mama. „Was tust du?!“\* – krzyknęła, przerażone spojrzenie utkwiała w łyżce, którą trzymałem w ręce – wyskrobałem wszystko z dna, żeby niczego nie stracić – i wtedy dotarło do mnie, co zrobiłem, nie było końca przerażeniu i wstydowi, ale nic nie dało się zrobić, nieszczęście już się stało. Uśmiechałem się przepraszająco cały wysmarowany gulaszem. Prosząc o wybaczenie, spoglądałem to na mamę, to na łyżkę, a potem otworzyłem buzię i zjadłem to, co zostało.

Ojciec był strzelisty – wysoki i szczupły – gdy wdrapywałem się mu na ramiona, widziałem nad żywopłotem wszystko aż po horyzont. Był zbyt wielki na

\*Z niem.: Co robisz?

39

to, by móc go ogarnąć wzrokiem na jeden raz, znałem go tylko fragmentami – miał duży nos, duże uszy i duże stopy, mawiał, że buty robią mu w stoczni. Obojętnie, dokąd się wybraliśmy – do restauracji czy do kina – narzekał na brak miejsca na nogi i musieliśmy wyjść. Miał bardzo długie ramiona, sięgały aż do samych rąk, a ręce, jedna daleko od drugiej, trzymały przedmioty na dystans – czoło rosło w takim samym rytmie, w jakim wypadały włosy – mama uważała, że ojciec jest najprzystojniejszym mężczyzną świata.

Ojciec był dobry jak anioł, a jego twarz promieniała niczym słońce. Nie pił, nie palił, chodził wcześniej spać i wcześniej wstawał i nigdy nie słyszałem, żeby kłął. Był punktualny, pilnował swojej pracy i płacił podatki i zaczynał hamować sto metrów przed światłami, choć miał zielone – gdy dojeżdżaliśmy, było już czerwone. Kiedy rozmawiał przez telefon z władzą, automatycznie wstawał z miejsca, i nigdy nie wsadził wtyczki do gniazdka, nim nie przeczytał instrukcji obsługi. Był od początku do końca poprawny, miał sumienie czyste jak koszule, które nosił – krawat zawiązany, buty wyczyszczone, a garnitur mógł stać sam. Ojciec pracował w ubezpieczeniach i co dzień upewniał się, czy nic się nie wydarzyło. Budzik dzwonił o pół do siódmej, ojciec wstawał, wypijał kawę, zjadał bułkę i całował mamę – i jechał do pracy, tą samą drogą przez pięćdziesiąt lat. Pracował w Dansk Bygnings Assurance na rynku, i przekraczając próg, każdego ranka zadawał to samo pytanie: „Coś się

40

stało?” Nic się nie stało. Oddychał z ulgą i szedł na górę do swojego biura, zasiadał za mahoniowym biurkiem i kontynuował ubezpieczanie wszystkiego, co mógł ubezpieczyć na wyspie Falster. Troszczył się o kościół i o ratusz, o ludzi i zwierzęta, domy, samochody i rowery ubezpieczał od kradzieży, a wszystko od pożaru i wody i grzyba i sztormu i od każdego innego nieszczęścia na ziemi. Liczył się z najgorszym i zapobiegał stratom i zwalczał nieszczęśliwe wypadki i dopiero gdy wszystko było bezpieczne, czuł się spokojny. Rano otwierał „Folketidende” i jeśli nie donoszono o żadnej katastrofie, wdychał zadowolony – gazeta równie dobrze mogłaby być niezadrukowana. Nie wydarzyło się dosłownie nic, dni powtarzały się i nawet listek nie spadł z drzewa i życie powoli zamierało.

Była to praca bez końca, ojciec dźwigał na ramionach świat – zawsze znalazło się coś, czym mógł się martwić – a nastrój polepszał mu się lub pogarszał w rytm ruchu wskazówek wiszącego w salonie barometru. Układał twarz w pełne powagi fałdy i stukał palcem w szybkę. Gdy strzałka wskazywała na piękną pogodę, rozjaśniał się, ale nie trwało to długo, wkrótce znów stukał i myślał o niskim ciśnieniu, o deszczu i błyskawicach. Latem istniało ryzyko pożarów – więc miał nadzieję, że będzie mokre – a zimą martwił się szkodami spowodowanymi przez mróz i śnieg, i nie pragnął białej Gwiazdki. O sztormie w październiku sześćdziesiątego siódmego opowiadał, jak gdyby to było coś, co opisano w Biblii. Unosił w górę palec – „Szszz...” – i wstrzymy-

41

wał oddech, gdy nadchodziła najważniejsza część Wiadomości – prognoza pogody. Punktualnie o pół do drugiej zjawił się w domu na lunch i siadał do ciepłego posiłku, a wieczorem słyszałem, jak nadjeżdża, parkuje auto w garażu. Potem otwierały się drzwi wejściowe i wołał: „Hej!” i wieszał kapelusz i płaszcz w garderobie, i od razu szliśmy do kuchni do mamy, która promieniała, „Ach, Vaterchen!”\* – mówiła i całowała go w policzek, kochała go ponad wszystko. Nakrywaliśmy do obiadu w jadalni, wszystko miało swoje miejsce i stało na stole

w określonym porządku – porcelana i serwetki i sól i pieprz i wazon z kwiatami – a ojciec miał oczy naokoło głowy. Ledwie otworzyłem szufladę w kredensie, żeby sięgnąć po sztucce, a już był przy mnie.

„Co chcesz wyjąć? – Kręcił głową i mówił, co zrobić i jak. – Widelce są w najwyższej środkowej szufladzie, nie, nie tam, w środkowej, w głębi”. – I tak było z wszystkim. W domu nadal był pracownikiem towarzystwa ubezpieczeniowego, sam zajmował się najmniejszymi drobiazgami. Niczego nie dało się zrobić dobrze – wciąż w kółko nastawiał stojący zegar bornholmski, choć zegar dobrze chodził. Samo przemieszczanie się było rzucaniem wyzwania bogom. „Ostrożnie!” – zatrzymywał mnie, nim jeszcze ruszyłem się z miejsca, a gdy go o coś pytałem – wszystko jedno o co – odpowiadał: „Nie”.

Najgorszy z wszystkiego był dla niego przeciąg. „Zamknij drzwi!” – wołał, gdy je otworzyłem, a gdy

\* Z niem.: Ach, tatulek.

42

zamknąłem, kazał to zrobić jeszcze raz, tak jak trzeba. Zawsze uważał, że coś gdzieś jest niedomknięte. „Przeciąg” – mówił i macał i sprawdzał okna i zaciągał zasłony, aż zatkana była ostatnia dziurka i nic już się nie poruszało. Podłogi trzeszczały, drzwi skrzypiały, ściany miały uszy, a ja byłem spokojny, uważałem i robiłem to, co ojciec kazał. Żyłem dla dnia, w którym z tym skończy i pozwoli sprawom toczyć się ich trybem, ale ten dzień nigdy nie nadszedł.

Nic nie wymknęło się kontroli, jaką ojciec sprawował nad swoim otoczeniem, gdyby na chwilę odwrócił wzrok, wszystko natychmiast byłoby nie do odnalezienia.

Zajmował się wyłącznie dopilnowywaniem i upewnianiem się, czy rzeczywistość istnieje, czy wszystko jest na swoim miejscu i dzieje się we właściwym czasie.

Gdy mówił, konstatował to, co nie ulegało wątpliwości – „mówi się”, „robi się” – wysławiał się za pomocą oczywistych prawd. W pewnym sensie w ogóle nie umiał mówić, umiał tylko liczyć, jeśli o czymś opowiadał, to tylko o cenach i listach zakupów, zajmowało go też wyliczanie naszego inwentarza – porcelanowa patera, zegar z brązu, dywany – i co ile kosztowało, a było o czym mówić. Rejestrował życie w najdosłowniej szym znaczeniu tego słowa, zestawiał je w przedmioty i liczby i stwierdzał fakty – że jest zachmurzenie, że jest późno, że tyle a tyle. A potem siadał i zapisywał wszystko w kalendarzu Maryland, rzecz i miejsce, dochody i wydatki, ceny benzyny i ilość kilometrów, godziny i temperatury. Liczył dni i je sumował i za każdym razem, gdy składały się na rok, uśmiechał się, i kalendarz łądował

43

na półce wśród innych kalendarzy, stały tam jako rozliczenie kolejnych lat, od 1950.

Ojciec pilnował nas jak dzień długi przez okrągły rok i zdawało się, że gdyby na chwilę odpuścił, wszystko by się zawaliło. Po kolacji robił to, co zawsze:

zmiatał szczoteczką ze stołu okruszki i chował sztucce do kredensu i przeliczał je i zamykał szuflady na klucz i chował klucz do sekretery, którą także zakluczał. Porządkował i odkładał przedmioty na swoje miejsce, gasił to, co było zapalone i wyciągał z kontaktów wtyczki, bo może być spięcie, a srebrny świecznik na wszelki wypadek łądował w koszu na brudne rzeczy. Potem sprawdzał grzejniki, które miały być nastawione dokładnie na dwa i pół, wychodził zamknąć bramkę i ogrodową furtkę i drzwi wejściowe i drzwi do ogrodu i drzwi do piwnicy i drzwi od szopki i bramę garażu, a potem chował klucze – robił, co tylko się dało, żeby nikt nie mógł się włamać. Gdy już wszystko pozamykał, powyła-czał i popakował, całował mamę i mnie na dobranoc i kładł się spać. Klucz, pod którym zamknięte były wszystkie inne klucze, chował do kieszeni piżamy i ze spokojnym sumieniem naciągał na głowę kołdrę – wszystko było zabezpieczone – a potem gasił lampkę nocną i ostatnie światło na świecie znikowało.

Z jakiegoś powodu zdecydowałem się na kanapki z szynką, mama robiła mi je do szkoły, niczego innego nie chciałem. Ale coś było nie tak – wyraźnie to czułem – dzieci zaczęły szeptać, śmiać się i od-

44

suwać ode mnie przy stole w czasie przerwy śniadaniowej. Nie wiedziałem dlaczego i robiłem wszystko, żeby się dopasować, ale było coraz gorzej, aż w końcu jakiś chłopak wskazał palcem i powiedział to wprost. Chodziło o kanapkę – zamiast wzdłuż bochenka, tak żeby połówka każdej kromki miała skórkę, mój chleb był krojony w poprzek, ze skórką na dwóch brzegach – a tak nie robiło się w Danii. Mama krojła chleb w sposób, do jakiego była przyzwyczajona w Niemczech i nie

potrafiłem się zmusić, by jej o tym powiedzieć. Chodziłem do szkoły z nieprawidłowo skrojonymi kromkami i przeżuwałem przerwę śniadaniową, a po jakimś czasie w ogóle przestałem wyjmować śniadanie z torby. Zachowywałem się jak gdyby nigdy nic, ale po szkole jeździłem w kółko rowerem i szukałem miejsca, gdzie mógłbym niepostrzeżenie je wyrzucić.

Okazało się to wcale nie takie proste, albo było za dużo ludzi, albo za mało – a wtedy, jeśli bym rzucił kanapkę do jakiegoś ogrodu, na pewno ktoś zobaczyłby mnie z okna. Zawsze coś stało na przeszkodzie i w końcu zostawiałem paczkę w jakichś krzakach i znikalem. Ale już po chwili dręczyła mnie myśl, że właśnie tamtędy będzie przechodziła mama i ją znajdzie, więc wracałem, podnosiłem kanapkę z ziemi i zabierałem do domu.

Już w garażu było mi ciężko. Wstawiałem rower i wbiegając po schodach piwnicy, wołałem: „Cześć, mamoo!” Stała w kuchni, zaglądałem do niej cały uśmiechnięty ze strachu, że mnie przejrzy, a w szkolnej torbie płonęły moje wyrzuty sumienia.

Szedłem

45

do swojego pokoju, ostrożnie otwierałem szufladę biurka – było to jedyne miejsce, które miałem tylko dla siebie, bo można je było zamknąć na klucz – wstrzymywałem oddech, kładłem śniadanie do szuflady i zamykałem ją tak szybko, jak potrafiłem, i wkrótce dobiegało mnie z kuchni wołanie mamy: „Kniidchen! Handewaschen, Essen!”\*

W czasie gdy jadłem, mama siedziała ze mną przy stole, zapalała cygaretkę i piła piwo, była przygnębiona, napięta i prawie zawsze smutna. Trzymała się tylko dzięki sile woli, była zamknięta w sobie i zaciskała dłonie, które przypominały ręczne granaty, kości jaśniały bielą. Byłem gotów oddać życie za jej szczęście, więc często brałem jej rękę i głaskałem i opowiadałem o dniu, który mijal – graliśmy w piłkę nożną, byłem przy tablicy, Susanne ma na zębach bransoletki, bliźniacy zaprosili mnie na urodziny – wszystko to było kłamstwem. W rzeczywistości chowałem się w czasie przerw, bo byłem niemiecką świnią, i wszystko wyśmiewali, moje śniadanie i rower i ubrania, i wykrzywiając twarze, drwili nawet z imienia mamy: „Hildegard, Hildegard!” Co za imię! Nie miałem serca jej o tym opowiadać, więc zabawiałem ją najlepiej, jak potrafiłem – a ona patrzyła na mnie i jej dłoń powoli się otwierała, kładłem w nią, co miałem najlepszego, i pragnąłem, żeby to wystarczyło.

\*Z niem.: Knudziku! Myć ręce, obiad!

46

Mama była sama w obcym kraju, tak samotna, jak tylko samotny może być człowiek. Od dzieciństwa przeżywała straty, traciła tych, których kochała, jednego po drugim, i nic nie mogło jej pocieszyć – nawet butelka wódki w kuchennej szafie. Jej ojciec – Heinrich Voll – poszedł w dwudziestym czwartym do szpitala na zapalenie wyrostka robaczkowego i zmarł na stole operacyjnym. Był okulista, łagodnym, pogodnym człowiekiem, z babcią łączyła go prawdziwa miłość. Ich zdjęcie stało w salonie naszego domu w srebrnej ramce, babcia piękna, Heinrich w mundurze, siedzieli na urwisku i patrzyli na dolinę. Podczas pierwszej wojny światowej Heinrich służył w wojsku jako lekarz i gdy przyjechał z frontu na urlop, opowiadał o młodym lisie, którego znalazł w lesie – gdy lisiek wyzdrowiał, puścił go wolno. Po wojnie otworzył prywatną praktykę w Halle an der Salle. Mama bawiła się, biegając po pokojach przylegającego do gabinetu mieszkania i gdy nie było pacjentów, zaglądała do niego – często się śmiali, to były radosne dni – ale znienacka wyrwano jej serce. Jej ojciec znikł, gdy miała sześć lat, i było to największe nieszczęście na świecie.

Zostały z babcią w mieszkaniu i nie miałyby z czego żyć, gdyby nie renta przyznana im przez lekarzy – być może z powodu wyrzutów sumienia, bo w czasie operacji popełniono błąd – trzysta marek miesięcznie. Ale lwią część zjadała inflacja, pieniądze nie miały żadnej wartości i choć babcia wynajmowała gabinet – a potem kolejne pokoje – wszystko zmierzało w jednym kierunku. Mieszkały ściśnięte

47

w najmniejszym pokoju i nie wiedziały, co robić dalej, więc babcia zdjęła obrączkę i poddała się Papie Schneiderowi, który się jej oświadczył – i pewnego dnia przyszła do domu zapłakana i powiedziała, że mama na pewien czas musi pojechać do Biebrich, do jego kuzynki.

Ciotka Gustschen mieszkała ze swoim synem, jego żoną i ich dwiema córkami w małym miasteczku koło Wiesbaden. Należeli do protestanckiej sekty Die Bekennende

Kirche i zajmowały ich tylko plotki wychodzące z rady parafialnej i wieczna wojna między katolikami a arcybiskupem z Moguncji. Choć mieli nad Renem plantacje winorośli, nigdy nie pili i nie degustowali wina; nasze coroczne odwiedziny u nich były jak wizyty w stowarzyszeniu miłośników trumien. Syn ciotki był przygarbionym olbrzymem i wiara przydawała mu ciężkości, siedział w niskim pokoju dziennym ze swoją chudą żoną, córki nosiły sukienki z falbankami, co jakiś czas spoglądały z ukosa i zaraz ich spojrzenia umykały jak wróble wydziobujące z obrusu okruszki. Zasiadaliśmy do kawy, składaliśmy ręce i do rytmu tykania zegara odmawialiśmy modlitwę przed jedzeniem. „Pater, segne diese Speise. Uns zur Kraft und dir zum Preise”\* – i religijne szaleństwo wybuchało. Wiło się w grządkach i w wiecznie zielonych roślinach, Jezus wisiał na ścianie i płakał, wszędzie były krucyfiksy i makatki,  
\*Z niem.: Ojcze, pobłogosław te dary, daj nam siły, dla Twej chwały.

48

a na nich krzyże i wyhaftowane gotyckim pismem cytaty z Biblii. Ojciec przesunął stolik, próbując zyskać trochę miejsca na nogi i robił, co mógł, żeby się dostosować, a ja spoglądałem na mamę i myślałem o wszystkim, przez co musiała przejść, i zamiast „amen” szeptałem „diabeł”.

Było to zimne, mroczne i pozbawione radości miejsce. Trudno było sobie wyobrazić, co przeżywała, gdy przyjechała tu z walizką w dwudziestym szóstym po stracie ojca i pożegnaniu matki. Ciotka Gustschen miała na karku kok otoczony siatką i chodziła w czarnych, zapiętych pod szyję sukniach, nigdy nie zaznała młodości. Jej matka była córką dziekana z Turyngii, opanował ją diabeł – była epileptyczką – więc Gustschen od dziecka uczyła się bojaźni bożej. Przeżywała życie, stojąc nad grobem ze złożonymi rękoma i krzyżem na szyi. Jedli czerstwy chleb i oszczędzali i nigdy niczego nie wyrzucali, choć byli zamożni, bo marnotrawstwo to grzech! Gustschen zwalczała najmniejsze oznaki radości i tępiła najmniejsze przyjemności – strojenie się, kokieterijne uśmiechy, jakie to tanie! – śmiech był wyrazem zła tkwiącego w człowieku, które wykrzywiało mu twarz grymasami.

Mamę posłano do szkółki niedzielnej, gdzie dostała wszy, ciotka obcięła jej długie, jasne włosy, a jej ubrania zamieniła na brzydką, drapiącą koszulę. I dała jej książeczkę do nabożeństwa. Cała rodzina w kółko się modliła i żyła na kolanach według kościelnego kalendarza. Minął rok – narodziny i śmierć i zmartwychwstanie – i jeszcze jeden, mama czekała

49

na wiadomości od babci i nie mogła zrozumieć, dlaczego już dawno po nią nie przysłała. Była pewna, że nie oddawali jej listów, że gdzieś je chowali, marzyła o ucieczce i płakała pod poduszką – żeby nie zbudzić ciotki Gustschen, która spała z otwartymi oczami i chrapała – płakała tak długo, aż zapadła w sen. Czula się zapomniana przez cały świat, aż wreszcie nadeszła wiadomość i było to jak uchylenie wieka trumny, wszystko zalało światło, miała jechać do Kleinwanzleben i zamieszkać ze swoją mamą u ojczyma! Nie poznała wcześniej Papy Schneidera; wzięła walizkę i pojechała pociągiem – wystawiła głowę za okno i cieszyła się powietrzem i tempem jazdy – z prędkością stu kilometrów na godzinę spieszyła na spotkanie swojej matki. Ze stacji odebrała ją służąca i szły ulicami i drogą, aż dotarły do dworu, który leżał pośród pól. Miał długie, czerwone skrzydła i czarne belkowanie i spiczaste dachy na wieżach, a na największej był zegar. Podeszły do drzwi i zadzwoniły, otworzył Papa Schneider. Mama zebrała się na odwagę, uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła, i wyciągnęła rękę do nieznanego sobie mężczyzny i powiedziała: „Guten Tag, Vati”\*. W 1910 rodzice ojca wyprowadzili się z hotelu Ore-hoved i zamieszkali w najbardziej eleganckiej części Nykobing. Na domu, który liczył trzy piętra i miał

\*Z niem.: Dzień dobry, tatusiu.

50

na dachu wieżyczkę widokową z zielonego drewna i miedzi, widniał napis zrobiony ze złotych liter: „Bellevue”. Gdy dziadek wyjął klucze i otworzył drzwi, babcia niemal zemdlała. Szli przez pokoje, którym nie było końca, a do sufitu było wyżej niż do nieba. Karen chciała jak najszybciej stamtąd wyjść, ale dziadek powiedział, żeby się nie martwiła. Miał zamiar otworzyć linię autobusową, zarobi na dom, na dzieci, a nawet więcej. Trzeba tylko nadać za rozwojem, zobaczysz, Kopenhaga i Berlin będą niedługo połączone w prostej linii, a na tej linii leży Ny-kobing – nowe centrum handlu i turystyki. Karen nic nie powiedziała, tylko

zaczęła wypakowywać rzeczy i w kuchni na ścianie powiesiła zegar. Kilka lat później dziadek zbankrutował.

Tonęli w długach, dziadek był załamany, siedział na ławce przed stacją kolejową i patrzył, jak przejeżdżają pociągi, wpatrywał się w nie i chodził w kółko milczący i z nikim nie chciał rozmawiać. Samotnie przesiadywał w swoim kantorku przy zasłoniętych oknach, rosła mu broda, miał długie włosy i paznokcie, nie mył się i nie jadł. I tak to trwało, aż sięgnął dna i umarł dla świata. A potem stanął na równe nogi i zaczął od nowa, nie ma spraw niemożliwych, wszystko da się zrobić!

Po autobusach przyszła kolej na sklep z butami na Frisegade, który upadł – paryskie mody nie nadawały się do pielienia buraków – ludzie stali przy oknie wystawowym i śmiali się z najnowszych modeli. Między jednym klientem a drugim upływało tyle czasu, że gdy otwierały się drzwi, dziadek

51

wzdrygał się na dźwięk dzwonka i pytał, o co chodzi. A potem przeczytał w gazecie o telefonii krajowej – ponad pięćdziesiąt tysięcy abonentów! – i chciał sprzedawać telefony ludziom mieszkającym w pobliżu wszystkich, których znali. I został z setkami aparatów telefonicznych i nie było nikogo, do kogo mógłby zadzwonić. Usiadł na ławce i zamknął się w sobie, ale nie minęło wiele czasu, nim znów otworzył drzwi i spróbował sprzedawać motocykle – Nimbus! – błyskały flesze, dziadek rozkładał ramiona i uśmiechał się do dziennikarzy, którzy fotografowali go w świetnym humorze przy fladze wciągniętej na maszt, przed kolejnym kiepskim interesem.

Niepowodzenia dziadka można było przez lata śledzić w „Folketidende”, a gdy z czasem okazało się, że nie istnieje żadna realna nadzieja na związanie końca z końcem, dziadek zaczął kombinować. Kupował na kredyt, a potem opowiadał wierzycielom bajki, wymyślał jedną wymówkę za drugą, im gorzej sprawy stały, tym lepsze przedstawiał usprawiedliwienia: zyski z akcji w Kanadzie, zaliczkę na spadek po dalekim wuju, poręczycieli, których gwarancje pewnie zaginęły na poczcie, a on właśnie rozmawiał z adwokatem sądu najwyższego, który miał się z nimi w najbliższych dniach osobiście kontaktować! Jakoś mu się udawało, ścigał się z katastrofą i stawiał na przyszłość – przyszłość prędzej czy później musi przyjść do Nykobing, choć do Nykobing było daleko – i zamykał oczy i błagał wyższe moce, by nadeszła jego kolej, nim będzie za późno.

52

Do Karen należała troska o codzienność i wiązanie końca z końcem. Miała pod opieką dwoje dzieci, a potem troje i wreszcie czworo – Leifa, mojego ojca, Iba i córeczkę Annelise – i urabiała ręce, by zapewnić dzieciom chleb i ubrania. Zarabiała sprzątaniami, latem zbierała na akord truskawki, piekła chleb, uprawiała warzywa i codziennie nadawała zupie inną nazwę – cebulowa, ziemniaczana, czysta z jajkiem – dziadek pytał, czy jest w niej koniak, tak, jest – i ciągnęła to tak długo, jak się dało, ale w końcu zupa smakowała już tylko dobrą wolą i miłością. Z niczego dokonywała cudów, robiła na drutach, szyla w rytm sprzedawania kolejnych rzeczy, które posiadali, a gdy kończyła dzień, kładła dzieci spać i całowała je na dobranoc, pocieszając jakimś niewinnym kłamstwem.

Żyli powietrzem i nikt nie zauważył, jak źle sprawy się mają – nikt z wyjątkiem mojego ojca. Był coraz wyższy i chudszy i wyrastał z ubrań, czuł, jak uwierają go buty, a na Gwiazdkę dobrze wiedział, że prezenty to niewiele więcej niż gadanie i ozdobny papier. Robił, co mógł, żeby pomóc, i dostawał dobre stopnie, a po dziewiątej klasie rzucił szkołę i znalazł zatrudnienie jako uczeń w Kasie Oszczędnościowej. Doglądał Leifa, który miał gruźlicę kości i wciąż wracał do szpitala, i płacił za lekcje tańca dla Annelise i za szkołę młodszego brata Iba, który chodził na wagary, palił i kradł. Jeśli ktoś dokuczał Leifowi, że jest inwalidą, ojciec wyzywał go i groził policją, a Ib sprawiał temu komus lanie, tyle że bił za dużo i za długo i zachowywał się coraz bardziej jak krymi-

53

nalista. Annelise malowała usta szminką i znikwała w mieście, i ojciec chodził po nią nocą do gospody. Rano wstawał, żeby odrabiać z Ibem lekcje, bo Ib całymi dniami włóczył się z łobuzami po żwirowni i pił – a po pracy ojciec brał teczkę pod pachę i szedł do szkoły wieczorowej i uczył się księgowości i stenotypii i niemieckiego i zgłaszał się do odpowiedzi i poprawnie odpowiadał.

Dzień, w którym – w trzydziestym czwartym – dostał pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym Dansk Bygnings Assurance A/S, był najszczęśliwszym dniem jego



życia, opowiadał tę historię w kółko, przy każdej okazji – o anonsie w gazecie i o rozmowie z dyrektorem Damgardem, gdy przyjął go w lokalach firmy na rynku. To był wielki człowiek, zaczynał od zera z trzema pracownikami, panną Slot, kasjerem Maksem Christensenem i swoim zięciem, Henrym Maylandem. Klienci przedłużali ubezpieczenia, a jeśli kupowali polisę na dziesięć lat, oszczędzali dwie korony – czegoś takiego dziś w ogóle nie dałoby się załatwić! Tysiąc razy słyszałem, jak o tym opowiadał, i promieniał za każdym razem, gdy dochodził do miejsca, gdy dyrektor Damgard zagląda do biura – był późny wieczór, a ojciec wciąż jeszcze w pracy – i pyta go, czy gra w brydża. Ojciec nauczył się brydża od pewnych starszych pań na mieście, które chętnie odwiedzał, lubił z nimi rozmawiać – no i wskoczył na czwartego i grał z zarządem i pił kawę i koniak i podziękował za cygaro, nie, nie pali, a potem dostał awans na prokurenta. Mówił, że Damgard zawsze go cenił, i uśmiechał się na tę myśl

54

i zaczynał opowieść od początku, opowiadał to jak ewangelię, która rozświetla mroczny czas.

Był wtedy kryzys, znalezienie pracy graniczyło z cudem, Leifa wysłano na Jutlandię do sanatorium, upadały rządy. Ib wyleciał ze szkoły, trafiał do terminu i tam też zawałał, chełpił się byle czym, chodził w kapeluszu i szerokich spodniach i miał więcej pieniędzy niż mój ojciec. Choć było to ryzykowne – a ryzyka ojciec nie lubił – załatwił łbowi pracę w Dansk Bygnings Assurance, żeby go mieć na oku. Na początku szło dobrze, a potem aż za dobrze na to, by mogło być prawdą, Ib czarował i obiecywał więcej, niż mógł dać, klientów przybywało jak nigdy, ale było to oszustwo, Ib pożyczał pieniądze z kasy i bywał w restauracjach i grał rolę wielkiego pana i wszystkim stawiał kolejkę. Wybuchł skandal, ojciec musiał załagodzić sprawę, przeprosić kierownictwo i dyrektora Damgarda – wszystko zostanie załatwione! – i wyrównał rachunki i uratował klientów. A potem wziął się za łba, bo co do jednego nie miał wątpliwości – nikt i nic nie może odebrać mu tej odrobiny, którą osiągnął.

I przyszedł czas gdy – po rozmowie z bankiem i z adwokatem Victorem Arsenem – kupił sobie mieszkanie, drugie piętro, Nybrogade 9. Był balkonik i wszystko jak trzeba: jadalnia, salon, sypialnia i kuchnia, i żeby na wszystko starczyło, chodził na aukcję i czatował na najniższe ceny. Kupił mahoniowy stół i cztery krzesła, fotel obity skórą, dywany i obrazy, które oprawił w złote ramy – polna droga, rosochate wierzby, przystań rybacka, las – a najwięk-

55

szą zdobyczą był fortepian. Ojciec nie umiał grać, ale fortepian należało mieć, więc kupił go choćby tylko po to, by dekorował mieszkanie, co tydzień sprzątaczką przewracała nuty na kolejną stronę. Ojcu dobrze było w tym mieszkaniu, siedział w fotelu i czytał po niemiecku i po angielsku – głównie słowniki i gramatyki – i zapisał się do chóru męskiego Brage i jeździł na wycieczki do Pomlenakke i śpiewał Jakże świeży, zielony jest las. Po południu widywano go idącego przez rynek z ciastkami od Jansena – dwie „gęsie piersi” – składał wizyty, odwiedzał damy, w tym również mężatki, a kilka filiżanek kawy później wracał, nie wypił ani kieliszka. W pobliżu miał swoją mamę, smakowały mu jej obiady, no i prąła mu ubrania – do innych spraw kobiety nie potrzebował – lubił mieć spokój. Ukoronowaniem jego kariery było przyjęcie do wolnomularzy. Kupił cylinder i frak i w środowe wieczory defilował na spotkania łoży i powoli otrzymywał coraz wyższe stopnie i witał się z elitą miasta, centymetr po centymetrze posuwając się na drodze kariery.

Budował swoją egzystencję na tym, co stawiał ponad wszystkim, na pewności i bezpieczeństwie – i stworzył sobie dom, w którym panował ład i porządek, podczas gdy wokół walił się świat. Ib wylądował na ławie sądowej, Annelise uciekła z jakimś mężczyzną, i ojciec wszystkim się zajął – zawsze to on musiał to robić. Był świadkiem w procesie Iba, któremu udało się wymigać, dostał wyrok w zawieszeniu, i postarał się, by Annelise wróciła do domu, i załatwił Leifowi miejsce ucznia w Halling & Sonner – Skóry.

56

Opiekował się też matką, która cierpiała na reumatyzm – nie pomagało żadne leczenie – i pomagał ojcu, który był coraz bardziej załamany i w obawie przed wierzycielami nie śmiał pokazywać się na ulicy. Musieli wyprowadzić się z domu, był obciążony długami na trzy-, czterokrotną wartość – ojciec długo w noc przeglądał papiery, a Carl rwał sobie włosy z głowy i bełkotał o handlu, turystyce, transporcie i połączeniu Kopenhaga-Berlin. Nic nie dało się zrobić,

trzeba było się poddać – krótka piłka – tymczasem dziadek biegał w górę i w dół schodów i szukał postępu, gdzie się podziewa?! W końcu kiedyś musi nadejść! Ale postęp nie nadchodził i nie nadchodził

– Karen zdjęła ze ściany w kuchni zegar, kartony na przewodniczki już czekały, ale i tak były puste, bo wszystko stracili. A jednak postęp nadszedł i było to najgorsze, co kiedykolwiek im się przydarzyło.

Stało się to rankiem 9 kwietnia, ojciec szedł z Ibem przez Vesterskovvej – ubranie Iba zawsze wyglądało na pogniecione, choćby było dopiero co wyprasowane

– i nagle usłyszeli: „Niemcy! Niemcy!” Spojrzeli w niebo, nad miastem leciała eskadra samolotów, zmierzała na północ. Ib rzucił za nią kamieniem.

– I co teraz zrobimy? – spytał.

– Idziemy do pracy, co innego możemy zrobić?

– odparł ojciec. Gdy coś było nie tak, udawał, że wszystko jest w porządku – zazwyczaj to działało – mój ojciec postanowił zignorować drugą wojnę światową, niech minie sama z siebie.

Na rynku zebrali się ludzie, rozmawiali – byli wśród nich pracownicy z jego biura – dyrektor Dam-

57

gard powiedział, że był desant. Podobno niemieckie wojsko już wyruszyło z Gedser, w nocy przyplłynęło promem z Warnemunde. „Ciekawe, czy kupili bilety” – zaśmiał się Ib, a ojca już zaczęło męczyć, że się miesza, i kazał mu siedzieć cicho, ale Ib nie posłuchał. Powiedział, że dawno trzeba było zatopić promy i że Niemcom na pewno nie było specjalnie trudno zacumować w porcie, skoro świeciła im latarnia morska – dlaczego nie znalazł się nikt, kto by ją zgasił? „Ib!” – krzyknął ojciec i już miał przeproszać dyrektora i innych, ale nikt nic nie powiedział, nie było co gadać, wiedzieli, że Ib marację.

Remont biegnącej przez Falster szosy północ--południe ślimaczył się latami, nikt nic w tej sprawie nie robił, a gminna kasa była pusta – ale cztery dni przed desantem dziury załatano i droga była gotowa. Jedyne bombardowanie, jakie spotkało siły inwazyjne mijające Gedesby, Bruserup i Marrebaek, to było bombardowanie sztyldami „Zimmer Frei”\* i „Kartofle na sprzedaż”. Handlujący na rynku dyskutowali, czy pozamykać sklepy, czy też wystawić towary z cenami w Deutsche Mark – była prawie dziewiąta, Niemcy niedługo mogli dotrzeć do miasta. Widziano jakiegoś w Vaeggerløse i kilku innych w Hasselo i w lesie Lindeskoven, ktoś powiedział, że już są na Ostergade, Nygade i Jerbanegade – a rzeczywistość przerosła plotkę. Pojawili się żołnierze idący wzdłuż domów po obu stronach ulicy, w kolumnach, z podniesionymi karabinami – było kom-

\*Z niem.: Wolne pokoje.

58

pletnie cicho, żadnego dźwięku – ojciec, Ib i reszta zgromadzenia stali i patrzyli z otwartymi ustami, aż było widać polipy. Nie wierzyli własnym oczom, wstrzymali oddech i czekali na zajęcie miasta przez wojsko, które zbliżało się jak burza z piorunami, coraz głośniejsz i głośniejsz, aż było tuż za rogiem – oto wchodzi niemiecka armia!

Maszerowali przez środek miasta niekończącymi się rzędami mundurów – piechota w hełmach, z bronią i plecakami – patrząc prosto przed siebie i waląc butami. Za nimi jechały zaprzężone w konie dwukołowe wozy wiozące chleb, i nic poza tym, żadnych czołgów, żadnych jeepów, ani jednego zmotoryzowanego pojazdu. Gdy mijali ich ostatni skrzypiący wóz, kowal z fabryki cukru nie mógł się powstrzymać, uchylił czapki i spytał, czy chleb jest dla koni. Żołnierz potrząsnął głową: „Nein, fur uns”\* – powiedział i poszedł dalej ulicą Langgade, a potem skręcił w prawo przy Rosenvaenget. Po dwudziestu minutach oddziały ponownie maszerowały rytmicznie przez Kongensgade – zatoczyły koło.

Nykobing było miastem turystycznym, jednokierunkowe ulice kończyły się ślepo, nie było możliwości wydostania się, i Niemcy zabłądzili. Najwyższy ranga oficer wyrwał mapę z rąk zrozpaczonego adiutanta. „Himmikruzifixherrgottsakrament!” – darł się, ale to nic nie pomogło, inwazja byłaby się skończyła, nim się zaczęła, gdyby nie mój ojciec. Wyciągnął rękę i powiedział: „Entschuldigen Sie bitte – wreszcie mógł

\* Z niem.: Nie, dla nas.

59

wykorzystać swój niemiecki – kann ich Ihnen be-hilflich sein?!” Ludzie patrzyli na niego, jakby zwariował i chciał na miejscu dostać kulkę w łeb, ale on ostrożnie podszedł do Niemców, uprzejmie się przywitał i wskazał na mapę.

Powinni iść w prawo przy Bjernebronden i Zarens Hus, minąć Hollands Gard, a potem ulicą Slotsgade do Gabensevej – i nie skręcać w kierunku Kraghave, tylko iść dalej do Systofte i Tingsted i jeszcze dalej drogą główną numer dwa przez Eskilstrup, Norre Alslev i Gabense do mostu nad cieśniną Storstrom. Stamtąd już prosta droga do Kopenhagi – i ojciec życzył Niemcom „gute Reise”\*\*, a zabrani na rynku pomachali im, aż ostatni żołnierz zniknął na horyzoncie, i śpiew skowronków im uzmysłowił, jak bardzo jest cicho i jak wszystko tchnie pokojem. Niemcy z łatwością i bez pośpiechu pokonali czterdzieści kilometrów z Gedser do Masnedsund, nikt nie zaalarmował garnizonów w Vordingborg i Naestved. Żeby było śmieszniej, most nad cieśniną Storstrom zbudowano na tę okazję trzy lata wcześniej i nikomu nie przyszło do głowy wysadzić go w powietrze. W forcie Masnedo było dwóch poborowych marynarzy, ale nie znali się na armatach i niemieccy spadochroniarze przejęli most bez walki. Telegrafiści na stacji kolejowej w Nykobing, a później też w Vordingborg, zorientowali się, że idą wojska, i dzwonili do swojej głównej siedziby w Kopenhadze

\* Z niem.: Przepraszam, czy mogę panu pomóc? '\* Z niem.: Szczęśliwej podróży.

60

i pytali, czy powiadomić wojsko. Usłyszeli, że mają pilnować swoich zadań, i tak też zrobili – i t

samo postanowił mój ojciec, a razem z nim całe Nyko-bing.

Druga wojna światowa przeszła przez miasto jak kula, która nikogo nie trafiła i nie zrobiła żadnej szkody, bo nie napotkała oporu – innym pozostawiono okazywanie odwagi i siły potrzebnej, by stawić opór. Poszło po myśli ojca, jak gdyby nic się nie stało, mógł kontynuować swoją codzienną pracę w biurze, jeździć z chórem na wycieczki i chodzić w środy na spotkania łoży. Odetchnął z ulgą i odwrócił się do Iba. „No, to idziemy do pracy” – powiedział. Ale Iba nie było.

Lato ćwierkało w żywopłocie, w powietrzu szalały sikorki, siedziałem z mamą i z ojcem na werandzie i jedliśmy lunch. Gdzieś w okolicy buczała kosiarka do trawy, na drodze dziewczynki grały w gumę, a potem skakały na skakance i sikały ze śmiechu. Susanne miała niebieskie oczy, jasne włosy i piegi, dzieci w przedszkolu śpiewały Pod białym mostem i wiedziały, że jestem zakochany. Gdy zaczęła się szkoła podstawowa, pisywałem do niej listy – tak... nie... nie wiem – robiłem koperty, składając papier, ale nigdy żadnego jej nie dałem. Mimo wszystko miałem nadzieję, że powie „tak”, na zabawie w pierwszej klasie trzymaliśmy się za ręce i chodziliśmy w kółko i w kółko dokoła pocałunku, który czekał na mnie jak pszczoła w krzewie jeżyn.

61

Jeździłem na plażę drogą pod górkę i z górki, aż dojeżdżałem do miejsca, gdzie nad wałami śpiewały skowronki. Pachniały sosny, wrzosy i słona woda, przez cały dzień leżałem i myślałem o Susanne i słuchałem cykania świerszczy, które przebijało się przez ciszę, a w moich uszach słodkimi dreszczami wybuchało Marielyst.

Seks w naszej rodzinie nie istniał, był tajemniczym X

– nigdy nie widziałem rodziców bez ubrań, ani razu

– a jeśli mówiono o nim w czwartym programie radia, gdy jechaliśmy autem, rodzice natychmiast zmieniali na inną stację i zachowywali się, jak gdyby nigdy nic. Z seksem wiązał się wstyd, wina i strach, i wystarczyłoby, żebym przy stole wypowiedział to słowo, a odcięto by mi ręce – i nie mógłbym jeść.

Seks był nie tylko czymś, czego nie wolno było nazwać – był czymś, o czym nie wolno było pomyśleć, więc w ogóle nie potrafiłem go sobie wyobrazić. Był tuż za rogiem, pod łóżkiem, w mroku, czekał na mnie – gotów mnie dopaść w każdej chwili – nie mogłem wyrzucić go z myśli. Czegoś mi brakowało, był zagadką, czymś niebezpiecznym i zabronionym, więc kiedy byłem sam w domu, próbowałem go odkryć, ale nie wiedziałem, czego szukam.

Byliśmy we Frankfurcie w odwiedzinach u babci i zaryzykowałem, podkradłem się do szaf z książkami. Były to wielkie, ciemne, mahoniowe szafy, w drzwiach miały kryształowe szkło i kryły mnóstwo książek – zbierał je Papa Schneider. Zacząłem

62

od największych tomów, w których znajdowałem obrazki, oglądałem greckie świątynie, rzymskie ruiny i florę i faunę całego świata – kwiaty były ręcznie kolorowane – a potem zanurzyłem się w Der Grofie Brockhaus. Były to ciężkie księgi oprawne w czerń, granat i złoto i zawierały informacje o wszystkim – „Jeden Tag ich Brockhaus preiss, denn er Weiss, was ich nich Weiss”, jak mówiła

mama – gdy doszedłem do litery M i otworzyłem na „Der Mensch”\*, byłem pewien, że znalazłem.

Zobaczyłem ilustrację przedstawiającą nagą kobietę, jasnoróżową, bez jednego włoska na całym ciele, nawet na głowie – była łysa – dało się ją rozwinąć na całą długość, tak że ukazywały się i nogi i stopy. Piersi uchylało się jak pokrywki w adwentowym kalendarzu i ukazywały wtedy to, co kryje się pod skórą – wnętrzności, żyły, mięso czerwone jak kotlety. Odkryłem brzuch – całkiem jak 24 grudnia – i tak odsłaniałem ją warstwa po warstwie, oglądałem wątrobę, jelita, serce. Było to obrzydliwe i szybko odstawiłem książkę na półkę – sumienie miałem czarne jak węgiel – i nie mogłem doczekać się następnego razu.

Pobudziło to mój apetyt na czytanie, więc zacząłem chodzić do biblioteki w Nykobing, leżała przy Rosenvaenget – był to biały jak kreda budynek o szerokich schodach, najspokojniejsze miejsce na ziemi – przekraczając jej próg, zostawiałem za sobą mia-

\*Z niem.: Co dzień chwałę Brockhause, bo on wie, czego ja nie wiem. ...Człowiek.  
63

sto i rówieśników, wszystko. Jeden za drugim pochłaniałem rzędy książek w dziale dziecięcym, a gdy dotarłem do końca i zamknąłem ostatnią książkę, byłem już dość duży na to, by zmierzyć się z prawdziwym zadaniem, jakie piętrzyło się przede mną w dziale dla dorosłych.

Stały tam nie mające końca regały, przez pierwsze lata bez stołeczka nie mogłem dosięgnąć najwyższych półek. Czytałem wszystko, na co miałem ochotę, przeglądałem katalog w poszukiwaniu interesujących tytułów i polowałem wśród regałów

– i choć z tym walczyłem, systematycznie i powoli zacząłem się wczytywać w niebezpieczne książki

– pierwszą, drugą i trzecią część Sengeheste\*, Kochanka Lady Chatterley, powieści Soi – dokładnie wiedziałem, gdzie stoją. Na początku nie śmiałem zdejmować ich z półek, musiałem przemóc się i zebrać w sobie odwagę, żeby przelecieć wzrokiem po kilku fragmentach, bałem się, że mnie to wciągnie. Aż kiedyś poddałem się i ukryłem pod swetrem Jak, mamó? i czytałem w toalecie. Przesiadywałem tam, zdobywając zabronioną wiedzę, gdy tylko miałem po temu okazję, i tak dobrze się tam czułem, że mijały całe godziny – i przysypiałem. Kiedyś musiało się to stać – zasnąłem. Gdy wyszedłem z toalety, czas otwarcia biblioteki już minął, było pusto i ciemno jak w piwnicy. Drzwi były zamknięte, nie mogłem się wydostać i ogarnęła mnie

\* Sengeheste (Szaleństwa w łóżku) – antologia nowel erotycznych duńskiego autora Svena Holma, wyd. w 1966 r.

64

panika, puls walił w szyi – byłem sam, uwięziony w ciemności, i co sobie pomyśla rodzice, na pewno już się niepokoją! Posuwałem się po omacku, na pamięć – a, b, c – ale plątało mi się coraz bardziej, gubiłem się we własnych myślach i już w ogóle nie wiedziałem, gdzie jestem. Wpadłem w pułapkę – nie było wyjścia, regały nie miały końca – usiadłem i zacząłem się modlić, żeby mnie ktoś znalazł, nim będzie za późno, i nagle jarzeniówki zaczęły migotać i po chwili się rozświeciły. To przyszli rodzice i bibliotekarz, poderwałem się i pobiegłem im na spotkanie, wiele czasu minęło, nim znów poszedłem czytać do toalety. Nadeszła jesień. Któregoś dnia w drodze ze szkoły przechodziłem pod mostem przy stacji kolejowej, cieszyłem się na jesienne ferie. Na chodniku leżały rozrzucone kawałki papieru – lśniły tysiącami barw jak liście z rajskiego ogrodu – nie mogłem się powstrzymać i zacząłem je podnosić. Łatwo było je dostrzec, bo połyskiwały – jeszcze więcej leżało pod krzewami i w rynsztoku – włożyłem je do torby. Gdy dojeżdżałem do domu, coś kazało mi stanąć, zawróciłem i zamiast do domu, pojechałem do lasu Vesterskoven – na drzewach krzyczały gawrony – wygrzebałem w ziemi dziurę i ukryłem w niej papierki.

Minęła wieczność, nim mogłem wstać od stołu, powiedzieć „dziękuję” i pojechać z powrotem do lasu. Wykopałem papierki i zacząłem układać je jeden obok drugiego i z pomocą taśmy klejącej bawić się w puzzle. Im więcej udawało mi się ułożyć, tym

65

bardziej podniecała mnie ta zabawa, powoli ukazywało się moim oczom coś, czego nie wyobraziłbym sobie w najśmielszych fantazjach – gdy na miejsce trafił ostatni kawałek, nie wiedziałem, co mam z tym zrobić, z tą moją tajemnicą – miałem przed sobą kolorowy tygodnik „Color Climax”, 1973.

Mama mogła zamieszkać u babci i Papy Schneidera w Kleinwanzleben dopiero, gdy

małżeństwo zostało – jak to się nazywało – skonsumowane i babcia urodziła Papie Schneiderowi córkę. Przy powitaniu objęły się, babcia się rozpląkała, ale dzieliły je kilometry, i stało się – odtąd mama była córką z poprzedniego małżeństwa – pierwsze miejsce zajmowała jej przyrodnia siostra, Eva. Nie dało się nic na to poradzić, mama pogłaskała psa, Bello, który wokół niej skakał, i weszła do pruskiej arystokracji jako gość w życiu obcych ludzi.

Papa Schneider był właścicielem większości okolicy – ziemi i ludzi i wiosek – chodził w butach do konnej jazdy i posiadał najpiękniejsze z wszystkich aut, daimler-benz. Były konie w stajniach i służba, mama miała własny pokój z toaletką, szafą na odzież i wielkim, miękkim łóżkiem tylko dla siebie. Nigdy nie zapomniała pierwszej Gwiazdki – był obiad i rozświetlona choinka i dostała wszystko – sanki i narty i sukienki i książki z obrazkami. Mówiła, że zdawało jej się, jakby znalazła się w niebie, i postanowiła za wszelką cenę się tego trzymać.

Każdy dzień wypełniały ćwiczenia, a godziny były

66

precyzyjne jak strzelanie z bicza. O szóstej rano lekcje konnej jazdy – dostawała najbardziej nerwowe konie i jeździła w kółko z kijem na plecach i książką na głowie, a najgorsze z wszystkiego było lądowanie książki na ziemi – a potem jeszcze francuski i angielski i fortepian do trzynastej, kiedy Papa siadał do stołu. Było nie do pomyślenia, żeby się spóźnić albo żeby obiad nie był gotowy – przysyłano go kuchenną windą, ding! i podawano co do minuty – nie rozmawiało się w czasie obiadu ani o obiedzie, jadło się, żeby żyć, nie żyło się, żeby jeść! Potem Papa Schneider słuchał w radiu wiadomości z giełdy i cały dom wstrzymywał oddech i oddychał z ulgą, gdy już było po nich i Papa brał płaszcz i wychodził. A mama przez resztę dnia mozolnie walczyła o swoje miejsce. Sprawę od razu postawiono jasno – nie jest jego prawdziwą córką, nie jest jak jej siostra „blutsver-wandt”\* i musi stosownie do tego się zachowywać – nie trzeba było wielu błędów, by wskazywano jej drzwi. To, co dotyczyło innych, jej dotyczyło w dwójnasób, ale nauczyła się swojej lekcji i całowała Papę Schneidera w policzek – lewy, ten z bliznami – i konwersowała po francusku i czytała angielskie powieści i grała na fortepianie dla babci i jej gości – sonatę księżycową z prawym pedałem – a Papa Schneider patrzył, jak galopuje konno i przeskakuje rowy niczym na polowaniu, ale to ona była zwierzyzną, którą goniono.

\* Z niem.: Związana więzami krwi.

67

Gdy w czasie gry w tenisa serwowała, wydawała okrzyk, i wygrywała turnieje, a puchary na półce oznaczały kolejne przegrane. Chciała pocałunku matki, dostawała płaszcz, pragnęła ojca, a tu tylko buzia na kłódkę i grzecznie słuchać, więc brała tyle, ile mogła dostać i starała się robić z tego jak najlepszy pożytek. Na wakacjach w Górach Harzu Papa Schneider łowił ryby na muchy, więc wstawała o pół do czwartej i nosiła za nim jego graty. Jeśli po obiedzie zapomniał kapelusza, biegła za nim: „Hier, Vati!”\* Największe zbliżenie miało miejsce, kiedy pogłaskał ją po włosach i włożył jej dla żartu na głowę kapelusz. „Kleiner Frechsack!”\*\* – mówił, szczypiąc ją w policzek, aż zostawał siniak. A ona odpowiadała, że należy tylko do niego, i uśmiech za uśmiechem urabiała go. I udało jej się zdobyć miejsce – nie w jego sercu, ale przynajmniej w samochodzie – gdy w niedzielę wybrali się na wycieczkę. Zwinęli dach i śpiewali Wochenend und Sonnenschein. Miała wrażenie, że są rodziną, i przytuliła się do niego – i wjechali w samochód przed nimi, a ona wyleciała przez przednią szybę.

Miała zakrwawioną twarz, pociętą na kawałki – podobnie jak on – i być może w gruncie rzeczy dlatego Papa Schneider po tym wypadku ją zaakceptował. Zafundował jej najlepsze leczenie w klinice uniwersyteckiej w Wiedniu i rany goiły się bez blizn

– z wyjątkiem okolic jednego oka, za każdym razem

\*Z niem.: Tatusiu, kapelusz! \*\* Z niem.: Mały łobuziak!

68

wskazywała to miejsce palcem, o, tu, a ja kiwałem głową, choć niczego nie dostrzegałem – i uznał ją za swoją i włożył do portfela jej zdjęcie, był jak odmieniony. Na wszystko mogła sobie odtąd pozwolić i korzystała z tego, miała przyjaciół wśród chłopców i razem z nimi balangowała, pozwolono jej nawet przyprzeprzeć do domu Stichlinga, który był od niej dziesięć lat starszy – Papa Schneider wszystko jej wybaczał. Ona jedna mogła go udobruchać, gdy był zły, i

do wszystkiego go przekonać, a jeśli wydała za dużo pieniędzy, śmiał się i mówił: „Motto Hilde: Immer druf!“

Papa Schneider kochał ją bardziej niż swoje konie, tak bardzo, jak tylko mógł kogoś kochać, no i trafiła na rodzinny portret razem z jego psem. Byli na wycieczce w lesie, babcia siedziała na trawie z Evą na rękach, Papa Schneider czytał książkę, a ona miała na sobie krótką sukienkę – niemal przezroczystą – i grzywkę na pazia. Stała obok Bello i patrzyła na mnie, gdy siedzieliśmy przy stole w jadalni, opowiadała, że obraz namalował Magnus Zeller. Należał do grupy ekspresjonistów Blaue Reiter, Papa Schneider wspierał go, kupując jego obrazy – był też mecenasem Maksa Bechsteina i Noldego. Wisieli na ścianach do trzydziestego siódmego, wtedy musiał ich zdjąć – „entartete Kunst“\*\* – zrolował płótna i ukrył je w piwnicy, Nolde ze strachu zaczął malować kwiaty, a Pechstein i Zeller przerzucili się na pejzaże. Dwa

\* Z niem.: Raz się żyje!

\*Z niem.: Dekadencka sztuka.

69

takie pejzaże w ciężkich złotych ramach wisiały w naszym salonie – na jednym szczyty i potok w Górach Harzu, dokąd Papa Schneider jeździł na ryby, na drugim kilka ponurych drzew nad jakimś jeziorem. Pozostałe obrazy zabrała ciotka Eva, zabrała nie tylko obrazy, wzięła wszystko.

Siostra mojej mamy była złą siostrą, zupełnie jak w bajkach, mama wzrastała obok węża, który z każdym rokiem stawał się coraz bardziej jadowity. Eva była brzydka, gruba i ruda i choć w ogóle nie musiała się starać i wszystko dostawała, wszystko wypadało jej z rąk. Gdy posadzono ją na cyrkowego konia, spadła i nigdy więcej nie wsiadła na koński grzbiet, słoń jej nadepnął na ucho i francuskie czasowniki odmieniała tak, że nie można ich było rozpoznać. Była córeczką tatusia i siedziała mu na kolanach i była chwalona za nic, ale to nie pomagało, przeciwnie, tym bardziej bodło ją, gdy wbijała piłkę w siatkę i patrzyła, jak mama paraduje w tenisowej spódniczce i jest jej zaprzeczeniem – piękna i lubiana. Gdy Eva była już nastolatką, mama ubierała ją w szykowne ciuchy, układała jej włosy i zabierała z sobą na przyjęcia. Eva podpierała ściany, a na jej urodziny przyszli sami nieciekawi chłopcy, więc żeby rozkręcić zabawę, mama zrobiła wazę ponczu, rozlała go do kieliszków, i towarzystwo odetchnęło z ulgą, śmiali się i tańczyli i wygłupiali i biegali po całym domu, a Eva całowała się z jakimś chłopcem – gdy nagle przyjęcie się skończyło. Jeden z gości przewrócił się i zemdlął, trzeba go było wieźć do szpitala, bo miał wadę serca. Mama włożyła do pon-

70

czu pastylki amfetaminy i kazała Evie uroczyście przysiąc, że nikomu o tym nie powie, i wąż ukąsił.

Mamę wyrzucono z domu, trafiła do najlepszej w Niemczech szkoły z internatem dla panienek, Rein-hardswaldschule koło Kassel. Szkoła stała na wzgórzach, skąd był widok na miasto, główny budynek otaczał park, i te długie budynki z pokojami i mur i zamknięta na klucz brama. To tu, żeby uniknąć problemów, przysyłano księżniczki i hrabianki i córki rekinów przemysłu, koleżanki mamy nazywały się Sayn-Wittgenstein, Thyssen, Thurn i Taxi. Gdy na porannym apelu dyrektorka szkoły dochodziła do jej nazwiska, wycytując je, robiła pokazowy numer: „Hildegard Lidia... Voll!“ Mama wciąż nosiła nazwisko swojego ojca – nie została adoptowana i było to tak samo wstydliwe, jak być bękartem. Więc biegała, jeździła konno i skakała i biła wszystkie dziewczęta w tenisa, a w wolne wieczory zabawiała je grą na fortepianie. To musiało zastąpić nazwisko i tytuł. Świat poza szkołą był niebezpieczny, więc nie wolno im było chodzić do miasta, a najbardziej zakazane było kino i kawiarnie – nie wspominając o „Tanzcafe“ z muzyką i tańcami i o najgorszym z wszystkiego: mężczyznach. Mężczyźni to było miasto w Rosji, coś, od czego najłatwiej można było umrzeć. Co drugą sobotę wieziono dziewczęta autobusem o zasłoniętych szybach do ciastkarni, którą na tę okazję zamykano. Jadły ciastka, piły herbatę i konwersowały, podczas gdy nauczycielki siedziały jak czarne ptaki i im się przyglądały, i nie było żadnej muzyki. O dziesiątej musiały być w łózkach –

71

światło zgaszone – ale mama przesznurowała do pokoju płyty gramofonowe i urządziła imprezy. W dziurkę w środku płyty wsadzała ołówek, obracały płytę palcem, w rowek wtykały zapalniczkę z kawałkiem pergaminu i słuchały szlagierów – Benjamin, ich hab' nichts anzuzieh'n\*. A gdy dotarły do matury, mama i jej

najlepsza przyjaciółka, Inge Wolf, wyrwały się na wagary i poszły do kina. Ukryły się w fotelach i tak płakały, że aż nie wiedziały, co się z nimi dzieje, uśmiechały się potem z zaczerwienionymi oczami, lekko oszołomione i obolałe na całym ciele.

Mama wyzwoliła się z Reinhardswaldschule w trzydziestym dziewiątym i wyjechała do Berlina na studia – nauki polityczne i historia Ameryki – i tam poznała Horsta Heilmanna i zakochała się. Miał tak jak ona dziewiętnaście lat i nazywał ją „Hildchen”, a ona jego „Horstchen”, rzuciła mu się w ramiona, otworzyła serce i odzyskała życie, które jej odebrano, nim się zaczęło. Zaręczyli się, gdy wybuchła wojna, Horst trafił do Wehrmachtu i miał łamać szyfry dla wywiadu, a mama odbywała służbę jako konduktor w tramwaju – „Studiendienst” – i została sfotografowana w mundurze na użytek propagandy, bo była młoda i miała jasne włosy: „Deutsche Madei ste-hen uberall ihren Mann. Front und Heimat Hand in Hand!” Pozowała jako konduktorka w „Der Silber-Spiegel” i jako gimnastyczka do „Reichssport-

\*Z niem.: Benjamin, ja nie mam się w co ubrać.

\*\*Z niem.: Służba pracy studentów.

\*\*\*Z niem.: Niemieckie dziewczęta zawsze wspierają swoich mężczyzn. Ręka w rękę na froncie i w ojczyźnie.

72

blatt” – „Frisch und froh!” – i była dziewczyną w kostiumie w pismach dla SS, które trafiały na cały front; zdobywała Belgię, Holandię, Francję i Tunezję. Śmiali się z tego, pokazując te pisma i na głos odczytując teksty przyjacielom Horsta – reżyserowi teatralnemu Kuckhoffowi i Harro Schulze-Boysenowi, który uczył polityki zagranicznej na uniwersytecie i występował jako nazista, choć był żarliwym anty-faszystą. Jego żona miała na imię Libertas i pracowała w Metro-Goldwyn-Mayer, więc oglądali amerykańskie filmy – Przemięło z wiatrem – i słuchali alianckiego radia. Nocą rozrzucali ulotki i rozwieszali plakaty – „Das Nazi-Paradies. Krieg, Hunger, Liige, Gestapo. Wie lange noch?” – a Harro miał broń. Liczyli na USA i na Sowieców i modlili się, żeby to wreszcie się skończyło, no i skończyło się.

Jesienią czterdziestego drugiego mama pojechała z Inge Wolf na wakacje do okupowanego Paryża, a gdy wróciła do Berlina, Horsta nie było w domu. Zadzwoiła do Harro i Libertas, nie odpowiadali, nie odpowiadał też Kuckhoff ani nikt inny z ich otoczenia. Mama popędziła do Liane, ostatniej osoby, o której wiedziała, że znał ją Horstchen. Liane mieszkała w Berlinie- Schónenbergu na Viktoria-Luise-Platz, wpuściła ją do domu, była w czarnej rozpacz. Wszystkich aresztowano – Arvida Harnacka i jego żonę Mildred, Guntera Weisenborna, Johna

\* Z niem.: Rzeźka i radosna.

\*\*Z niem.: Nazistowski raj. Wojna, głód, kłamstwo, gestapo. Jak długo jeszcze?

73

Graudenza – ponad sto osób. Mamie zrobiło się czarno przed oczami, była w szoku, pobiegła do domu i zaczęła wydzwaniać do władz i pytać, co się stało z Horstem, Horstem Heilmannem, z jej ukochanym Horstchen. Nikt nic nie wiedział – w miejscu jego służby nazywało się to: „pojechał w Dienst-reise” – a policja zamiast odpowiedzieć, zaczęła wypytywać, co ją z tymi ludźmi łączy i jak się nazywa. Na koniec dotarła do sekretarki Himmlera i łkając do słuchawki, spytała, gdzie jest jej Horstchen i co takiego zrobili. Zdawało się, że na drugim końcu nikogo nie ma, a głos dociera z pustki: „Er ist verhaftet und wird vernommen, Sie haben sich beim Volksgerichtshof einzufinden, und zwar sofort. Heil Hitler!” – Mama pojechała tam wbrew zdrowemu rozsądkowi, biegła po schodach i przez korytarze i zobaczyła, że strażnicy prowadzą jakiegoś mężczyznę, to był Horst! Zawołała go, spojrzał na nią, na rękach miał kajdanki, ciągnęli go obok niej, a ona nic nie mogła zrobić, usłyszała z daleka jego szept: „Flygt, Hildchen, flygt!”

Nie wiedziała, dlaczego ma uciekać, ale bała się wrócić do Victoria Studienanstalt, a jednak wróciła, a gdy weszła do domu, stanął przed nią Papa Schneider z płaszczem na ramieniu i jej spakowaną walizką. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby to nie gestapo czekało na nią w domu, nie było

\*Z niem.: Podróż służbowa.

\*\*Z niem.: Został aresztowany i będzie przesłuchiwany. Pani ma się stawić w Sądzie Ludowym i to natychmiast.

\*\*\*Z niem.: Uciekaj, Hilduś, uciekaj!

74

chwili do stracenia – Horsta Heilmanna oskarżono o zdradę stanu – jej życie było w niebezpieczeństwie, musiała natychmiast zniknąć. Papa Schneider wręczył jej pieniądze i dokumenty i kopertę z listem na wypadek kłopotów – podziękowała i rozpląkała się. Wyjechała do Grazu. Myślała tylko o Horstchen, którego nie było, otworzyła się przed nią przepaść, która już nigdy nie miała się zamknąć.

Jedynie, czego pragnąłem na urodziny, to nie mieć urodzin. Leżałem przez całą poprzedzającą je noc i wyobrażałem sobie, że przeszliśmy nad nimi do porządku dziennego, że nikt nie zwrócił na nie uwagi, ale nigdy to się nie zdarzyło; gdy wstawałem rano i wchodziłem do jadalni, mama i ojciec śpiewali: „Kniidchen hat Geburstag, tra-la-la-la-la, Kniidchen hat Geburstag, heisa-hopsa-sa!”\* Było ciasto ze świeczkami – Gugelhupf – i karmelki wokół mojego talerza i prezenty od babci i rodziny Hagenmiillerów i od ciotki Gustschen i ciotki Inge, która mieszkała na Majorce i przesyłała serdeczne pozdrowienia i dziesięć marek. Dostawałem wszystko, co mama i ojciec mogli mi dać – rower, ponton, a gdy skończyłem piętnaście lat, motorower – i wszystko to w ciągu dnia mi odbierano, przebijano, zatapiano, niszczone. Gdy już zdmuchnąłem świeczki i otworzyłem ostatnią paczkę, miałem tylko nadzieję, że to bomba i że ziemia się zapadnie.

\* Z niem.: Knudzik ma urodziny.

75

Było tego zawsze za dużo i nie to, co trzeba, rower ojciec przywiózł z Niemiec, kupił go w Necker-mannie, „Neckermann machts möglich!”\* Miał szerokie białe opony – nikt na północ od Alp na czymś takim nie jeździł – i z góry wiedziałem, że gdy pójdę po niego po lekcjach, dętki będą przebite, że będę go ciągnął do domu i latał, i tak w kółko, aż się poddam. Zapadałem się pod ziemię ze wstydu, gdy w klasie musiałem wstać, bo na tablicy było napisane „Urodziny Knuda” i panna Kronov powiedziała, że teraz będę częstował słodyczami. Było przyjęcie, że obchodziło się z puszką cukierków całą klasę i każdy miał wziąć jednego. Mama przez tydzień pakowała do małych celofanowych woreczków ciagutki, żelki, czekoladki i wiązała kokardki, i gdy częstowałem, wszyscy robili głupie miny, a potem śpiewali „Sto lat” i cała klasa wybuchała śmiechem, wykrzykując na zakończenie: „Heisa-hopsa-sa!” A potem nadchodziło najgorsze, na przerwie częstowałem resztą torebek i zapraszałem na przyjęcie urodzinowe, i nareszcie było po wszystkim, zostawiali mnie w spokoju, pożerając słodycze, aż im się zbierało na wymioty, a potem pytali, czy mogą dostać więcej, i mówili: „Cześć!” Umierałem z przerażenia, gdy nadchodziła ta godzina i zaczynali dzwonić do drzwi, przychodzili pojedynczo, parami albo trójkami i w progu wciskali mi do ręki piątaka – monety nie były zapakowane – tyle dawało się w 1970 roku, przy dwudziestu

\*Z niem.: Neckermann czyni to możliwym.

76

uczniach w klasie było to w sumie sto koron. Nie pozostawało mi nic innego, jak ich wpuścić: Pię i Mariannę, Georga i Kima, Michaela i Jespera, Lisbet i Annemette, Jensa-Erika, Poula i Jorgena, i jak im tam jeszcze było. Przyszli świętować moje urodziny, a chodziło im tylko o jedno – zabawić się naszym kosztem, a potem opowiedzieć o tym swoim rodzicom. I dostawali to, po co przychodzili.

Mama nakrywała stół w jadalni, biały obrus, karteczki z imionami, flagi, balony i świece, a przy każdym talerzu paczuszka z prezentem – kolorowa kreda, szklane kulki, loteryjka. Mama uśmiechała się: „So, Kinder, siadają teraz i bawić się najlepiej” – i podawała wafle na gorąco i Spritzkuchen i Kartoff-felpuffer z kompotem z jabłek, a oni gapili się na to wszystko i czekali na drożdżowe pączki, których nie było, na bananowy tort, którego nie było, a zamiast soku dostali Nesquick. Nic nie chcieli jeść, dźgali ciastka widelcami, strącali na podłogę, przebijali balony, rysowali na obrusie, chichotali i nie mogli się doczekać, aż mama rozpocznie część rozrywkową. Przygotowała konkursy, bawiliśmy się w Blindekuh, Wettfischen, Mausejagd i Papiertutenlauf\*, można było rzucać piłką do puszek i dla wszystkich były nagrody: „Auf die Platze, fertig – los!”\*\* Wygłupiali się i tak rzucali piłkami, żeby musiała biegać i je zbierać, a oni w tym czasie zagarniali, co

\*Gry i zabawy: Ciuciubabka, Polowanie na mysz, Bieg z papierowymi torebkami i Łowienie rybek.

\*\*Z niem.: Na miejsca, gotowi – start!

77

się dało, i napychali kieszenie słodyczami. Zachowywałem się, jak gdyby nigdy



nic, gdy kpili z niej, mówiąc łamaną duńszczyzną i nazywali mnie tak jak ona, „Knudchen”, i ze śmiechu walili się nawzajem po plecach. Najważniejsze było, żeby przetrwać ten dzień, żeby minął, i tak nie mogłem zapobiec zbliżającej się katastrofie – była to już tradycja – i tylko pragnąłem, żeby już był wieczór i żeby mama wyjęła akordeon – ojciec trzymał się z boku – goście wyszli na ulicę i dostali do rąk papierowe lampiony na długim patyku ze świeczką w środku. Były w różnych kolorach, powycinane w księżycy i gwiazdy i dziwne twarze, które jaśniały w mroku. No i ustawialiśmy się w długim szeregu i mama zaczynała grać urodzinową piosenkę i śpiewać: „Knudchen hat Geburstag, tra-la-la-la-la!” I powoli ruszaliśmy, Pia i Marianne, Georg i Kim, Michael i Jesper, Lisbet i Annemette, Jens-Erik, Poul i Jorgen i ja i pozostali. Szliśmy przez Ditlevsensgade, a potem przez Peter Freuchensvej i dookoła dzielnicy, a mama na czele pochodu grała na akordeonie.

– Laterne, Laterne, Sonne, Mond und Sterne\* – śpiewała, a ludzie wychodzili przed domy i szli za nami, wyciągając prawe ramię w geście nazistowskiego pozdrowienia.

Niemożliwe, żeby tego nie zauważała – doskonale wiedziała, co się dzieje – i mimo to robiła swoje. Miała wolę silną jak stal i zimną jak lód, jaśniała w jej zimnych, stalowoszarych oczach. Przeżyła gorsze

\* Z niem.: Lampiony, lampiony, słońce, księżyc i gwiazdy.

78

rzeczy, przygrywała na akordeonie końcowi świata. Było to u kresu wojny, w czterdziestym piątym, wtedy poddała się, przestała liczyć na odnalezienie rodziny i w poszukiwaniu jedzenia pojechała rowerem do niemieckiej armii pod Magdeburg. Dostała ziarna soi, dowiedzieli się, że studiowała i była akademickim tłumaczem angielskiego, i wkrótce znalazło się na nią zapotrzebowanie. Nim się zorientowała, wcielono ją do Volkssturmu i ruszyła z dziewięcią armią generała Raegera i piętnastoma tysiącami dzieci, starców i rannych żołnierzy do „Festung Berlin”\* na odsiecz Fiihrerowi. Ale zostali odcięci przez Rosjan i nie mieli drogi ucieczki. Ich jedyną nadzieją była kapitulacja wobec Amerykanów, więc desperacko walczyli, żeby wyjść z okrążenia, i przemieszczali się na zachód i na północ, aż dotarli do drugiego frontu. Mama siedziała w bunkrze razem z generałem Raegerem – który miał drewnianą nogę – i jego adiutantem i grała Guter Mond, du gehst so stille\*\*, a dokoła świstały i wybuchały bomby, a potem wszystko się skończyło. Wyszła z tego cało i gdy skręcała w Hans Ditlevsensgade i zatrzymywała się przed naszym domem wśród płonących lampionów, z akordeonem na ramionach i gromadą dzieci i sąsiadów za plecami, śpiewała głośniej niż kiedykolwiek i wyciągała ostatni akord coraz dłużej i dłużej, aż ludzi i domy i ulice i całe miasto pochłaniał mrok i wszystko znikało, a mama i ojciec i ja staliśmy sami

\* Z niem.: Twierdza Berlin.

\* Z niem.: Kochany księżycu, tak cicho płyniesz po niebie.

79

i świętowaliśmy moje urodziny tym samym co zawsze „hopsa-hopsa-saaa!” Telewizora nie mieliśmy – rodzice nazywali go głupią skrzynką – do kina też nie chodziliśmy, nawet nie wiedziałem, że w mieście jest kino – i o komiksach nie było mowy, bo ogłupiały. W porównaniu z książkami były bezwartościowe i niemal niemoralne, wyrzucano je na tylne strony gazet, Poeta i mamuska w „Berlingske Tidende”, Fantom w „Lol-land-Falsters Folketidende”. Inteligencję i „Geist”\* wyrażały język i, przede wszystkim, charakter pisma. Gdy w bibliotece zobaczyłem komiksy wyłożone na stole – Tintin, Lucky Luke, Asterix – nie miałem odwagi do nich zajrzeć. Bałem się, że jedno spojrzenie na zawsze mnie zmieni, że zgłupieję, dostanę zajęcej wargi i nie będzie mnie można poznać. Pożyczyłem książki i czytałem, poza tym naszą jedyną rozrywką w domu były karty – i gry planszowe i kości – siedzieliśmy przy stole, graliśmy w wista i Rauberrommy i Mensch Argere Dich Nicht\*\*, a wieczorem w kości. Tykał bornholmski zegar i życie moich rodziców było moim życiem, nie miałem nic swojego – lecz wszystko nagle się zmieniło, gdy dostałem własne radio.

Było to małe, srebrnego koloru tranzystorowe radio Philipsa, siedziałem z uchem przyklejonym do

\*Z niem.: Duch. \*\* Gry towarzyskie: Zbójnik i Człowieku nie irytuj się.

80

niego od chwili, gdy wcisnąłem „On”. Miało tylko fale średnie i krótkie i dźwięk nie był szczególnie silny, ale było jak lufcik, sygnały docierały do Hans

Ditlevsensgade i otworzył się przede mną świat. Ojciec oczywiście natychmiast prosił, żebym ściszył, więc ściszałem, leżałem nocą, wstrzymując oddech i słuchałem radia w mroku. Szumiało i piszczało pomiędzy tyrolskimi orkiestrami a turecką muzyką, a ja kręciłem gałką w tę i z powrotem i nigdy nie miałem dość. Głosy, urywki muzyki, sygnały alfabetu Morse'a i szумы przenikały się, tworząc dziwną muzykę; rankiem miałem podkrążone oczy, bo się nie wysypiałem. Odkąd wszedłem w posiadanie radia, po raz pierwszy w życiu mogłem uwolnić się od mamy i od ojca, robić to, na co miałem ochotę – i sam decydować – miałem poczucie, że robię coś, co jest zakazane. Chowałem się pod kołdrą, żeby mnie nie nakryli, i słuchałem fal krótkich i fal średnich, badałem przestrzeń świata i wsłuchiwałem się w jego tajemnice. Stacje wyrastały nagle z szumu, Westdeutscher Rundfunk, ORF, Voice of America i „This is BBC World News”. Cały czas pojawiały się zagraniczne programy, które nachodziły na siebie i się z sobą mieszały. Rosyjscy spikerzy i wojskowe marsze zastępowały niemieckich śpiewaków ludowych i amerykańskie wiadomości. Był to ocean tonących w sobie nawzajem głosów – a ja szukałem czegoś i nie wiedziałem czego, aż wreszcie w paśmie 208 kHz zabrzmiało: „Radio Luxembourg!”

Niczego piękniejszego wcześniej nie słyszałem, nie

81

dało się temu oprzeć. Była tam muzyka i spoty reklamowe i dżingle i efekty dźwiękowe i ludzie dzwonili z Amsterdamu i Dusseldorfu, a spiker – Rob Jones – zapowiadając następny utwór, mówił tak szybko, że nie dało się za nim nadażyć, płynnie i melodyjnie. Słuchałem zespołów Sweet i Slade i Wings i Queen i Sparks, i nie wierzyłem, że to wszystko prawda, ale to była prawda, wreszcie wyrwałem się z dziewiętnastego wieku i wyładowałem w 1974 roku. Żadna z innych stacji nie miała tak dobrej jakości dźwięku, mienił się i skrzył – odtąd nic już nie było takie jak dawniej – nie mogłem doczekać się dwudziestej, gdy zaczynał się program.

Żyłem dla Radia Luxembourg, w innym świecie, który istniał tylko w tej stacji i tylko nocą. Było to coś innego niż „Zapytaj Aarhus” i „Koncert życzeń” w radiu tranzystorowym w kuchni i prognozy pogody, którymi ojciec terroryzował mnie, gdy jechaliśmy autostradą po mamę do Frankfurtu – dwa razy do roku odwiedzała babcię – a ja nudziłem się i prosiłem i błagałem, żeby zmienił program. Im dalej przemierzaliśmy się na południe, tym większe były szanse na złapanie stacji amerykańskich jednostek wojskowych – AFN – jak coca-cola chłonałem głosy spikerów i muzykę i reklamy w czasie tych niewielu minut, gdy ojciec pozwalał mi słuchać, do momentu gdy wydawał z siebie jęk i zmieniał program – co za hałas! Był to nowoczesny świat i gdy wieczorem dojeżdżaliśmy do Westendu we Frankfurcie, zostawialiśmy go bezwarunkowo za sobą. Wśród patrycjuszowskich willi o pałacowych oknach i bal-

82

konach rosły wielkie kasztanowce – babcia miała mieszkanie na Kettenhofveg 106, gdzie czas się zatrzymał, a może został zbombardowany, sparaliżowany i zabity. Wyskakiwałem z auta, obejmowałem mamę i całowałem babcię, a ona jak zwykle płakała z radości, a potem szliśmy z walizkami na górę i rozpakowywaliśmy się. No i siadaliśmy do stołu i dostawałem Schinken-Kren – jasny razowy chleb ze smalcem obłożony cienkimi warstwami jajek, ogórka konserwowego i chrzanu, aż z oczu ciekły łzy. Babcia podawała mi swoją wilgotną chusteczkę i uśmiechała się bezustannie, jej ręce były zniszczone, pokryte tą samą zrogowaciałą skórą co twarz. Pożar, który ją ogarnął, wciąż jeszcze szalał, druga wojna światowa straszyla po pokojach i brzęczała w szklanych drzwiach przedpokoju – przerażenie, oblęd i wstyd – i gdy posyłano mnie już do łóżka i leżąc, słyszałem, jak zbliża się latająca po domu mucha, bałem się, że znów jest wojna i zaraz spadną bomby – i zaczynałem szukać Radia Luxembourg.

Jeśli sygnał dochodził czysto, to były niebiańskie chwile, ale zazwyczaj przeszkadzały zakłócenia atmosferyczne i gdy wreszcie z trudem udawało mi się znaleźć Radio Luxembourg, zaczynało się na nie nakładać coś najbardziej obrzydliwego – dochodziło z pokoju babci – kobiecy głos pusto i monotennie, bez końca odczytywał liczby: „Achtung, Achtung, jedendwatzryczterypięćsidesmosiem-dziewięćzero, Eins-Zwei-Drei” i tak dalej – a potem rozbrzmiewała austriacka muzyka ludowa z jo-

83

dłowaniem i wszystko zaczynało się od początku i nie miało końca. Od razu wiedziałem, co to jest, i czułem na plecach ciarki – to była zimna wojna, a

liczby oznaczały zakodowane tajne meldunki dla szpiegów. Dało się je słyszeć wszędzie, na krótkich i na średnich falach, wysyłali je Niemcy, Anglicy i Rosjanie. „Papa November, Papa November” – mówił samotny kobiecy głos, i jeszcze raz i jeszcze raz, i w kółko przez pięć minut – w tle mocne brzmienie fletu zaklinała węży – a potem głos zaczynał po niemiecku klepać liczby: „Czteryśta sześć, czterysta dwadzieścia dwa, czterysta trzydzieści osiem, czterysta czterdzieści osiem, czterysta sześćdziesiąt dwa”. Inne stacje nazywały się Papa Żulu, Charlie November, Sierra Tango, Foxtrot Bravo. Niektóre miały swoją własną melodię rozpoznawczą, jak angielska, która zaczynała nadawanie kilkoma taktami ludowej piosenki, a potem kobieta z silnym brytyjskim akcentem wypowiadała szeregi liczb – była też hiszpańska stacja z okropnym pogłosem, a od czasu do czasu można było usłyszeć pianie koguta. Najbardziej przerażająca z tych stacji nadawała kilka tonów katarynki – a po chwili słodką, niewinną niemczyzną zaczynał wymieniać liczby dziewczęcy głos. Co kazało komuś wykorzystywać dziecko do odczytywania meldunków dla tajnych agentów? Gdzie się to odbywało i kto siedział w jakimś miejscu Europy przy swoim radiu i te liczby zapisywał? Być może chodziły wśród nas kobiety, których praca polegała na recytowaniu szeregów liczb, rok za rokiem,

84

i nie mogły nikomu o tym powiedzieć, które to? O co chodziło? Słuchanie liczb przebijających się przez za-głuszacze i przez muzykę wprowadzało mnie czasem w trans – kobiece głosy mieszały się z hukiem przelatującego nad domem na Kettenhofweg samolotu, ze strachem z czasów drugiej wojny światowej i z odgłosem bomby, która nigdy nie przestała spadać i spadała na babcię każdej nocy – takie były moje dziecięce wyliczanki, których słuchałem w radiu i przy których zasypiałem w czasach zimnej wojny.

Ciotka Ilse nienawidziła kotów i dzieliła tę nienawiść ze swoimi najbliższymi, jamnikiem i kanarkiem, które były dla niej wszystkim – nie urodziła dzieci, a mąż nie miał nic do gadania i w hierarchii zajmował miejsce po jej ulubieńcach. Nazywał się Heinrich Jaschinski – albo, jak mówiono, doktor Jaschinski – i był dyrektorem Deutsche Bank we Frankfurcie. Nigdy do końca nie wiedziałem, do której z rodzin należy ciotka Ilse, ale była brzydka jak zły rok i kwaśna jak cytryna i żyła po to, by zatruwać życie innym – przede wszystkim swojemu mężowi. Był bogaty i wpływowy i jeździł czarnym mercedesem, który przypominał okręt, ale gdy do pokoju wchodziła Ilse, zamykał się w sobie. Podbiegał jamnik i zaczynał gryźć jego but, on próbował go odepchnąć, a ciotka krzyczała: „Heinrich!” I Heinrich wiądnął w oczach.

Ciotka Ilse była najstarszą z trzech sióstr, jej siostry były piękne i powychodziły za mąż, a ona długo

85

nie. Gdy znalazła sobie męża pierwsza z sióstr, Ilse zgorzkniała, a z upływem lat stawała się coraz bardziej zacięta i nienawistna – nikt jej nie chciał – i osiągnęło to apogeum, gdy za mąż wychodziła druga siostra. Tuż przed ślubem Ilse wylała jej na suknię kieliszek czerwonego wina, zrobiła to celowo, i nawet nie starała się udawać, że jest jej przykro – skoro ona nie może znaleźć szczęścia, to przynajmniej zaszkodzi szczęściu innych – i tak została wiedźmą.

Gdy w końcu udało się znaleźć dla niej męża, Heinricha Jaschinskiego, było już za późno. Jego rodzina pochodziła ze Szczecina i nie miała nic – Heinrich ożenił się z Ilse tylko po to, by móc studiować na uniwersytecie. Wszyscy o tym wiedzieli i wiedziała to też i ona, i najgorzej odbiło się to na nich obojgu.

Ciotka Ilse jeszcze bardziej zbrzydła, sznurowała usta i ciasniej wiązała supeł na głowie i nie usuwała włosów z brodawki na brodzie i za bardzo soliła jedzenie i straszyla dzieci i – gdy tylko mogła – psuła atmosferę. „Ach, Ilsekind” – wzdychała babcia, ale Ilse nie dało się powstrzymać, pomiatała ludźmi, obmawiała ich i wymyślała Heinrichowi. A potem łaskotała kanarka i nazywała go „Piepmatz”, a jej głos był tak samo suchy jak keks, którym karmiła ptaka. U Jaschinskich było więcej reguł niż w algebrze, więc mama z dużym wyprzedzeniem instruowała mnie, co wolno, a czego nie, i jak powinienem się zachowywać.

Ubierano mnie w garnitur, tak, ciociu Ilse, dziękuję, doktorze Jaschinski, a najważniejsze było, żeby nie zdenerwować kanarka – dlatego nikt nie mógł mieć na sobie nic żółtego, bo to go roz-

86

drażniało. Siedział w klatce i nie wydawał żadnego dźwięku, a ja czekałem na swoją szansę – i gdy tylko ciotka Ilse podnosiła się i wychodziła z pokoju,

wyciągałem z kieszeni żółtą chusteczkę do nosa i machałem nią i wydmuchiwałem nos – a ptak szalał. Nie przestawał ćwierkać i krzyżeć, jamnik biegał dokoła i czekał i gryzł dywan. Ilse, pomstując, odprowadzała nas do drzwi, a ja podawałem rękę, mówiąc do jej męża „przepraszam” i widziałem, jak jego usta układają się w słaby uśmiech.

Ciotka Ilse wypędziła życie z Heinricha Jaschin-skiego, który umarł wiele lat przed nią – a raczej nie umarł, tylko powoli zniknął i szarzał i w końcu stał się duchem i jak duchy zemścił się z za grobu. Cała rodzina zebrana u adwokata siedziała jak na szpilkach, gdy zaczęto odczytywać testament – weszła wtedy jakaś samotna kobieta, zdjęła z głowy kapelusz i usiadła z boku z nieśmiałym uśmiechem na twarzy – a Ilse z każdym słowem coraz bardziej bladła. Ponieważ nie spełniła swoich małżeńskich zobowiązań – ani jeden raz, nawet w czasie nocy poślubnej – Heinrich zmuszony był szukać gdzie indziej. Pozbawił ją praw do spadku, dostała tylko to, co jej się prawnie należało – biżuterię i dom i osiem procent – zamiast niej majątek odziedziczyła sekretarka Heinricha, dostała połowę. Resztę zapisał towarzystwu Dobro Kota.

Zimowe miesiące i widok niekończących się pól ukształtowały w babci ze strony ojca nutkę dra-

87

matyzmu, żeby uczynić atmosferę jeszcze bardziej nieprzyjemną, zapalała świecę, zniżając głos i opowiadała, że gdy Carl był mały, miał w zwyczaju chodzić za swoją mamą po podwórzu z kagankiem. Prowadzili w swojej zagrodzie garbarnię, zagroda leżała na obrzeżach miasta i miała trzy skrzydła, było tam ciemno i pusto i istniały powody po temu, by się bać – zabudowania graniczyły z cmentarzem. I babcia zaczęła opowiadać historię o duchach.

Najpierw, w osiemnastym wieku, do Nykobing przyjechał cyrk. Nazwisko naszej rodziny – Romer – wzięło się stąd, że dyrektor cyrku był Włochem. Ale zachorowały mu konie i odwołano przedstawienie, no i utknął na Falster – za to, co by dostał za martwe konie, nie mógłby kupić nowych, cena była tak niska, że wolał je zatrzymać. Sam obrał je ze skóry i osiedlił się w Nykobing jako garbarz.

Oddzielanie skóry od mięsa i tłuszczu i garbowanie to brudna robota, garbarzy odrzucano tak samo, jak prostytutki i katów – byli to ludzie nocy – i kimkolwiek by była jego przyszła żona, czekała ją nędzna egzystencja. Żyli w piekle gnijącej padliny, szkieletów, skór i ognisk – z dołów od rana do wieczora unosił się odór siarki – szcurów było tak dużo, że ich ścieżki mogły spowodować zawalenie się budynków w kupy gruzu, a pomyje zabarwiały rzeczki krwią na czerwono. Urodziło im się pięcioro dzieci – i miłość nie miała z tym nic wspólnego – dwoje zmarło przed ukończeniem roku, mówiło się o nich, że są aniołkami i że jest im lepiej niż tym, które zostały na ziemi.

88

Dzieci wzrastały w kojcu zrobionym ze zwierzęcych żeber. Bawiły się śmiercią i od małości pracowały – nie miały dokąd iść, miasto było dla nich zamkniętą krainą – i gdy nadchodził czas szukania miejsca do terminu, nie dawało się niczego znaleźć. Byli nieczyści i wykluczeni i dzieci nie miały innego wyjścia, musiały przejmować zagrodę i rzemiosło. I tak garbarnia przez ponad sto lat przechodziła z ojca na syna, aż w 1898 roku nadeszła kolej na mojego dziadka. Carl zrobił coś, co było nie do pomyślenia, powiedział „nie”, odmówił wzięcia na siebie tego dziedzictwa. Nie chciał być garbarzem, przeciwstawiał się temu całą nadzieją, jaką w sobie nosił, całą odwagą i wolą działania, siedział nocami na górcie i czytał w gazecie o nowych czasach, o zagranicy. I układał plany.

Zdejmował ze zwierząt skórę, płukał ją i marzył, by uciec, jak tylko się da najdalej – i gdy rodzice zmarli, sprzedał zagrodę, a inwentarz wystawił na aukcję. A potem włożył niedzielne ubranie i oświadczył się Karen.

Ale czegokolwiek się dotknął, nie udawało się, prześladował go pech, wciąż go ktoś oszukiwał. Carl grał o wysoką stawkę, ale tylko kopał sobie coraz głębszy grób. Wydał wszystkie pieniądze – najpierw te, które dostał za zagrodę, a gdy ich już nie było, postawił to, co odziedziczyła Karen. Nie było już skąd brać, musieli wyprowadzić się z domu, opuścili „Bellevue”, a z garbarni został tylko nóż i garnek – i kaganek.

Stał na stole, świeca rzucała na pokój cienie

89

poprzedniego stulecia, babcia uśmiechnęła się w mroku, opowieść się skończyła. Słyszałem tykanie bornholmskiego zegara – gdy zaległa cisza, czas się zatrzymał,

za drzwiami czaiły się duchy, babcia powiedziała szeptem, że na rodzinie ciąży klątwa. A potem zdmuchnęła świeczkę i znikła. Włosy stanęły mi dęba. Nie zdążyłem jej poznać – umarła, nim się urodziłem.

Dziadkowie zamieszkali w szeregowcu na Sovej, a tam nie było miejsca na wielkie wizje, jak w „Belle-vue” – trzeba było otworzyć okna, żeby zobaczyć dalej niż własny czubek nosa, jak mawiał Carl. Poddał się, zatrudnił na kolei. Był cieniem siebie, w drodze do pracy przechodził przez tory z zamkniętymi oczami. Gdy rozmyślał o Kanadzie, hotelu, autobusach i Marielyst, przejeżdżał go pociąg. Nie udało się nic, w co wierzył, do niczego nie doszedł. Jak gdyby tego nie było dosyć, zdążył być świadkiem sukcesu innych ludzi, handel i turystyka rozwijały się, Marielyst kwitło. Była to najgorsza kara, jaka mogła go spotkać, patrzeć na pociągi – Amsterdam, Berlin, Paryż, Rzym – pełne ludzi wyjeżdżających w świat, podczas gdy on stał na peronie, gwizdał, machał chorągiewką i zostawał w Nykobing.

Najchętniej wszystko by sprzedał i zabrał Karen tak daleko, jak tylko byłoby ich stać, położyłby się na końcu dróg i czekał na śmierć – było to dno rozpacz – ale gryzł to w sobie i nic nie mówił, przykładał stemple, wyjmował z banku pensję, a każdego dnia coraz bardziej bolała go głowa. Czuł, jakby wszystko na niego napierało i chciało się wydostać – jego do-

90

bre pomysły, dobre intencje i dobre projekty, które w rzeczywistości spalały na panewce – o czymkolwiek pomyślał, bolało. Szumiało mu w uszach, gdy po pracy przechodził przez tory, zatrzymywał się i czekał na pociąg – liczył do stu, a potem do dwustu i tak dalej – a gdy wrócił do domu, siadał do stołu, jadł, całował babcie, mówił „dziękuję” i wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Dopiero gdy oczy z bólu zaczęły wychodzić mu z orbit, gdy wreszcie przegrał walkę z cierpieniem, powiedział o nim ojcu – coś było nie tak – i położono go w szpitalu. Było to najgorsze miejsce w mieście, lekarze niczego nie zrozumieli i postawili diagnozę, która była nie tylko błędna, ale do tego złośliwa: syfilis. Karen płakała i choć ufała dziadkowi i wiedziała, że to niemożliwe – kochał ją ponad wszystko – upokorzenie było nie do zniesienia i dziadek przeżył ostatnie dni swojego życia, wstydząc się czegoś, czego nie zrobił. Zawieziono go na badania do kliniki chorób wenerycznych w Kopenhadze i tam lekarzom wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, co mu dolega, i natychmiast przenieśli go do szpitala klinicznego. Stwierdzono, że ma raka mózgu i przed sobą trzy tygodnie życia – i lekarze wykorzystali je na eksperymenty. Robili mu zastrzyki z chemikaliów, prześwietlali i wsadzali do wielkiego bębna, który kręcił nim w kółko, w kółko, w kółko – w śmierć.

Dziadek poddał się w 1949, został pochowany na przylegającym do cukrowni cmentarzu Ostre Kir-kegard, przy którym niegdyś stała dawno już rozebrana garbarnia. Co za ironia losu! Czternaście lat

91

później tak jak to przewidział, otwarto Fugleflugts-linien – Kopenhaga i Berlin zyskały bezpośrednie połączenie i pociągi przejeżdżały tuż obok jego grobu. Ale babcia mówiła, że nie powinno nam być smutno, wszystko dobrze się skończyło, dziadek zawsze pragnął tylko jednego – wyrwać się stąd, i wreszcie mu się to udało.

Droga do wolności zapełniona była uchodźcami ciągnącymi za sobą dzieci i tyle rzeczy, ile mogli unieść, i mama wstydziła się, że mija ich, siedząc w amerykańskim jeepie. Ale zaraz pomyślała o swojej mamie – i o Papie Schneiderze i Evie i kuzynce Inge – szalała z radości: żyli i byli na Zachodzie! Wszyscy przetrwali wojnę, a ona jechała do domu, tak długo jej tam nie było, wydawało się, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Dywizja Raegera została unicestwiona przez drugą dywizję pancerną USA i trzydziestą dywizję piechoty, mama wyczołgała się z bunkra 18 kwietnia 1945 roku. W czasie kapitulacji była tłumaczką i trafiła do obozu jenieckiego – Niemcy co prawda przegrały wojnę, ale amerykańscy żołnierze przed nią padali. Bawiła się z nimi w kotka i myszkę, tu mimochodem dotknęła ramienia, tam się uśmiechnęła, ówdzie odrzuciła włosy, i na koniec podarowali jej mundur Czerwonego Krzyża, dzięki któremu mogła wydostać się z obozu – nie oglądając się, poszła prosto do szpitala sektora Magdeburg--Goslar i zgłosiła się jako sanitariuszka.

92

Doglądała chorych, rannych i umierających, było to beznadziejne, nie do

wytrzymania, bo gdy tylko żołnierze stawali na nogi, zabierano ich i zawożono do rosyjskiego obozu jenieckiego na drugą stronę Łąby. Wszystko miało być przekazane Rosjanom w następnym miesiącu i trzeba było uciekać, ale ona odwlekała to, chciała odnaleźć matkę, czekała na jakiś znak od rodziny. Szukała jej przez Czerwony Krzyż i gdy dostała wiadomość, nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu – zostali ewakuowani do Einbeck!

Dała całusa dowódcy sektora – nazywał się Mr. Plaiter – i dostała ze szpitala urlop. Wytarła usta, chwyciła walizkę i namówiła jakiegoś amerykańskiego żołnierza, żeby ją zawiózł do Einbeck – Papa Schneider jest bogaty i dobrze zapłaci, to tylko sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Gdy zatrzymali się na podwórzu, wyskoczyła z auta, pierwsza zauważyła ją Eva. „Hilde!” – zawołała i zaraz przybiegli pozostali, a ona śmiała się i płakała, całowała ich i obejmowała Papę Schneidera. I pytała o mamę, gdzie mama?

W łóżku leżała mumia, mamie zrobiło się czarno w oczach, zdusiła w sobie krzyk, nie mogła złapać oddechu. Babcia przeżyła bombardowanie, bomba trafiła ich dom w Magdeburgu, gdy w piwnicy porządkowała ubrania – w sąsiednim pomieszczeniu eksplodowały pojemniki z benzyną i babcia stanęła w płomieniach. Mama chciała ją pocałować i pogłaskać po włosach, ale babcia nie miała włosów i nie miała skóry, płonęła z bólu przy najmniejszym dotknięciu, wystarczył nawet podmuch wiatru.

Więc okna

93

trzymali zamknięte, chodzili na palcach, ostrożnie otwierali drzwi, bo każdy ruch był dla niej torturą. Patrzyła zza bandaży, jej oczy błagały o śmierć. Mama włożyła w spojrzenie całą swoją miłość i wyszeptała cichutko, niemal niesłyszalnie: „Ich bin bei dir”\*.

Papa Schneider dał żołnierzowi, który ją przywiózł, swój aparat fotograficzny, nic więcej już nie zostało. Stracił wszystko: żonę, majątek, ziemię – byli teraz uchodźcami we własnym kraju i to niemiłe widzianymi. Umieszczono ich w Kuhlgatzhof, gospodarstwie niedaleko Einbeck – podupadało od 1742 roku, należało do gorzelnika – i zamieszkali w jednym pokoju, był w nim stół, krzesła i po łóżku polowym na osobę. W pokoju obok zakwaterowano Fraulein Zil-vig, parafialną aktywistkę, poza tym była jeszcze Frau Rab, która kradła. Córka Kuhlgatza zajmowała piętro, jej mąż, Herr Hansel, był malarzem, mieszkali razem z panią Dómicke, wdową po lekarzu, która nosiła staroświeckie suknie. W stajni umieszczono Herr We-bendiirfera, byłego dyrektora fabryki lodówek, kiedyś należał do korporacji i bez przerwy chciał się pojedynkować: „Ich verlange Satisfaktion!”\*\* Jego gruba, piegowata córka Oda w środku tego wszystkiego urodziła dziecko, darła się jak zarzynane prosię. „Ach, Kinder, ihr seid nichts Vieh”\*\*\* – parsknął Papa Schneider i dodał, że cofnęli się do stadium zwierzęcego.

Herr Hansel miał służącą, Schmidtchen, ucieki-

\* Z niem.: Jestem przy tobie. \*Z niem.: Żądam satysfakcji.

\* Z niem.: Ach, dzieci, nie jesteście bydłem.

94

nierkę z Pomorza, która znalazła się w Kuhlgatzhof razem z córeczką. Nie była specjalnie zdolna, ale próbowała być użyteczna, łowiła w rzeczce ryby, z gnojnika wygrzebywała robaki na przynętę. Kiedyś wyruszyła z kozą, żeby dać ją pokryć, a gdy wróciła, cuchnęła kozłem, i chociaż wszystko wyszorowali, zapach pozostał na klatce schodowej, w pokojach, wszędzie. Tego było za wiele dla Herr Hansla, już dłużej nie potrafił hamować swoich żądź i mama w kółko musiała mu odmawiać i odrzucać propozycje zbliżenia – coraz bardziej konkretne. Miała go gdzieś, i te jego bohomyzy, które wisiały w korytarzu wiodącym do toalety. Gdy wychodziła z tego przybytku, składała ukłon przed jego portretem i mówiła: „Meister, ich habe gespult”\*.

Synowi Frau Dómicke wybuch granatu uszkodził głowę, nie miał części czaszki i gdy zdejmował kapelusz, było widać, jak żyłami płynie krew i pulsuje mózg. Był szaleńcem i szaleńczo zakochał się w Evie – w końcu znalazła adoratora, ale była to udręka, jakich mało. Skończyło się tym, że kiedyś napadł ją i pociągnął w krzaki, Eva uwolniła się i pobiegła do domu z płaczem, krzyczała, że chce wrócić do Klein-wanzleben i że wszystko ma być tak jak dawniej.

Mama chodziła po mleko do leżącego nieopodal gospodarstwa Mönchshof – dostawali kartki na mleko, trzy litry na tydzień – aby dojść do obory, musiała przechodzić obok gąsiora przywiązanego u wejścia, który na nią syczał. Pewnego dnia sprawy

\*Z niem.: Mistrzu, spłukałam. 95

potoczyły się źle, gąsior nie był uwiązany, walił mamę skrzydłami i dziobał, dopóki na ratunek nie przybiegł chłop. Mama zemdląła. Przyniesiono ją do domu – właśnie wietrzyli pokój, więźniowie wystawili krzesła i stoły na dwór i trzepali dywany – i położono na łóżku. Na całym ciele miała siniaki, była chora, wymiotowała. Niestety, w okolicy był tylko weterynarz – stwierdził złamanie dwóch żeber i powiedział, że mama jest być może... w ciąży. I zaraz ze śmiechem zamachał rękoma – tylko żartował – i dał jej morfinę. Miała dość życia na wsi. Wciąż przybywało uchodźców, z Pomorza, z Łotwy, i Papa Schneider popadł w depresję. Mama próbowała go pocieszać, pielęgnowała babcię, doglądała Ewy i Inge, usiłowała jakoś przetrwać. I postanowiła odzyskać to, co utracili, pojechać do wschodniego sektora i przywieźć z Kleinwanzleben ich rzeczy. Skontaktowała się z dawnymi znajomymi, a niektórzy byli teraz na partyjnych szczytach – w SED – i decydowali w nowych władzach, i wystarczyło nazwisko Horsta Heilmanna, żeby otworzyć większość drzwi. Mówiono, że był jednym z członków komunistycznej grupy oporu w Berlinie, Rote Kapelle, we Wschodnich Niemczech uważano ich – jego, Schulze-Boysena, Libertas i pozostałych – za bohaterów, później nawet nazwano jego imieniem ulicę w Lipsku. Mama pojechała rowerem, prześliznęła się przez granicę – niewiele brakowało, a byliby ją schwytali dwaj rosyjscy żołnierze – miała z sobą tylko klucze do domu i torebeczkę pieprzu do obrony, no i list od ojca Horsta Heilmanna:

96

Halle (Saale) 4.9.1946

Anden

Herrn Landrat des Kreises Wanzleben

In Wanzleben

Frau Hildegard Voll war die Braut meines infolge aktiver Teilnahme an der Widerstandsbewegung Schulze-Boysen am 22.12.1942 hingerichteten Soh-nes Horst Heilmann. Frau Voll selbst war mit mei-nem Sohn Horst und Schulze-Boysen, der der Lehrer der beiden an der Universitat war, auch politisch eng verbunden. Frau Voll verdient es infolgedessen bei ihren Bemuhungen um Ruckfuhrung des inzwischen von der Beschlagnahme frei gegebenen Inventars der Familie Dr. Schneider, nachdriicklichst unterstiitzt ze werben.

Ich bitte Sie, Frau Voll jede mögliche Unterstiitz-ung zuteil werben zu lassen. Dr. Ing. Adolf Heilmann Stadtbaurat\*

\* Do Starosty w Wanzleben Pani Hildegard Voll była narzeczoną mojego syna, Horsta Heil-manna; mój syn został stracony 22.12.1942 r. za aktywną działalność w ruchu oporu Schulze-Boysen. Pani Voll była ściśle politycznie związana z moim synem Horstem i Schulze-Boysenem, nauczycielem obojga na uniwersytecie. Z uwagi na powyższe pani Voll zasługuje na pełne poparcie w jej staraniach o sprowadzenie zwolnionego w międzyczasie od konfiskaty majątku ruchomego dr. Schneidera. Proszę zapewnić pani Voll wszelką możliwą pomoc. Dr inż. Adolf Heilmann Gminny inspektor nadzoru budowlanego

97

Resztę podróży do Kleinwanzleben odbyła autobusem, odwiedziła partnerów handlowych Papy Schneidera, Rabbethge i Olbrichta – przyjęli ją wylewnie, zakwaterowali i wspierali w zmaganiach z przedstawicielami lokalnych władz, którzy nazywali ją szpiegiem i kapitalistką i próbowali zastraszyć – żeby się wyniosła – do czasu gdy przyszła wiadomość od najpotężniejszego człowieka w Sachsen, wiceprezydenta Roberta Siewerta: mama mogła nie tylko żądać zwrotu rodzinnego majątku ruchomego, ale nawet zabrać go do strefy zachodniej, ba, podstawiono jej wagon kolejowy!

Gdy przyjechała do dworu, podwórze sprawiało wrażenie opustoszałego. Zegar na wieży zatrzymał się za piętnaście szósta – oczami wyobraźni zobaczyła na drzewach ciała brygadystów. Zostali powieszni, gdy przyszła rosyjska armia i wyswobodziła przymusowych robotników – większość z nich to byli jeńcy wojenni z Polski, natychmiast się zemścili. Otworzyła kluczem główne drzwi i przemknęła przez pokoje. Zostały splądrowane, więc przydzielono jej uzbrojonego strażnika z milicji i chodziła od sąsiada do sąsiada i odbierała skradzione przedmioty. Do rodziny Niemiiller weszła w czasie obiadu i zajęła jadalnię. Potem odwiedziła byłego dyrektora szkoły i wskazała na fortepian. Szafy biblioteczne były rozrzucone na cztery wiatry, trzymano w nich pościel, naczynia, wszystko, tylko nie książki. Dywany wyrwała spod stóp adwokata Papy Schneidera, i on zagrabił, co się dało. Wykopała w ogrodzie wino, odnalazła srebra, porcelanę miśnieńską

98

i ukryte w piwnicy zrolowane obrazy. Wszystko to zostało załadowane do pociągu i wysłane na Zachód, mama serdecznie podziękowała ludziom, którzy pakowali dobytek, sekretarzowi partii i Olbrichtowi i Siewertowi, i dała im większość wina i wyraziła nadzieję, że spotkają się w lepszych czasach.

Gdy rzeczy dotarły do Einbeck i zostały wypakowane, wyciągnęła sznapsa, trzeba to było uczcić! Sama go zrobiła na melasie, buraczany sznaps kapał z węża do szklanego balonu i wciąż smakował jak bimber, choć filtrowała go przez węgiel. Papa Schneider był teraz w lepszym humorze – miał swoje obrazy i książki. Wsadził do kieszeni marynarki wieczne pióro, babcia pierwszy raz wstała z łóżka, Eva włożyła najładniejszą sukienkę, Inge się śmiała. Siedli razem do stołu w swojej dawnej jadalni, unieśli kieliszki i uśmiechali się czarnymi od węgla ustami: „Provst!”

Wyspa Falster leżała tak daleko na północ, że nigdy nie było tam prawdziwego lata, i tak daleko na południe, że nie było też zimy. Nie było śniegu i nie było słońca, tylko deszcz, szaro, zimno i mglisto, od Bałtyku wiał wiatr, hulał nad płaskimi polami. Było beznadziejnie. A gdy nadszedł grudzień, na kominie cukrowni w Nykobing stała choinka – jakby miała zamiar skoczyć i popełnić samobójstwo.

Gdy na Gwiazdkę w odwiedzinach przyjeżdżała babcia, ojciec mocno podkreślał ogrzewanie, na babcię czekał pokój gościnny w suterenie, z koronkową

99

serwetą i szwajcarskimi kroplami, i jechaliśmy na dworzec. Staliśmy zmarznięci na peronie i wyglądaliśmy pociągu z R.Odby – Deutsche Bundesbahn – który dopłynął tam z Niemiec promem. Przetoczył się przez most Christiana IX i zatrzymał się z piskiem hamulców. Otworzyły się drzwi i wysiadła babcia w futrze i kapeluszu, z walizką i torebką w ręce. „Ach, Hildemauschen”\* – powiedziała, obejmując mamę. Ojciec wziął walizkę, a ja prowadziłem babcię do auta, już w drodze szeleściła w torebce papierem do pakowania prezentów. „Na, bist du auch ar-tig gewesen?!”\*\* – spytała.

Przywiozła czekoladę i prażone migdały i nową książkę, Des Knaben Wunderhorn\*\*\*. Po kolacji mama poszła do kuchni, ojciec sprzątał ze stołu, a babcia i ja siedzieliśmy sami w salonie i czytaliśmy na głos. Na pierwszej stronie był rozpalony kominek i wygięty w łuk kot, w ciepłym pokoju pachniała choinka. Kartkowałem książkę, na dworze sypał śnieg, w oddali dało się słyszeć sygnał pocztowej trąbki, a pod niebem pełnym aniołów roztaczały się górskie pejzaże z zamkami i rycerzami. A potem zapaliło się światło, wszedł ojciec i znikł ogień w kominku i kot i choinka i zamki i rycerze, wszystko znikło. Ojciec pokręcił głową: „Siedzicie w egipskich ciemnościach, przecież tu nic nie widać!” – rozejrzał się; lśniący mahoniowy stół, równo ułożone dywany, sre-

\*Z niem.: Ach, Hilduniu.

\*\* Z niem.: No co, byłeś grzeczny?

\*\*\* Cudowny róg pacholęcia – zbiór niemieckich pieśni ludowych Achima von Arnima i Clemensa von Brentano.

100

bra, wszystko było w najlepszym porządku. Kiwnął głową: „Schlafengehen”\* – pocałowałem babcię na dobranoc i poszedłem na górę spać. W szyby walił deszcz, nie mogłem zasnąć, z Hans Ditlevsensgade 14 było bardzo daleko do Gwiazdki, nawet nie śmiałem o niej marzyć.

Przywoziliśmy z Niemiec kalendarz adwentowy i babcia zawsze starała się być przy mnie, gdy otwierałem okienko z szóstym grudnia – był to dzień, w którym święty Mikołaj rozdawał prezenty grzecznym dzieciom, podczas gdy niegrzeczne dostawały różgi od Knechta Ruprechta i wsadzano je do worka; myślałem o tym z dużym wyprzedzeniem. Ruprecht wypełzał nocą z szafy i skradał się do mojego łóżka z różgą w ręce i workiem na ramieniu. Przybliżył swoją twarz do mojej – miał czerwone oczy i zakrzywiony nos – chowałem się pod pierzyną, zaciskałem powieki i wstrzymywałem oddech, dopóki nie usłyszałem odgłosu otwieranych drzwi. Rano w bucie, który wystawiłem świętemu Mikołajowi, była paczka, więc tym razem udało się, babcia dobrze o mnie mówiła Knechtowi Ruprechtowi i odesłała go stąd.

Teraz chodziło już tylko o to, żeby otwierać okienka przypadające na kolejne dni, a był to czas słodczy, w moim bucie za drzwiami było ich pełno – francuski nugat, żelowe miśki, marcepan – a na końcu kalendarza był wieczór wigilijny. Czas dłużył się niemiłosiernie, było ciemno i z nieba nie-

\*Z niem.: Do łóżka.

101



zmiennie padał deszcz, grałem z babcią w suterenie w karty. „Ach nein, das tut mir so leid“\* – mówiła zawsze, gdy wygrywała. Jedliśmy schweizerdrops, które rozpuszczały się w ciepłe grzejników – ojciec nastawiał na maksimum, żeby babcia się nie przeziębiła i nie rozchorowała – a wieczorami czytała mi głośno baśnie E.T.A. Hoffmanna – Nussknacker und Mausekóning, Der goldene Topf\*\* – gotyckie litery w jej książkach były tak samo nieprzyjemne jak te opowieści, zdawały się czarodziejскими zaklęciami. Byłem pewien, że babcia potrafi spełniać wszystkie pragnienia, a najbardziej z wszystkiego pragnąłem śniegu.

Wyskakiwałem z łóżka i wyglądałem przez okno, ale wszystko było jak zawsze, wciąż ta sama szarżyzna, i z czasem przestałem wierzyć, że będzie śnieg, no i nadeszła Gwiazdka i śniegu nie było. Po południu szliśmy do kościoła – biły dzwony, ludzie nadchodzili grupkami pod parasolami i przytrzymywali kapelusze – nienawidziłem iść przez cały kościół i siadać w ławce, bo wszyscy odsuwali się i odwracali wzrok. Msza trwała całą wieczność. Była dla innych, nas nie dotyczyła, gdy składaliśmy ręce, modliłem się, żeby tym razem nie zabrzmiała Cicha noc. Była już modlitwa wstępna i pierwsza kolęda – Już dzwonią dzwony na Wigilię – zaśpiewaliśmy jeszcze Narodził się Jezus w Betlejem i Gwiazda przyniosła nam cudną wieść, a ja ofiarowałem wszystko w za-

\* Z niem.: O nie, jak mi przykro!

\* Dziadek do orzechów i Król Myszy, Złoty garnek.

102

mian za cud. Ale przegrałem i gdy na koniec zabrzmiała Cicha noc, miałem ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Bo mama śpiewała po niemiecku: „Stille Nacht! Heilige Nacht!“\* Było to wyraźnie słycać, ludzie poruszali się na krzesłach i chrząkali

– wyobrażałem sobie, że cały kościół odwraca się i patrzy na nas, że wskazują nas palcami, i jedyne, co mogłem zrobić, to próbować śpiewać tak głośno, żeby ją zagłuszyć.

Dla ojca najważniejsze były czystość i porządek, a w Wigilię panował bałagan – wniesienie do domu choinki było katastrofą – po powrocie z kościoła nakrywaliśmy do stołu, dopieszczaliśmy szczegóły i ozdabialiśmy choinkę według stałych reguł, chodziło o zmniejszenie do minimum ryzyka szkód i pożaru. Ojciec stawiał tuż obok drzewka wiadro wody, przynosił z piwnicy kartony z ozdobami i kładł je na sekreterze, złote bombki osobno, srebrne osobno. Potem liczył łapki i wyjmował z pojemnika w szafie odpowiednią liczbę świeczek – było ich tam dość na następne sto lat – i mocował je na choince. To nie była duńska choinka obwieszona mnóstwem różnych ozdób z papieru, małymi flagami i lametą, to takie kiczowate – mama kwitowała parsknięciem

– na naszej choince, niemieckiej aż do bólu, bombki i świecek wisiały według określonego porządku, a na czubek niczym koronę wieńczącą dzieło, ojciec nasadzał metalową gwiazdę.

Po kolacji, gdy już zjedliśmy ryż z migdałami, oj-

\* Z niem.: Cicha noc, święta noc.

103

ciec zapalił w salonie lampę – świecek były niebezpieczne, brudziły, do tego dawały kiepskie światło, nic nie było widać! – i nadszedł czas na „Bescherung“\*, zawołano nas do choinki. „Ach wie schön“\*\*

– powiedziała babcia, a mama zagrała na akordeonie kolędę. Ustawiliśmy się i zaczęliśmy śpiewać, po niemiecku, po duńsku i znów po niemiecku, i podziwialiśmy choinkę, która migotała w mroku ten jeden jedyny raz w roku, gdy ojciec odpuszczał zasady. Gdy wreszcie skończyło się śpiewanie, dotarliśmy do prezentów – niemal wszystkie były dla mnie

– mama dostała od ojca cygaretki, wódkę i czek, a ojciec niegryzący sweter w odpowiednim rozmiarze, identyczny z tym, który już miał. Nie pamiętam, co dostała babcia, ale rozdawanie prezentów nie trwało długo i wkrótce siedzieliśmy i przyglądaliśmy się choince – mama zapaliła cygaretkę i naląła sobie kieliszek wódki – ojciec wyjął klucz, otworzył pokrywę gramofonu umieszczonego w wielkim radiu w mahoniowej obudowie i nastawił płytę z Wiener Sangknaben, chłopięcy chór zaśpiewał Kling Glóck-chen, Klingelingeling\*\*\*.

Gdy śpiew wybrzmiał, ceremonia była skończona i ojciec natychmiast zaczął zaprowadzać porządek i likwidować wszelkie ślady po Wigilii. Zwinął wstążki od pakowania prezentów i zdjął z drzwi adwentowy wianek, wszystko trafiło do piwnicy. Mama była

\*Z niem.: Rozdawanie prezentów. \*\*Z niem.: Ach, jak pięknie. \*\*Z niem.: Dzwoni,

dzwoneczku, dzyń, dzyń, dzyń.

104

w kuchni, a ja siedziałem z babcią w salonie i czekaliśmy, czyja świeczka wypali się pierwsza. Na dworze było ciemno, znowu padał deszcz. Babcia uśmiechnęła się tajemniczo i podała mi paczkę, którą wcześniej ukryła. „Hier, kleines Knudchen, und fröhliche Weinachten“\* – powiedziała. Zdarłem wstążkę i papier – była to szklana kula, a w niej dom, nasz dom! Obróciłem kulę i spojrzełem w okno – sypał śnieg.

Papa Schneider odnowił swoje kontakty biznesowe i otworzył na Zachodzie firmę, złożył też wniosek o zadośćuczynienie za straty we Wschodnich Niemczech – „Eintschadigung” – i osiedli w Einbeck. Inge wyjechała do Meksyku, gdzie mieszkała jej matka, której mąż był dyplomata, Eva poszła do szkoły gospodarstwa domowego i marzyła o zamaż-pójściu, a mama miała wrócić na studia. Dotrzymywali towarzystwa babci, grali w karty, czytali na głos – babcia nazbyt wstydziła się swojego wyglądu, żeby wyjść z domu – a gdy ktoś przychodził w odwiedziny, wycofywała się do sypialni i czekała, aż goście wyjdą.

Papa Schneider cieszył się dobrą opinią, był jednym z pierwszych Niemców, których zaproszono za granicę z oficjalną wizytą, był w Holandii i miał też jechać do Turcji. Ale postanowił dać sobie przed wyjazdem na wszelki wypadek zoperować kamienie żółciowe – musiał być w odpowiedniej formie,

\* Z niem.: Masz, Knudziku, wesołych świąt!

105

reprezentował kraj – tak jakby sobie poprawiał we wnętrzościach krawat. Była to nieskomplikowana operacja, nie trudniejsza niż związanie krawata w węzeł typu Windsor, ale coś poszło nie tak.

I babcia po raz drugi straciła męża na stole operacyjnym. Była oszpecona i w 1948 została sama na ruinach swojego życia z dwiema córkami i trupem. Zasłoniła twarz woalką i razem poszły do szpitala – przyjechała już ciotka Gustschen z rodziną z Biebrich. Czekali na nie w żałobie, Papa Schneider leżał w łóżku, nie był bardziej zimny i sztywny niż zwykle. Wszyscy tak pomyśleli, ale nikt nie śmiał tego powiedzieć, to mama musiała podejść i sprawdzić, czy rzeczywiście umarł.

Chciała zbadać puls i nie miała odwagi go dotknąć – oczy Papy Schneidera były zamknięte – zwątpiła, czy serce kiedykolwiek w nim biło. Przyłożyła ucho do jego ust i nasłuchiwała oddechu. Usta nieznacznie się poruszyły, mama poderwała głowę – było za późno! Wyzionął ducha, ale przedtem wyszeptał swoje imię, swoją tajemnicę, mama je poznała. Patrzyła na babcię i resztę rodziny stojącej w napięciu w drzwiach, ale słowa uwięzły jej w gardle – nic nie mogła powiedzieć, gdy ciotka Gustschen spytała: „Tot?“\*, skinęła tylko głową. Albo Bóg go nie wezwał, albo też Papa Schneider w ostatniej chwili stracił odwagę, i teraz przyszła kolej na nią.

Po pogrzebie zadzwoniła do banku. Okazało się, że gdy obliczono wartość kredytów i inwestycji, w za-

\* Z niem.: Nie żyje?

106

sadzie nie miały za co – jeśli nie liczyć inwentarza ruchomego z Kleinwanzleben – dostać zadośćuczynienia. Skłamała babci i Evie, że pieniądze od państwa są w drodze – i zaczęła szukać pracy. Została pociągową sekretarką, tylko to było do wzięcia. Nauczyła się systemu dziesięciopalcowego i pisała na maszynie jak szalona, sto dwadzieścia znaków na minutę, w nowych, szybkich pociągach – D-Zuge – przemierzających wzdłuż i wszerz zbombardowane Niemcy. Było to wyczerpujące i nie starczało na utrzymanie ich trzech – do tego ciągle dostawała dwuznaczne propozycje od podróżujących mężczyzn. Przez godzinę byli jej szefami i potrafiło im przyjść do głowy dyktowanie takich zdań: „Czy da się Pani skusić na lunch w restauracyjnym?” albo „W hotelu może pani zarobić więcej”. Od czasu do czasu bywali natarczywi – z góry widziała to po nich, gdy wchodzili do przedziału z lśniąca od potu twarzą – i musiała szukać pomocy u konduktora. Najbardziej niebezpieczne były dworce nocą i niedługo trwało, nim do tego doszło – od napastnika dzieliła ją tylko torebka pieprzu, zaatakował w Hamburgu, sypnęła mu tym pieprzem w oczy i uciekła, zostawiając za sobą jego krzyk.

To, że nawiązali z nią kontakt Tesdorph i dyrektor Arnth-Jensen z Duńskich Cukrowni, było darem niebios. Papa Schneider współpracował z Duńczykami, gdy zajmował się produkcją nasion buraka cukrowego, dużo wtedy eksportował – należał do głównych producentów na rynku – i teraz Duńczycy chcieli pomoc i zaprosili

mamę do Kopenhagi.

107

Zainstalowali ją w hotelu i wydali na jej cześć obiad w restauracji Wivex – wziął w nim też udział Anglik, dyrektor Rose. Nazajutrz zobaczyła małą syrenkę i zmianę warty przed pałacem Amalienborg, i zwiedziła Tivoli – migotały kolorowe lampy, ludzie się śmiali, w teatrze pantomimy poszła w górę kurtyna z ogonem pawia i Pierrot walczył z Arlekinem o Kolombinę. Mama pochodziła po sklepach i weszła na Okrągłą Wieżę i patrzyła na miasto. Była oszołomiona – żadnych ruin, żadnych inwalidów, żadnego głodu – życie mieniło się kolorami, trudno było w to uwierzyć.

Tydzień później Arnth-Jensen zaprosił ją do siebie i powiedział, że mogą zaproponować jej pracę w Duńskich Cukrowniach. Przyjęła propozycję, podziękowała i pojechała do domu zawieźć dobrą nowinę o tym, że ma pracę, i złą o tym, że w Danii, będzie musiała przez jakiś czas mieszkać daleko od domu, ale co miesiąc będzie przysyłać pieniądze, a poza tym Duńczycy są mili – Dania to bajkowy kraj – i wszystko jest małe jak zabawki.

Był rok 1950, tyle co osiadł kurz po wojnie, gdy mama przyjechała na skuterze Vespa do Nykobing. Jej chustka trzepotała na wietrze, a ona sama była sztywna z zimna. Wyruszyła z Einbeck – była późna jesień, deszcz, chłód – i jechała sześćdziesiątką po autostradzie aż do Travemunde. Stała potem na deku promu i patrzyła, jak niknie stały ląd, jak tonie w Bałtyku z wszystkim, co знаła, kochała i posiadała – jej wyprawa na Falster była tak nieprawdopodobna, że nigdy nie powinna się była wydarzyć.

108

Obudziła się w Missionshotellet i zaczęła przygotowania do wyjścia do cukrowni – zatrudniono ją w laboratorium – nie wiedziała, co ją czeka. Bo w Nykobing słodki był tylko cukier, który tam produkowano. Ludzie patrzyli na nią krzywo i nie odpowiadali na pytania, tylko jej szef, pan Molier, był coraz miłszy i pomagał jej radzić sobie z kolbami, tabelami i palnikiem Bunsena. Nalegał, że odprowadzi ją po pracy do hotelu, żeby nic złego nie spotkało jej przy bramie fabrycznej – stojący tam robotnicy gwizdali za nią, śmiali się i coś tam wołali – ale przy wejściu do hotelowego pokoju odprawiła go. I pan Molier zmienił osobowość i zaczął grozić

– powinna uważać! – więc szybko zamknęła za sobą drzwi. Spakowała się, włożyła płaszcz, chwyciła walizkę, a potem usiadła na łóżku i zatopiła twarz w dłoniach. Drżała, dygotała i nie mogła płakać – jakby nie miała już więcej łez – ale niczego to nie zmieniło, musiała zostać.

Nykobing było opuszczoną przez Boga dziurą, i tak wroga, że problemem było dla mamy pokazywanie się na ulicy. Jedną z niewielu osób, które ją dobrze przyjęły, była pani Jensen, jej mąż pracował w Orupgard. Mama wynajęła u nich pokój – byli mały, zamiast drzwi wisiała zasłona, którą można było odsuwać na bok – mama postanowiła być twarda, zacisnęła zęby i chodziła do cukrowni. Gardziła tymi niskimi, grubymi ludźmi, mówiła o nich „karły”. Co tydzień pisała do domu – robiła to tak długo, jak długo żyła babcia – i gdyby jej ktoś powiedział, że z wszystkich miejsc świata właśnie tu

109

spotka swoją wielką miłość, roześmiałyby się i potrzęsnęłyby głową: nigdy! Było to pewnej niedzieli na rynku, ojciec jak zwykle szedł z wizytą do jednej ze swoich znajomych, niosąc dwie „gęsie piersi”. Był wysoki, szczupły i promieniał niczym słońce – gdy pytałem mamę, dlaczego się w nim zakochała, odpowiadała, że był przystojnym mężczyzną, no i miał ręce i nogi. Mężczyźni jej pokolenia w większości albo zginęli, albo byli inwalidami, w Niemczech zostały tylko dzieci i starcy. No i postanowiła go poznać. Nie było to łatwe, bo nie mogła zagadnąć go na ulicy – takie rzeczy robiły tylko prostytutki – a nie znała nikogo, kto mógłby ich przedstawić. Czas mijał, góry buraków przed cukrownią malały, z komina wydobywało się coraz mniej pary, kampania zbliżała się do końca. Nadchodził czas powrotu do Niemiec, nie miała pojęcia do czego, nie wiedziała, jak miałyby z babcią i Evą sprostać rzeczywistości. Ale szczęśliwym trafem jej i ojca drogi skrzyżowały się.

Szedł na próbę chóru i towarzyszył mu zarządca z Orupgard, a mama spacerowała z panią Jansen, która znała ojca – to jest Hildegard Voll, pracuje w laboratorium. Szli w tę samą stronę, mama i ojciec rozmawiali po niemiecku, on był miły i uprzejmy, na palcu nie miał obrączki. Odtąd gdy się spotkali, mogli już sobie mówić „dzień dobry” i mama starała się, żeby to się zdarzało często; flirtowała

z nim w sklepie, a gdy kiedyś przypadkowo wpadła na

110

niego w parku, spytała, czy nie zaprosiłby jej na firmową imprezę w hotelu Baltic.

I napisała do domu, że znalazła męczyznę swojego życia, babcia szalała, rozplakała się nad jej listem – obcy mężczyzna w obcym kraju, w dodatku z nikim nie jest spokrewniony! I sezon się skończył, a mama nie wyjechała, i ojciec zaprosił ją do siebie na Nybrogade na kawę i „gęsie piersi”. W mieszkaniu było ładnie i porządnie, ojciec pokazywał jej kupione na aukcji obrazy – polna droga, port, kawałek lasu – ona uśmiechała się, a potem usiadła do fortepianu i przekartkowała nuty do pierwszej strony – to był Mozart.

Babcia ze strony ojca zapracowała się na śmierć i dawno już umarła na artretyzm, ale w bornholm-skim zegarze w salonie wciąż jeszcze było słyhać, jak chodzi o lasce, tik, tak, tik, tak. Odkąd po pogrzebie Carla z powodu bólu przestała chodzić, położyła się do łóżka i już więcej nie wstała. Ojciec przychodził do niej i robił jej okłady, i ciepłe i zimne, ale nie pomagało. Lekarze nie mogli nic poradzić na artretyzm i nie mieli pojęcia, skąd się wziął, była tylko jedna teoria: że wziął się z zębów, i stwierdzili, że jedyną nadzieją jest leczenie eksperymentalne.

Jeden po drugim powyrywali babci zęby i jej uśmiech znikł, w zamian dostała sztuczny, mogła go sobie wkładać do ust. Uśmiechała się i uśmiechała, a w chrząstkach i kościach paliło, stawy były powykręcane – ręce przypominały pazury – i gdy ojciec

111

przedstawił jej mamę i powiedział, że zamierzają się pobrać, nie wiedział, czy babcia się cieszy, czy też to tylko cieszyła się proteza. Spotkały się tylko raz, mama spytała, jak babcia się ma, a Karen skinęła głową i uśmiechnęła się, nic nie zrozumiała z tego, co mama mówi, ani po niemiecku, ani po angielsku – nie zamieniły z sobą słowa. Mama spróbowała swoich sił po duńsku, ale wtedy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Leif, starszy brat ojca – utykał – ze swoją grubą żoną Kamą i trójką dzieci. Przywitali się – z rezerwą, chłodno – a dzieciarnia hałasowała i skakała dokoła i podbiegała do łóżka. „Uważajcie!” – krzyknął ojciec, a potem wziął mamę za rękę i powiedział „do widzenia”. Odłożyli rozmowę z babcią na później, a gdy minęło kilka dni, babcia wyjęła sztuczną szczękę.

Położono ją w urnie obok dziadka i nigdy jej nie poznałem i brakowało mi jej, więc siadałem na podłodze przed bornholmskim zegarem, w którym straszyla. Zegar pochodził z domu jej rodziców, Klo-vergarden w Sildestrup – i gdy co godzinę dzwonił, biegłem do drzwi w nadziei, że stoi za nimi babcia. Nie było jej, oczywiście, ale miałem wrażenie, że idzie do nas i jest blisko – tik, tak, tik, tak – że już-już nadgoni czas, zadzwoni do drzwi i powie: „Dzień dobry”. Test w szkole miał zdecydować, czy dzieci są wystarczająco dojrzałe, by pójść do pierwszej klasy – rodzice stali pod ścianami i przyglądali się. Siedziałem

112

w ławce wśród innych dzieci i spoglądałem na mamę, promieniała, była szczęśliwa i pomachała mi ręką. Dostaliśmy ołówek i kartkę papieru, na której narysowany był dom, a przed domem maszt, i panna Kronov, nauczycielka, przedstawiła zadanie. Polegało na tym, żeby narysować flagę, która powinna powiewać na wietrze – kierunek wiatru zaznaczono strzałką – i nie zdałem. Błąd krył się nie w kierunku, w jakim powiewała flaga, tylko w tym, że namalowałem niemiecką flagę. Mama przeprosiła i ustalono, że lepiej będzie, jeśli poczekam jeszcze rok.

Przez całą drogę do domu mama śmiała się i śpiewała: „Pulver ist Schwarz, Blut ist rot, Golden flac-kert die Flamme!”\* – i krótko potem pojechaliśmy do babci do Frankfurtu i babcia posłała mnie do niemieckiej zerówki. Rano poszliśmy ulicą Kettenhof-weg – dostałem tornister – minęliśmy Mendelsohnstrase, po której jeździły tramwaje, na rogu była piekarnia i sklep papierniczy, i kawałek dalej mama przekazała mnie w bramie kobiecie z koczką ubranej w ciemną suknię. Gdy odebrała mnie po południu, byłem w szoku, odmówiłem chodzenia do tej mrocznej szkoły i walczyłem tak długo, aż mama westchnęła i się poddała. Kupiła roczną kartę do Palmengarten i zaczęła uczyć mnie sama.

Przed południem czytaliśmy – Winnetou, Kleiner Muck, Max und Moritz – i rysowaliśmy, z rachun-

\* Z niem.: Czarny jest proch, czerwona krew, złotem migocze płomień.

kami daliśmy sobie spokój, a zamiast tego chodziliśmy do muzeum przyrodniczego oglądać dinozaury. Leżało kilka ulic od nas i nazywało się Senckenberg Museum, uwielbiałem je. Mieściło się w barokowym pałacu – szerokie schody, dwuskrzydłowe drzwi, wysokie okna, lustra i połączone stiuki – zdawało się, że szkielety dinozaurów – ogromne! – chodzą po salach, gotowe ruszyć z szeroko otwartymi szczękami i że za chwilę wróci era prehistoryczna.

Był tam tyranozaur i brachiozaur – i skrzydlaty raptozaur, który umiał latać – a na pierwszym piętrze zza oszklonych gablot patrzyły na nas wypchane żyrafy i słonie i ptaki i ryby i zwierzęta domowe. Na ostatnim piętrze były skamieliny i kamienie, a gdy zbliżaliśmy się do egipskich mumii, mama chwyciła mnie za rękę. Wędrowaliśmy wśród czaszek i ludzkich szkieletów pochodzących z najdłuższego okresu historii ziemi, który liczył cztery miliardy lat i zakończył się epoką lodową.

Po lunchu miałem wolne i mogłem robić, co chciałem, a chciałem iść do Palmengarten. Wystarczyło przejść przez Beethovenstrase, minąć ruiny kościoła i skręcić w Bockenheimer Landstrase, i już stało się u wejścia do innego świata. Gdy mijalem maszynę liczącą gości, następowała eksplozja kwiatów, lśniły tysiącami barw przed wielką, białą palmiarnią. Na werandzie podawano napoje, ludzie pili kawę i jedli ciastka – jeśli się poszło na prawo, można było dojść do ogrodu botanicznego i do palmiarni, ale ja pobiegłem w lewo, do jeziora z wypożyczalnią łódek. Wiosłowałem godzinami i zużyłem na to całe moje

kieszonkowe, a gdy już nie miałem pięćdziesięcio-fenigówek – taka była cena – wyszedłem na ląd i przewędrowałem stepem z jednej części świata do innej, do palmiarni, i bawiłem się w podróżnika odkrywcę. W jednym pomieszczeniu było sucho – kamienie, piasek, kaktusy – w drugim wysoka wilgotność i mnóstwo orchidei. W palmiarni uderzał upał tropiku, wypukły szklany dach wznosił się nad dżunglą pełną skalnych grot i wodospadów. Pośród palm latały fantastyczne motyle, a powietrze dźwięczało świergotem ptaków, jakiego nie słyszałem nigdy przedtem, i przedzierałem się przez liście i liany w poszukiwaniu skarbów Inków. Mama nie mogła wyciągnąć mnie z Palmengarten, przyszła wieczorem na plac zabaw i znalazła mnie na drabinkach. Były zbudowane w kształcie samolotu, siedziałem na górze przy sterze i leciałem w daleką podróż nad Atlantykiem, do Ameryki. Zaczęło się ściemniać, plac zabaw od dawna był pusty. Mama stała i marzła, błagała, żebym zszedł, aż w końcu udało jej się zwabić mnie obietnicą słodczy przy wyjściu, ale gdy tam przyszliśmy, było już zamknięte. Następnego dnia zachorowała, pojawiła się gorączka i położono ją w szpitalu – odwiedzałem ją tam razem z babcią – powiedziano nam, że dostała zapalenia płuc i niewiele brakowało, a by umarła. Było to straszne i ojciec przyjechał z Nykobing, żeby nas doglądać, a ja czekałem na karę.

Sypialnia u babci wychodziła na podwórze, gdzie stały garaże i rósł wielki kasztanowiec, był tam też owczarek alzacki, który bez przerwy czekał. W po-

dwórzu mieściła się Pension Gólz. Pani Gólz była Żydówką, nosiła suknie w wielkie kwiaty i – duża i gruba – przesiadywała w swoim fotelu w przeładowanym meblami salonie, gdzie także spała na rozkładanej sofie, a resztę pomieszczeń wynajmowała. Domem administrowała rodzina Djugaric – pochodzili z Jugosławii – pani Djugaric prała i sprzątała w kapciach i w fartuchu, a jej mąż był gospodarzem domu. Ich córka o ciemnorudych włosach miała na imię Dolores. „Wie im film”\* – powiedziała Dolores, a ja natychmiast się w niej zakochałem, choć była ode mnie starsza. Głównym zajęciem Dolores było malowanie się – rozłożyła swoje lustro, szufladę pod nim wypełniały kosmetyki – a poza tym słuchaliśmy z płyt Beatlesów i Rolling Stonesów – Paint it black. We \oveyou – i tajemniczego The Road to Cairo. Djuga-ricowie mieli telewizor i najbardziej lubiłem przychodzić do nich na kolację. Ojciec Dolores robił chevap-cechi – małe roladki z siekanego mięsa z cebulką i czosnkiem i pieprzem – gdy smażył je w kuchni, pachniało oliwą i cebulą. Serwował je z chlebem i sosem pomidorowym i z włączonym telewizorem, przez ekran przelatywały reklamy – budowlanych kas oszczędnościowych, środków do prania i papierosów: „Wer wird denn gleich in die Luft gehen? Greife Liber zur HB” i Afri-Coli: „Sexy-mini-super--pop-op-cola” – od czasu do czasu przerywano je krótkimi filmami rysunkowymi, Die Mainzelman-

\* Z niem.: Jak w filmach.

nchen i Onkel Otto\*. A potem rozbrzmiewał sygnał stacji i leciał Mit Schizm, Charm und Melone, w którym John Steed ratował świat przed robotami i w ostatniej chwili otrzymał pomoc od swojej partnerki w skórzanym ubraniu, Emmy Peel. Gdy wślizgiwałem się przez szklane drzwi do mieszkania babci, czułem się jak podwójny agent – szkło w drzwiach pobrzękiwało – całowałem ją i mamę na dobranoc, a moją tajną misją było oglądać tyle telewizji, ile tylko się da, i nie dać się nakryć.

Wpadałem do Djugariców, gdy tylko udawało mi się wyrwać z domu, i pytałem o Dolores. Jechaliśmy na gapę tramwajem do centrum i chodziliśmy w tę i z powrotem deptakiem, a potem udawaliśmy się do Kaufhof. Od czasu do czasu pływaliliśmy łódką w Palmengarten i w ogrodzie wyławiałem dla niej ze studni życzeń monety, jeden, dwa, pięć i dziesięć miedzianych fenigów i srebrne jedno- i dwumar-kówki, a ona pokazała mi, jak włożyć rękę do maszyny z napojami, żeby wyjąć coca-cole. Obie moje flamy, Dolores i Emma Peel, przepadły jednocześnie, gdy oznajmiono mi, że wracamy do domu do Nykobing. Siedziałem na podwórku, odrywałem zielone liście kasztana i czekałem na Dolores. Spytałem, czy przyjedzie odwiedzić mnie w Danii, a ona powiedziała „tak”.

Mama zabrała mnie na ciastka do Cafe Krantz-ler na Hauptwache i powiedziała, że wieczorem pójdziemy do opery – było to pożegnanie z Frankfur-  
\* Krasnoludki, Wujek Otto.

117

tem. Opera leżała w ruinach na Opernplatz, wielka, podziurawiona, wypalona. Ubrano mnie w garnitur, przez godzinę czesano włosy, a babcia wytarła mi twarz naślinioną chusteczką do nosa. Mama pachniała perfumami, promieniała w biżuterii i futrze. Poszliśmy tam razem, mieliśmy oglądać Die Meister-singer. Gdy już usadowiliśmy się na widowni, mama powiedziała, że to będzie Wagner, skrzyły się żyrandole, salę wypełniał gwar. Byliśmy w nowym gmachu teatru na Theaterplatz, całkiem inaczej to sobie wyobrażałem, do momentu gdy zabrzmiała muzyka i kurtyna poszła w górę – na scenie zobaczyłem połamane kolumny, dym i kawałki marmuru. Mama szeptem tłumaczyła mi akcję, wyjaśniała, co się dzieje, i opowiadała jak to było, gdy w 1940 słuchała w Berlinie Ryszarda Straussa, i na widownię wszedł Hitler z wdową po Straussie, Pauliną, u boku. Wszyscy wstali, a mama, choć się bała, pozostała – razem z Horstem, Harro i Libertas – na swoim miejscu. „Ja też bym nie wstał” – stwierdziłem i skinąłem głową, a potem coraz głębiej zapadałem się w fotel, aż zasnąłem przy trwającej w nieskończoność muzyce. Poruszały się cienie, wyły syreny, opera wokół nas stanęła w płomieniach i spaliła się do fundamentów.

Pierwszy dzień szkoły był jak Boże Narodzenie i Nowy Rok i wszystkie urodziny razem wzięte. Babcia przyjechała do Nykobing, żeby to uczcić i przywiozła „Wundertute” – wielki rożek, jakie z takiej

118

okazji dawano dzieciom w Niemczech, w życiu nie widziałem tylu słodczy na raz, z trudem mogłem go utrzymać. Wybieraliśmy się do szkoły, tata zrobił mi zdjęcie na ulicy przy furtce, mama poszła ze mną, odprowadziła mnie do wejścia, powiedziała „do widzenia” i pocałowała mnie w policzek. Uradowany pobiegłem na szkolne podwórko, gdzie dzieci i nauczyciele śmiali się i rozmawiali. Czułem się trochę zagubiony, aż wreszcie ktoś zwrócił na mnie uwagę, i jeszcze ktoś, i jeszcze. Nim się zorientowałem, stałem z moim rożkiem w objęciach, w krótkich skórzanych spodenkach i zielonych podkolanówkach, w środku zgromadzenia – i zaczęło się. Powoli, rytmicznie, cała szkoła zaczęła skandować chórem to, czego miałem słuchać przez resztę dnia, przez wszystkie lata, przez całe życie: „Nie-miec-ka-świ--nia! Nie-miec-ka-świ-nia! Nie-miec-ka-świ-nia!”

Nykobing Falster to miasto, które kończy się w miejscu, w którym się zaczyna. Jeśli w nim jesteś, nie możesz wyjść – a jeśli jesteś na zewnątrz, nie możesz wejść. Możesz tylko przez nie przejść, a jedyny ślad, jaki po sobie zostawia, tkwi w ubraniach – latem smród nawozu, zimą buraków cukrowych. Tu urodziłem się w 1960 roku. I był to najbliższy kontakt, jaki mi się w życiu zdarzył z czymś, co nie istnieje.

Nasz dom stał na Hans Ditlevsensgade 14 w ostatnim szeregu – dalej były pola buraczane i las Ve-sterskov – i co do joty przypominał domy z czerwo-

119

nej cegły z żywopłotem, garażem i ogrodową furtką, ale nim nie był. Był koszmarem, od którego nie mogłem się uwolnić. Drzwi wejściowe zawsze zamknięte na klucz, drzwi do piwnicy też, klucze ojciec trzymał w kieszeni. Zasłony były

zaciągnięte, a okna otwierały się do środka i zamykały w domu siebie i naszą rodzinę, która składała się z mamy, ojca i mnie – i nikogo poza nami. Siedzieliśmy w trójkę przy stole jadalnym rano i w południe i wieczorem, rok za rokiem, w Boże Narodzenie mocno wyciągaliśmy ramiona, ale i tak nie mogliśmy objąć choinki, w Nowy Rok siedzieliśmy w trójkę, piliśmy szampana i rzucaliśmy serpentyny, a o dwunastej mówiliśmy „na zdrowie”. W trójkę świętowaliśmy urodziny, Wielkanoc, Zielone Świątki i noc świętojańska, z daleka oglądaliśmy ogniska i słyszeliśmy śpiew ludzi – Kochamy nasz kraj – i w każde letnie wakacje też byliśmy: mama, tata i ja, zawsze, na zawsze.

Jeździliśmy samochodem na wycieczki do Boto i do pałacu Corselitze, w Pomlenakke spacerowaliśmy wśród buków nad urwiskiem, mama i ja szukaliśmy na brzegu morza płaskich kamieni i puszczałyśmy kaczki, ojciec grzebał łaską w piasku, był nieobecny – liczył ziarnka. Jesienią zbieraliśmy w lesie grzyby, a ojciec uderzał łaską w stosy drewna opałowego, niektóre wydawały dźwięki i można było na nich wygrać melodię. Wiosną zrywaliśmy zawilce i konwalie i mama układała je w figurkach z fabryki królewskiej porcelany – w dziewczynce z koszem kwiatów i w rybaku – i stawiała na stole, a potem

120

jedliśmy kolację i wszystko się powtarzało, jak po kole.

W jadalni stały meble Papy Schneidera, ciemny, lśniący mahoń, krzesła, na których siedzieliśmy, stół i kredens. Jedliśmy srebrnymi sztucami z jego monogramem, i gdy nóż i widelec leżały po dwóch stronach talerza, wygrawerowane na nich litery układały się w SS. Używaliśmy jego serwisów, na co dzień Villeroy & Boch, od święta porcelana miśnieńska. Były na niej kwiatowe motywy w mocnych barwach, gdy mama mówiła: „Meissner” i wyjmowała ją z kredensu, brzmiało to jak gwiazdkowe i noworoczne dzwony. W kredensie porcelana poprzekładana była różową bibułą – talerze na pięć dań i dwanaście osób, półmiski i wazy – a używanie ich było czynnością świętą. Na stole biały haftowany obrus – i kryształowe kieliszki – a przy naszych miejscach serwetki ujęte w srebrne obrączki. Siadaliśmy i dopełnialiśmy rytuałów, mówiliśmy zawsze to samo i robiliśmy to samo, a sztucce dźwięczały, wygrywając na porcelanie melodię o strachu przed rozsypaniem się na kawałki.

Żyliśmy w samotności, zamknięci przed resztą świata, rodzice nie mieli przyjaciół ani znajomych, ani żadnego życia towarzyskiego. Nie było spotkań, w których brałoby udział moi dziadkowie – i moje duńskie kuzynki i kuzynowie i ciotki i wujowie. Dziwne było nie mieć żadnych krewnych. Ojciec nigdy na ten temat nie mówił, a gdy o nich pytałem, dowiadywałem się, że dawno ich nie widział – jakby to wszystko tłumaczyło. Mamie zdarzało się

121

na przykład powiedzieć, że dziadek ze strony ojca był fantasta i wszystko stracił, na co ojciec odpowiadał, że było to ciężkie doświadczenie. Bliżej się o tym nie wypowiadali, ale ja nastawałem, i wreszcie pewnego wieczoru, żeby raz na zawsze sprawę zamknąć, ojciec powiedział prawdę: odcięli nas – a ja oczami wyobraźni zobaczyłem leżące w pokoju odrąbane członki naszych ciał i nie mogłem zrozumieć, jak można być tak okrutnym.

Ib zniknął tuż po zajęciu Danii przez Niemców, dopiero w czterdziestym czwartym zadzwonił telefon i ojciec usłyszał w słuchawce głos młodszego brata. Ib przyłączył się do ruchu oporu i gdy w Odense wybuchły strajki i zaczęły się szerzyć sabotaże, ojciec wiedział, że to on. Można było śledzić jego kroki w całym kraju, to tu, to tam, gdziekolwiek coś wylatywało w powietrze – tory kolejowe, fabryki kolaborantów – brat ojca zawsze był awanturnikiem, a teraz mógł robić to, na co miał ochotę – i w końcu musiał zejść do podziemia. Miał uciekać do Szwecji, ale żeby mogła jechać z nim narzeczona, Jeanie, musiał się najpierw ożenić – i chciał pożyczyć ciemny garnitur ojca, jeśli można.

Ojciec takich rzeczy nie uznawał – kto wie, może Ib się z nim droczy – ale mimo to pojechał do Kopenhagi, bo miał być drużbą. Idąc na Frede-riksberg, gdzie mieszkał Ib, niósł garnitur przed sobą na wieszaku, ale nikogo nie było w domu, Ib mieszkał gdzie indziej pod fałszywym nazwiskiem.

122

Ojciec wędrował od mieszkania do mieszkania, Vesterbro, Osterbro, Christianshavn – tu Andersen, tam Nielsen, i jak tam jeszcze Ib mógł się nazywać – i wszystko wysłedził, aż wreszcie zadzwonił do właściwych drzwi. Wciągnięto go do środka. Ib miał podkrążone, przekrwione oczy i był poturbowany, siedział w kuchni naprzeciwko ojca i palił papierosa. „Dzięki za pomoc – zaśmiał się sarkastycznie

– pokazałeś Niemcom drogę do kryjówek i spaliłeś jedną z naszych komórek, co ty, do diabła, robisz?!" – Wstał, powiedział, że muszą się spieszyć, i zabrał ojca do jednego ze swoich towarzyszy, który miał przewieźć jego i Jeanne do Szwecji. Jeanne czekała z księdzem, raz-dwa dostali ślub i wskoczyli pod budę furgonetki. Ib krzyknął, że na pewno odda garnitur, i – bezpieczni – odjechali. Ibowi ziemia paliła się pod stopami – kilka tygodni wcześniej został zatrzymany – przesłuchiwało go gestapo, miał na ramieniu ślady po przypalaniu papierosem, ale nic nie powiedział, udawał niewinnego. Przewieźli go potem do zwyczajnego więzienia, skąd uwolnili go ludzie podziemia – nie tyle po to, by go uratować, ile by mu przeszkodzić w mówieniu – za dużo wiedział. Wrócił w czterdziestym piątym z Duńską Brygadą i przeklinał Szwedów, tych zdrajców, którzy współpracowali z okupantem. Ale największą, zawziętą, żarliwą nienawiścią płonął do Niemców, tylko czekał, żeby ją uwolnić – a następny w kolejce do żeniaczki był ojciec, i żenił się z piękną Niemką.

123

Ib, Leif i Annelise, a nawet ciotka Petra, podziękowali za zaproszenie i zawiadomili, że ich nie będzie, nikt nie chciał przyjechać na ślub. Mama stwierdziła, że dadzą sobie radę bez nich, a ojciec kupił nowy garnitur – i pojechali do Kelkheim w Taurus, gdzie mieszkała ciotka Eva z mężem, Helmutem. W końcu znalazła sobie męża. Był niski, korpulentny i pochodził z dobrej rodziny – tylko ci dwoje i babcia byli obecni w ratuszu. Potem kawa i ciastka i ślub w pustym kościele, szybki cmok w usta, i Helmut zawiózł ich wszystkich do Königstein, gdzie mieli spędzić noc w eleganckim hotelu położonym w parku, hotel nazywał się Sonnenhof. Wieczorem poszli razem do restauracji – Haus der Lander – ojciec zachował na pamiątkę rachunek. Jedli pasztet z gęsich wątróbek i tosty „mit Butter” za 4 DM, zupę żółwiową za 7 DM, chateaubriand z frytkami, sosem berneńskim i sałatą za 12 DM, a na deser sorbet. O 22.30 było po uczcie weselnej i wszystko razem z napojami kosztowało 135 DM.

Mama nazywała się teraz Romer Jorgensen, Hil-degard Lidia Voll Romer Jorgensen. Pierwszą rzeczą, jaką jej odebrano, było nazwisko: nie wolno jej było nazywać się Romer, ojciec nic nie mógł na to poradzić – rodzina zastrzegła nazwisko. Mama ususzyła bukiet ślubny i schowała go. Mimo wszystko używała nazwiska ojca, ale w jej paszporcie nie widniało. Paszport był niemiecki i ona była Niemką – i miała to odczuwać. Gdy chodziło o mamę, ojca i naszą rodzinę, druga wojna światowa wciąż jeszcze trwała, a miasto Nykobing było pod okupacją.

124

W następnym sezonie mama wróciła do cukrowni i dalej pracowała w laboratorium, pensję, jak to wtedy było normą, oddawała ojcu, a on wydzielał jej pieniądze na prowadzenie domu, co tydzień dwadzieścia pięć koron. Nie na długo to starczało, dla mamy wszystko było droższe, ciążyła na niej wina, płaciła i płaciła i nakrywała do stołu na balkonie mieszkania na Nybrogade. Serwowała ojcu zupę z homara, befsztyki i rieslingi i melony i torty – był przecież chudy jak tyczka od fasoli, mówiła, całując go w policzek – a na urodziny dostawał szalik z prawdziwego kaszmiru. Ojciec znalazł szczęście, a gdy opowiadał o tym na próbach chóru Brage, chórzyci nie wierzyli własnym uszom i z pretensją pytali swoje żony, dlaczego za te same pieniądze nie uzyskują tyle co ona, dlaczego nie wymyślą czegoś innego, wciąż tylko ta kapusta.

Nie mówiąc nic o tym, mama sprzedała jeden z obrazów z Kleinwanzleben i w tajemnicy otworzyła sobie w Niemczech konto i trzymała na nim swoją część pieniędzy ze sprzedaży – Eva i babcia dostały swoją część – wykorzystywała je na osłodzenie codzienności z ojcem i na stawianie jej czoła. Odpowiadała na szykany i była szykanowana, krążyły plotki – i sytuacji bynajmniej nie polepszał fakt, że przeprowadzała w laboratorium analizy zawartości procentowej cukru. To one decydowały o tym, ile chłopci dostawali za buraki, więc wnieśli skargę, wyniki były za niskie, ale ona nie zmieniła nawet dziesiątej części ułamka – choć ścigali ją również zarządzający

125

cukrownią, bo dyrektor Arnth-Jensen zatrudnił ją, nie pytając ich o zdanie. Trudno było powiedzieć, kto nienawidził jej najbardziej, sama pogarszała sytuację tym, że, jak mówiono, zadzierała nosa. Gdy latem nadszedł czas na wielką wycieczkę chóru Brage, na którą chórzyci zabierali rodziny, z lunchem w Virket, mamy nie zaproszono, więc ojciec wypisał się z chóru. Był niezłym drugim tenorem i puzonistą – wcześniej grał w orkiestrze harcerskiej – ale ja słyszałem go tylko na płycie analogowej chóru Brage, Jakże piękny, zielony jest las.



Nastawiał ją zawsze w Nowy Rok – siedzieliśmy w salonie i ostatni raz zapalaliśmy świeczki na choince – a gdy płyta się kończyła i pytaliśmy go, czego chce posłuchać, odpowiadał, że nie lubi muzyki.

Gdy kiedyś na spotkaniu łoży masońskiej poruszono ten temat – problem niemiecki – ojciec powiedział, że mama jest doskonałą żoną i panią domu, a potem włókł się do domu we fraku, jakby wracał z pogrzebu. Mama wypytywała go o zebranie, ale wstydził się jej powiedzieć, przebrał się i uderzeniem złożył cylinder.

Opowiedział o wszystkim później, wieczorem – oczywiście – próbował tłumaczyć, obracał słowa na wszystkie strony, ale tylko coraz bardziej się plątał. Musiał wybrać między mamą a wolnomularzami – i nigdy już nie włożył na głowę cylindera. Od tego czasu sprawy potoczyły się lawinowo, ojciec spakował swoje rzeczy i wystąpił z obrony cywilnej i przestał chodzić do klubu fotograficznego.

126

Fotografowanie było jego pasją, w biurku leżały setki zdjęć, wijąca się polna droga i żółty owies i idylliczne zagrody i piękne widoki i klify na wyspie Mon i zamek Alholm. Przypominały widokówki, byli też na nich jacyś ludzie – ale z czasem znikli z kadru. Ojciec zaprosił na obiad znajomych, mama podała „Sulzkoteletten” garniowane dekoracyjnie powycinanymi korniszonami i marchewkami – goście nakładali sobie na talerze, pili i śpiewali, gdy siadła do fortepianu, ale nikt nie zrewanżował się zaproszeniem. Środowisko, w którym obracali się rodzice, coraz bardziej się zawężało – odpadli nawet przyjaciele ojca z dzieciństwa, już nikt nie chciał się z nimi spotykać – mama wzruszała ramionami, gardziła nimi, nazywała ich proletariuszami.

Ojciec doznał szoku, gdy stwierdziła, że powinien wypowiedzieć pracę w Dansk Bygnings Assurance

– a było to ostatnie, czego mógł się jeszcze trzymać

– i załamał się. Nigdy przedtem nie płakał, ani razu, dziwnie to brzmiało, obco i głucho, mama pocieszała go i tłumaczyła, że w rzeczywistości jest w firmie ważną osobą, a formalnie tylko zaufanym urzędnikiem. Henry Mayland ożenił się ze swoim stanowiskiem i do niczego się nie nadawał, siedział w wielkim biurze i nic nie robił, bo był zięciem Damgarda, a interes prowadził ojciec – to on powinien być dyrektorem.

I ojciec złożył wypowiedzenie – zawsze robił to, co mówiła mama – i niechętnie pojechał do Kopenhagi spotkać się z Ibem i został zatrudniony w jego firmie. Ib miał biuro reklamowe, oszukiwał, prze-

127

chwał się i pił, jak zwykle. Krótko przedtem jego klientem została firma I.G. Farben i Ib powiedział, że wydymał niemieckie świny na kupę kasy, i zaśmiał się, i w kółko tylko hej-ho i wymachiwanie rękami. Mama stwierdziła, że ojciec powinien zacisnąć zęby i poczekać i zobaczyć, co się będzie działo. Minał miesiąc, a potem pół roku, nim wreszcie zadzwonił telefon – to był adwokat Victor Larsen z Dansk Bygnings Assurance. Umarł Damgard, chcieli ponownie zatrudnić ojca. Był gotów przystać na każdą propozycję, ale mama upierała się i naciskała, żeby żądał tego, co mu się należy. Nie chciała słyszeć o tym, by wyszedł ze spotkania z inną posadą niż dyrektorska – i ojciec wrócił do domu rozpromieniony, sam nie mógł w to uwierzyć – został dyrektorem, zastępcą dyrektora!

Nigdy nie udało mu się zyskać pełnego uznania w towarzystwie ubezpieczeniowym, gdzie pracował przez czterdzieści dziewięć lat i osiem miesięcy – musiał zaakceptować to, że był podwładnym Henry ego Maylanda, który nic nie robił, i całować w rękę jego żonę, a mama jej nie znosiła. Dostał nowy tytuł i nowe biuro – było małe i mieściło się na parterze, podczas gdy do pokoju, w którym w skórzanym fotelu za ogromnym biurkiem siedział Mayland, prowadziły schody – po mianowaniu i spotkaniu zarządu odbył się obiad. Mama ubrała się elegancko i ułożyła włosy, piękna jak gwiazda filmowa – ojciec był przerażony – przyćmiła panią Mayland i pokazała dyrekcji z Kopenhagi, kto tu jest żoną dyrektora! Ojciec wyprostował plecy – był coraz wyższy

128

wyższy, aż sięgnął nieba, gdy mama powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Musieli znaleźć coś większego, a podwyżka pensji pozwalała na kupno domu, mama przekonała też ojca, żeby zażądał służbowego samochodu, odpowiedniego dla dyrektora i miał to być mercedes. Dostał najmniejszy model – granatowego mercedesa 80 – ale był to jedyny taki model w mieście. I ojciec podarował mamie futro, ocelota, a ona wypowiedziała pracę w cukrowni i usiadła obok niego w

aule. Ruszył na pierwszym biegu, zmienił na drugi pojechał na przejażdżkę po Nykobing. Ze znajomymi spotkali się wtedy ostatni raz, potem zrobiło się wokół nich kompletnie pusto. W pięćdziesiątym dziewiątym zamieszkali w domu z czerwonej cegły na Hans Ditlevsensgade mama sprowadziła z Einbeck swoje meble. Przyje-hały w wagonie towarowym, wyładowano je na stacji kolejowej i przysłano do domu. I rodzice rozpakowali porcelanę i ustawili jadalnię z Kleinwanzleben, swoje miejsce znalazły kredens i stół i krzesła i srebra i patera. Małżeńskie łoże i szafy na ubrania wniesiono do sypialni, dywany rozłożyli w pokoju dziennym i mama powiesiła obrazy. Żeby postawić kropkę nad „i” otworzyli jedną z butelek wina, które zostały z zapasów Papy Schneidera – było to bardzo kosztowne wino, z 1892 roku. Aaa! – powiedział ojciec, gdy go skosztował, a mama roześmiała się – wino smakowało jak ocet, źle się z nim obchodzono i się zepsuło. Mama zobaczyła oczami wyobraźni, jak-rozlewają je członkowie kierownictwa partii w NRD,

129

którzy dostali je jako łapówkę, jak się stukają kieliszkami i jak sznurują usta. Wyjęła poszwę na pierzynę z wyszytym herbem i pościeliła łóżko. Ojciec wyjrzał na dwór, sprawdzał, czy ktoś się nie kręci, a potem zamknął drzwi na klucz i położył się obok mamy; była snem w łóżku w innym kraju.

Rano przez zasłony wpadało do pokoju słońce, skradało się po podłodze jak tygrys, a potem zaczynało lizać mnie po policzku. Budziłem się, nim tygrys mnie zjadł, już go nie było, ale słyszałem, jak pomrukuje na dworze. Byłem przekonany, że po ulicy chodzą lwy i tygrysy, czasem słyszałem też odgłosy innych zwierząt – pawianów, papug – żywopłot wokół naszego domu był po to, żeby zatrzymywać dzikie zwierzęta, jak w Piotrusiu i wilku.

To ogród zoologiczny słyszałem, śniłem o nim, odkąd nasza nauczycielka, pani Kronov, powiedziała, że pójdziemy na wycieczkę. Ustawiliśmy się w dwóch rzędach i pomaszerowaliśmy przez miasto, koło stacji kolejowej i lasku Sonder Kohave. Przy wejściu do Parku Ludowego był kiosk, gdzie sprzedawano spaghetti dla małych i lody dla dzieci.

Kozy dały się pogłaskać, ale kozły bodły, więc uciekaliśmy. Na lewo była grotka niedźwiedzi, brązowy miś tańczył, żeby dostać kostki cukru, kręcił się i kręcił dokoła w nieskończoność. Po ornym polu chodziły wśród krów antylopy, w wodzie gniły stojące na jednej nodze flamingi. Małpy gryzły kraty, robiły miny i wyciągały ramiona po spaghetti, lwy przy-

130

pominały szkielety – zgubiły grzywy – a ogromny żółw leżał na wznak, był martwy. Okropnie cuchnęło, przy wyjściu siedziała papuga – niebieska ara – kołysała się z boku na bok, dziobała samą siebie i gapiła się na mnie złymi, żółtymi oczami, nie mogłem jej zapamiętać.

Jak gdyby nigdy nic pomaszerowaliśmy z powrotem do szkoły, a za nami ryczały i pomrukiwały zwierzęta, ich głosy łączyły się w rozrywający uszy wrzask, ale ludzie w Nykobing tego nie słyszeli. Przyniosłem do domu porcelanową figurkę lwa morskiego, kupiłem ją w kiosku za kieszonkowe na słodczy, mama uścisnęła mnie i pocałowała. Postawiła lwa morskiego na stoliku nocnym i stał tam na pamiątkę wycieczki szkolnej, souvenir z piekła na ziemi.

Kilka razy do roku mama i ojciec robili wielkie zakupy. Płynęliśmy promem, stoły drgały, gdy odbijał od kei, na ścianie trzęśli się w ramach król Fryderyk, królowa Ingrid i księżniczka Małgorzata. Kobięcy głos w trzech językach życzył przez megafon szczęśliwej drogi i przez czterdzieści pięć minut w sklepie bezcłowym nie istniały granice. Płynęliśmy do Lubeki, gdzie jeden po drugim odwiedzaliśmy na deptaku sklepy. Przymierzałem krzykliwą koszulę, którą znalazła mama, i drżałem ze strachu, że będę musiał ją nosić do szkoły. Jedliśmy obiad w Rathauskeller

– Wienerschnitzel mit Pommes frites – a potem poszliśmy do cukierni, gdzie robili marcepan, Nie-deregger. Dostałem włoskie lody, a mama piła kawę

131

i paliła cygaretkę. „Takiego marcepana gibts nicht in Danemark”\* – powiedziała. Siedziała otoczona torbami pełnymi zakupów – rękawiczki, buty i suknia od Jaegera – a ojciec przyznał jej rację, w kraju nie dało się też kupić porządnej kiełbasy i prawdziwej czekolady. A potem pojechaliśmy do eldorado, gdzie w jednym miejscu skupiono wszystko, co najlepsze – Citti Grossmarkt.

To była katedra. Nawet wózki miały takie rozmiary, że musiały je pchać dwie osoby. Szliśmy wzdłuż półek i zdawało się, jakbyśmy na wszystko patrzyli przez

szkło powiększające – ogórki i korniszony były ogromne, kolorowe rurki ze Smarties długasne, bez końca, a tylu różnych rodzajów chipsów nigdy nie widziałem. Ojciec napełnił bagażnik szynką i kiszoną kapustą i kiełbaskami w puszkach i marmoladą i słonymi paluszkami i czekoladą, winem i wódką. W drodze powrotnej tył auta był mocno obciążony – jadący z naprzeciwka trąbili na nas i migali światłami, bo nasze ich oślepiały. Po powrocie do domu ojciec systematycznie wypakował towary w salonie, ustawił na stole i zrobił zdobyczy zdjęcie. A potem przeniósł do spiżarni w piwnicy i zrobił notatkę w swoim kalendarzu. Rejestrował wszystko, ceny i ilości; maggi, Dr Oetker, nutella. W kuchni dostaliśmy frankfurter-ki, mama podała je z musztardą i buraczkami i powiedziała „mmm”, ojciec skinął głową i szybko sięgnął do garnka po jeszcze jedną. Zdawało się, jakby robili zapasy na wojnę, i w pewnym sensie tak właśnie było.

\* Z niem.: (...) nie ma w Danii.

132

\*

Ciotka Annelise była dzieckiem króla Christiana z nieprawego łoża i mówiła o sobie „księżniczka Ann”; gdy odbierała rentę inwalidzką, uważała ją za swoje apanaże. Była wariatką, znałem ją z ledwie kilku nieszczęśliwych przypadków, gdy odebrałem telefon, a ona na drugim końcu mówiła: „Dzień dobry, Knud, mogłabym rozmawiać z ojcem?” – Szybko przywoływałem ojca – mama i ja słuchaliśmy w napięciu – rozmowa kończyła się zawsze tym samym: „Do widzenia. Wyślę ci liścik” – mówił ojciec. Gdy tylko odkładał słuchawkę, zachowywał się, jak gdyby nic się nie wydarzyło, ale wydarzyło się, któregoś dnia rozległ się dzwonek i w drzwiach stała Annelise.

Nie mogłem uwierzyć, że to ona, ciotka Annelise, siedzi naprzeciwko mnie w salonie. Paliła jednego papierosa za drugim – ręce jej się trzęsły, próbowała to opanować i trafić do popielniczki, którą ojciec postawił na stole – a ja szalałem ze strachu, byłem pewien, że to zaraźliwe i że wkrótce wszyscy zwariujemy. Weszła mama z piwem – pod butelkę położyła srebrną płytkę, żeby ochronić mahoń – Annelise podziękowała, mówiła nerwowo, zdawało się, że za moment zacznie śpiewać, tańczyć, przeklinać i bełkotać we wszystkich językach świata.

Rodzice szeptali potem o niej w kuchni, tak żebym nie słyszał. „Nie ma mowy” – powiedział ojciec, ale mama przekonywała, że Annelise nie ma dokąd iść, nie ma nawet ubrań. Angielscy celnicy aresztowali ją za szmuglowanie pornografii – związała się z pewnym człowiekiem, którego poznała na Nyhavn – am-

133

basada odesłała ją z powrotem do Danii, do Oringe Hospital, ale ona zamiast w szpitalu, jest w drodze do Kopenhagi. W gruncie rzeczy jak zwykle chce pieniędzy, ojciec powinien dać jej trochę, a zniknie tak samo szybko, jak się zjawiała – i ojciec ustąpił i pozwolił Annelise przenocować.

Nigdy nie słyszałem tylu zakazów naraz. Uszy mi puchły, nie śmiałem myśleć o tym, że w pokoju gościnnym w suterenie śpi ciotka Annelise. Gdy następnego ranka przyszła na górę, ojciec wręczył jej kopertę, a mama trochę ubrań i przeznaczone do wydania futro. Annelise przejrzała się zadowolona w lustrze i obrzuciła nas takim spojrzeniem, jakby oczekiwała, że padniemy na kolana – a potem hop na orne pole i prosto do Kopenhagi i wymachiwała pięścią. „Tu cuchnie śmiercią i zgnilizną!” – wołała.

Rozpieszczano ją od dnia, gdy pierwszy raz otworzyła oczy – jedyna córka, do tego najmłodsze dziecko – cały czas miała urodziny. Była ładna i stawiała na swoim i bawiła się ludźmi, jakby byli lalkami, a oni robili, co im kazała, i brali udział w zabawie. W okresie dojrzewania zachowywała się coraz bardziej pretensjonalnie. Czytała pisma z romansidłami i chciała zostać aktorką i uczyła się tańca u Birgitte Reimer. I flirtowała z jej mężem, chociaż był stary i miał dzieci w jej wieku. Jednego dnia była gwiazdą filmową w drodze do Hollywood, drugiego zakonnica, a potem wszystko odwoływała. Gdy w Nykobing zacumował przepływający w pobliżu królewski okręt, chodziła, jakby połknęła kij – plotkowano, że król Christian miał w mieście romanse – tygodniami była

134

damą dworu i nie dało się do niej zbliżyć. Uważała, że wyrasta ponad swoje otoczenie, a gdy przyniosła ze szkoły uwagę, dziadek powiedział, że to tylko bujna fantazja.

Annelise marzyła o wyjeździe z Nykebing, pragnęła życia w wielkim mieście, a jej

największą przyjemnością było kółko teatralne. Żyła dla przedstawień w hotelu Baltic. Na scenie była sobą, rozwijała skrzydła w pełnych napięć dramatach, grała Desdemonę i Norę, i już zupełnie nie potrafiła zejść na ziemię. Po przedstawieniach imprezowała, zaczęła pić i spotykać się z mężczyznami, nie miała jeszcze osiemnastu lat, gdy zaszła w ciążę z fotografem Larsem Kruselem, który robił jej zdjęcia – wzięli ślub za specjalną zgodą króla i Annelise wyjechała z Nykobing.

Wyprowadzili się do Haderslev, urodziła im się dziewczynka, Pernille, ale Annelise nie tak to sobie wyobrażała. Nie odgrywała żadnej roli, świat nie kręcił się wokół niej – gotowała pieluszki, robiła obiady – z każdym dniem zwyczajnego życia po trochu umierała. I znowu zaczęła bywać w barach i poznała pewnego lekarza z północnej Zelandii, Jorna--Erika, uwiodła go i wyszła za niego za mąż. Był od niej dużo starszy, rozwiódł się i ona też się rozwiodła i wzięła z sobą Pernille – i zaczęło się słodkie życie w Kopenhadze, teatr, restauracje, tańce. Piła koktajle, paliła przez rurkę, a Jorn-Erik wypisywał recepty i zaopatrywał ją w narkotyki, z których utkane były marzenia – lekarstwo na nerwy i morfinę. Została nawet gwiazdą, zagrała w jednym filmie, a sukces ten nie miał końca.

135

Z reguły chodziła skwaszona i przygnębiona – ale odmieniała ją każda wizyta w toalecie. Używała teatralnej szminki i ubierała się w dramatyczne satynowe szaty z cekinami i piórami, które wokół niej powiewały. Gdy szła z córką ulicą Bredgade, ludzie odwracali się za nimi, a Pernille chowała głowę w ramionach i patrzyła w ziemię. Dotarły do placu zamkowego Amalienborg, Annelise zatrzymała się i wskazała na pałac: „Widzisz, to tu!” Podeszła do bramy i zadzwoniła. Czekwały i czekały, aż wreszcie jakiś człowiek otworzył i spytał, w czym może pomóc. Annelise zmierzyła go od stóp do głów i spytała, co sobie wyobraża? Czy nie wie, kim ona jest – księżniczką Ann! Mężczyzna zatrzaskał drzwi, a one sobie poszły, ale po kilku tygodniach znów tam były.

Jorn-Erik nie mógł nic na to poradzić, uzależnił się od niej tak samo, jak ona od lekarstw. Był miękkim, bladym mężczyzną, a ona zaspokajała wszystkie jego żądze, jeśli tylko zaopatrył ją w pastylki, ajerkoniak i pieniądze na ciuchy, buty i utrzymywanie dworu – jej znajomi przychodzili w odwiedziny i brali udział w tej grze, pili i śmiali się z niej. Urodziła jeszcze jedno dziecko, syna Klause, ale nie zajmowała się nim. W domu panował totalny chaos, nie jedli obiadów, Annelise nie zmywała naczyń i nie prała ubrań, a Pernille nie chodziła do szkoły. Wreszcie któregoś dnia Jorn-Erik miał tego dość. Gdy przyszedł do domu, meble leżały na ulicy wyrzucone z okna ich mieszkania na trzecim piętrze, a wokół tłoczyli się ludzie. Jorn-Erik zamknął drzwi, Annelise wyrzuciła z siebie potok słów, krzyczała, że

136

powinien paść przed nią na kolana. Zrobił to i błagał, żeby przestała, żeby się opamiętała, ale ona tylko wściekała się jeszcze bardziej; miał się do niej odtąd zwracać jej królewskim tytułem.

Był najwyższy czas wziąć się w garść i coś z tym zrobić – choć bał się, że będą sprawdzane jego recepty – powiedział jej, że mają zaproszenie na bal do pałacu Corselitze, który latem odwiedzała rodzina królewska. Annelise wystroiła się w długą suknię, wyfryzowała, obwiesiła biżuterią – i zaczęła narzekać na ich samochód – volvo! – że jest nieodpowiedniej dla nich klasy. Cały czas mówiła o marszałku dworu, opowiadała plotki o fryzjerach i pannach pokojowych i miłosnych aferach wyższych sfer. Koło Vordingborga Jorn-Erik skręcił w kierunku Marienberg, gdzie na końcu alei stały duże, białe budynki. Annelise poprawiała w lusterku włosy i szykowała się do wielkiego entree – oczy jej promieniały, była w odświętnym nastroju – i wkroczyli do Oringe, szpitala dla psychicznie chorych. To, że szpital dla psychicznie chorych był największym miejscem pracy w Vordingborgu, zdecydowało o losie sprawy – jeśli Jorn-Erik myślał, że łatwo pozbędzie się żony, to się mylił. Wychowała się kilka kilometrów na południe od tego miejsca, za mostem, wszystkich tu znała i od razu zorientowała się, o co chodzi. Wymieniała porozumiewawcze spojrzenia z pielęgniarkami i z lekarzem wypełniającym „Wniosek o przyjęcie do szpitala osoby psychicznie chorej”. Gdy skończył pisać, podniósł na nich wzrok, mrugnął do Jorna-Erika i podał Annelise formularz do

137

podpisania, i Annelise podpisała, a potem przyszła kolej na Jorna-Erika.

Uśmiechnął się, zbliżył pióro do papieru i zmartwiało. Coś się nie zgadzało – to niemożliwe! – nazwiska były błędnie wpisane, nie ona miała być przyjęta do szpitala, tylko on, Jorn--Erik Molby! Rzucił pióro, pokręcił głową i spytał, co tu się właściwie dzieje. To nie on jest chory, tylko ona – wskazał na Annelise i wstał z krzesła – jest lekarzem, wie, o czym mówi! Annelise westchnęła, jak gdyby słyszała to już setki razy, a lekarz ze zrozumieniem skinął ku niej głową. Powiedział, że aby kogoś przymusowo położyć w szpitalu na żółtych papierach, trzeba, rzecz jasna, podpisu szefa policji, ale da się to załatwić przez telefon – i spytał, czy mąż jest niebezpieczny dla innych czy tylko dla siebie. Opowiedziała mi o tym Pernille, chuda dziewczyna ze spinkami we włosach, przerażona jak myszka. Spotkaliśmy się na pogrzebie w Herlev, staliśmy razem przed kościołem, a rodzina wokół nas była podzielona na wzajemnie się ignorujące grupy. Większości osób nigdy wcześniej nie widziałem, znałem ich tylko z opowiadań, zdawało się, że nie istnieją w realnym świecie. Ciotka Annelise była w żałobie, na głowie miała czarny welon, wielki kapelusz, do tego długie czarne rękawiczki. Szlochała jak opętana, a Jorn-Erik blady i złamany smutkiem rozmawiał z Hanne i Jensem, komandorem marynarki wojennej – byli rodziną zastępczą Pernille – do towarzystwa przyłączył się wuj Ib i pomachał mi. Miał piwny brzuch i mama podbiegła, chwyciła mnie za rękę i powiedziała, że musimy już wracać,

138

no i pojechaliśmy do domu, w aucie panowało przygnębienie.

Po wycieczce do Vordingborga Annelise miała Jorna-Erika w garści – wciąż jeszcze było zagadką, jak uniknęła szpitala – groziła, że jeśli nie będzie się odpowiednio zachowywał, odbierze mu dzieci. Śmiejąc się, machała mu przed nosem szpitalnymi papierami i Jorn-Erik poddał się i robił, co mu kazała, no i pocieszał się morfiną i drinkami. Mama powiedziała, że mniej lub bardziej jest niewolnikiem Annelise, i pokręciła głową. „Dość już na ten temat” – przerwał ojciec i włączył radio, ale zaraz je zamknął, bo zabrzmiała muzyka. Próbowaliśmy o tym nie myśleć, ale było to, oczywiście, niemożliwe.

I trwało to tak latami, aż wreszcie Annelise straciła zainteresowanie małżeństwem i zgodziła się na separację w zamian za wysokie alimenty. Zatrzymała syna, Klause, i Jorn-Erik wyprowadził się. Pernille oddano na wychowanie i z czasem Jorn-Erik stał się stałym bywalcem domu Hanne i Jensa. Robił przed kolacją drinki i ogrzewał Hanne, gdy komandor był na ćwiczeniach na morzu. Spędzali razem Gwiazdkę i razem jeździli na wakacje do oddalonej od świata zagrody, i utrzymywali ten trójkąt, aż któregoś dnia zadzwonił telefon i bomba wybuchła. Dzwoniła policja z wiadomością, że syn Jorna-Erika, Klaus Molby, nie żyje. Znalaziono go powieszzonego na drzwiach kuchennych w mieszkaniu Annelise Romer Jorgensen, wszystko wskazywało na to, że popełnił samobójstwo, są jednak pewne okoliczności, o których chcieliby porozmawiać – w mieszkaniu zna-

139

leziono między innymi duże ilości morfiny, valium i amfetaminy, a także recepty podpisane jego nazwiskiem – i czy zna niejaką... księżniczkę Ann?

Mieszkaliśmy w obłożonym domu. Ojciec wszystko zabezpieczał, kiedy nadchodził Nowy Rok i było szczególnie nieciekawie – dzieci bez przerwy dzwoniły do drzwi, wrzucały przez szparę na listy petardy i uciekały. Ukradli nam furtkę do ogrodu, przewrócili w garażu pojemnik na śmieci, postawili nam na kominie choinkę, którą dostrzegliśmy dopiero następnego dnia, gdy wszyscy ją już zobaczyli i śmiali się z nas. Ojciec nienawidził sylwestra, dzwonek do drzwi zablokował papą, szparę na listy zakleił, zdjął furtkę i wstawił ją do szopki, a na koniec porozciągał druty, przez które można się było przewrócić. I cały czas mówił o fajerwerkach. Że to niedobry zwyczaj, że powinno się tego zabronić i ciekawe, ile w tym roku spłonie krytych słomą domów – nie wspominając o oberwanych palcach i zranionych oczach.

Pewnego razu na Nowy Rok przyjechała w odwiedziny rodzina Hagenmiillerów ze swoimi trzema synami, Axelem, Reinerem i Clausem. Fantastyczny był widok auta wuja Helmuta jadącego naszą ulicą. Było dużo większe niż nasze, ale ojciec mówił, że nasze jest cztery razy droższe ze względu na podatki; gdybyśmy mieszkali w Niemczech, mielibyśmy mercedesa 500! Odebraliśmy z dworca babcię, Axel wziął jej walizki, Reiner otworzył drzwi, a Claus usiadł obok niej na tylnym siedzeniu i pod-

140

lizywał się. Robili to tylko po to, by dostać słodycze i pieniądze, wykorzystać

babcię i odebrać mi ją, a ja pragnąłem, żeby zniknęli gdzie pieprz rośnie, i nie przyszło mi do głowy, że to właściwie jest tu.

Mama nakryła stół miśnieńską porcelaną, mieliśmy jeść homara i marcepanowe ciasto i pić szampana. Wcześniej kupiła serpentyny, śmieszne papierowe kapelusze i to, co najlepsze z wszystkiego: fajerwerki. Powiedziała, że ma być odświętnie i że na nowy rok trzeba odpędzić złe duchy. Ojciec westchnął, a ja przez cały wieczór cieszyłem się na nadejście północy. Panował kiepski nastrój, ojciec porównywał niemieckie i duńskie ceny wszystkiego między niebem a ziemią i mówił o podatkach, Helmut kręcił głową, że też mogą być w Danii takie wysokie, to jednak niewiarygodne! Najważniejsze było, żeby nie poruszać delikatnych tematów, przede wszystkim spadku.

Papa Schneider nie spisał przed śmiercią testamentu, Eva była bezpośrednią spadkobierczynią – „blutsverwandt” – i dlatego w zasadzie jedyną. Kiedy nareszcie nadeszła rekompensata za straty we wschodnich Niemczech – „Entschadigung” – wzięła wszystko, było to niepojęte. Jak mogła to zrobić, skrzywdzić własną matkę i siostrę? Zdawało się, że pękł jakiś wrzód i wylały się z niej skargi i oskarżenia – że babcia nigdy nie kochała jej ojca i wyszła za niego dla pieniędzy, że Hilde była „Tochter des hochgeliebten Heinrich Voll”\*, podczas gdy

\* Z niem.: Córka bardzo kochanego Heinricha Volla.

141

ona sama „Tochter des nicht so hochgeliebten Papa Schneider”\*, że siostra ukradła jej wszystkich mężczyzn i zniszczyła życie! Krzyczała, wrzeszczała, wpadała w histerię. I babcia i mama dostały tylko te osiem procent, do których miały prawo, ani procenta więcej, mama oddała swoją część babci i poprzysięgła zemstę.

W mahoniowym radiu usłyszeliśmy ratuszowe dzwony – na tę okazję radio zostało podłączone do kontaktu – i wznieśliśmy eleganckimi kieliszkami toast, Eva i Helmut i Axel, Reiner i Claus i babcia, a gdy ja stuknąłem się z mamą, ojciec powiedział: „No, no, ostrożnie”. Mama paliła cygaretkę, powiedziała, że jest przyjęcie, chwyciła torbę z fajerwerkami i wyszła na ulicę odpalać rakiety. Zapalała lonty żarem z cygaretki – najpierw syczały, a potem wysoko w górze eksplodowały, wypełniając niebo morzem gwiazd i złotego deszczu – a po policzkach babci spływały łzy: „Ach, wie schön”.

Ludzie wyszli na ulicę i patrzyli – były słońca i komety, rozpryskiwały się fontanny i rozkwitały wachlarze kwiatów, które potem na nas spadały. Pokaz zamknął potężny wybuch i zrobiło się cicho. Z domu dochodziło wycie, trwało i trwało. To Eva, w czasie wojennych bombardowań doznała szoku, który nie mijał – stała w jadalni skamieniała, biała jak kreda, a jej krzyk był jak pęknięcie w porcelanie.

\* Z niem.: Córka nie tak bardzo kochanego Papy Schneidera.

142

„Zarżnęli go – powiedziała mama – zarżnęli Horsta Heilmanna”. Powiesili go na rzeźnickim haku. Jej głos sprawiał mi ból, należał do innej kobiety, która mieszkała w mamie i dawno umarła. Bałem się, chowałem się w swoim pokoju, gdy się wyłaniała i jej zimne, nieobecne oczy patrzyły na mnie zza grobu. Mama piła, żeby to kontrolować, ale tylko pogarszała w ten sposób sytuację. Za każdym razem, gdy opróżniała butelkę wódki, mówiła: „Vollstreckt”. Było to szarego zimowego dnia w grudniu 1942 roku. Zakład karny Berlin-Plötzensee leżał za murami i stalową bramą, budynki i wewnętrzne dziedzińce zabezpieczono drutem pod prądem i ogrodzeniem z kratami. W korytarzu śmierci błyszcząły wypolerowane podłogi, a przez środek biegł zielony pas linoleum, którego nie wolno było przekraczać. Lśnił niczym lustro – „blitzblank” – i to było straszne.

Przed drzwiami do cel stały stołki, a na nich więzienne ubrania złożone skrupulatnie, jak w wojsku; spodnie, kurtka, skarpety – na górze miska na jedzenie, pod spodem buty. Oświetlenie było słabe – oszczędzano ze względu na wojnę – panowała cisza i atmosfera beznadziei. W celach siedzieli Horst, Harro, Libertas i Arvid i Mildred, i inni z Rote Ka-pelle i czekali, aż po nich przyjdą i zebrali w myślach o pomoc, ale nie było na nią szans.

Niektórzy próbowali uciekać, mieli nadzieję, że unikną przeznaczenia. Rudolf von Scheliha zablefo-wał, że w Cafe Kranzler ma spotkanie z sowieckim agentem, którego wyda. Zamówił kawę i czekał, nagle wstał od stołu i skrył się za jednym z gości idą-

143

cym do toalety – i wybiegł kuchennymi drzwiami wprost w ramiona policjantów, śmiali się z niego. Ilse Stóbe planowała jedną ucieczkę za drugą, próbowała wszystkiego, w celi śmierci uprawiała seks ze strażnikiem, który chciał ją uwolnić, i jego też powieszono.

Schulze-Boysen, by zyskać na czasie, próbował triku. Powiedział im, że wysłał do Sztokholmu dokumenty stanowiące poważne zagrożenie dla niemieckich armii. Miał zdradzić, co to za dokumenty, i powiedzieć całą prawdę, gdyby mu zagwarantowano – w obecności jego ojca – że stracenia zostaną odłożone. Desperacko liczył na to, że wkrótce front się załamie, że rozpocznie się rosyjska kontrofensywa i Stany Zjednoczone wypowiedzą Niemcom wojnę. Komisarz Panzinger zgodził się na sprowadzenie ojca, oficera marynarki pochodzącego z rodziny wielkiego admirała Alfreda von Tirpitz. Harro zagrał swoją kartę, ale w końcu musiał wyjaśnić, że prawda na temat dokumentów w Sztokholmie jest taka, że nie istnieją, i handel się skończył.

Niemiecki wywiad radiowy naprowadził na trop meldunek dla agenta „Kenta” z Brukseli. Przechwycono go w październiku czterdziestego pierwszego, ale szyfr udało się złamać dopiero, gdy gestapo pół roku później zatrzymało radiooperatora, Johanna Wenzela. Złamały go tortury i zdradził klucz do tajnych meldunków, były wśród nich adresy i numery telefonów trzech osób kontaktowych w Berlinie, w tym Schulze-Boysena.

Horst Heilmann pracował w wywiadzie i gdy się

144

zorientował, że zostali nakryci i że ich obserwowano, próbował ostrzec Harro, Johna Graudenza i innych, ale było za późno. W poniedziałek 31 sierpnia 1942 roku Schulze-Boysen został aresztowany w ministerstwie lotnictwa, a pięć dni później na Matthaikirch-platz zatrzymano Horsta. W następnych tygodniach do sprawy włączył się Himmler – polowanie ruszyło w Berlinie i w całych Niemczech – w piwnicach więzień gestapo na Prinz-Albrecht-Straße i w Moabicie zamknięto ponad sto dwadzieścia osób.

Piętnastego grudnia czterdziestego drugiego w Reichkriegsgericht w Berlinie-Charlottenburgu prokurator generalny odczytał akt oskarżenia: „W imieniu narodu: przewod dowodowy uprawnia konkluzję, że organizacja ta nie przejęła żadnej żywej tajemnicy dotyczącej niemieckich działań wojennych. Każdego musi przerażać myśl, że tajemnice Niemiec leżały odkryte przed oczami wroga”.

Sala sądowa była skromnie umeblowana, Horst, Harro i Libertas siedzieli wśród policjantów i dziesięciu innych głównych oskarżonych, mieli wychudzone twarze. Na sali było tylko kilku obserwatorów, większość w mundurach – naziści chcieli uniknąć procesu pokazowego, bo cała ta sprawa – ruch oporu, jego zakres i prominentni członkowie – była dla nich trochę wstydliva i niebezpieczna. Oświadczone, że chodzi o tajemnicę państwową – w gazetach nie było nawet notek – a zatrzymanych oskarżono o zdradę stanu.

Ponieważ wielu spośród nich służyło w wojsku – Schulze-Boysen był oficerem w Luftwaffe – sprawę

145

rozpatrywał sąd wojskowy, a sędziami byli dwaj generałowie, admirał, marszałek senatu – jako przewodniczący składu sędziowskiego – i jeden cywilny asesor. Oskarżycielem był Oberstkriegsgerichtsrat Manfred Roeder, słynący z pogardy dla ludzi, chłodu i brutalności. Był sługusem nazistów i wszelki opór przeciw reżimowi bezlitośnie karał jako zdradę stanu; oskarżeni wiedzieli, że muszą umrzeć.

Arvid Harnack nie robił tajemnicy ze swoich przekonań, wygłosił dwudziestominutową mowę obronną. Przyznał, że uważa ZSRR za jedyny na świecie bastion zdolny stawić opór nazizmowi, i zakończył słowami: „Die Vernichtung des Hitlerstaates mit Allen Mitteln war mein Ziel”\*. Mówił cichym, zmęczonym głosem, brzmiało to niemal formalnie, jakby się poddał, ale inni walczyli do końca. Schulze-Boysen przyznał się w sprawach, którym nie dało się zaprzeczyć, i zaprzeczał tym, których Roeder nie mógł udowodnić, liczył na to, że gestapo nie wytropiło całej organizacji. Pośpiech, z jakim przeprowadzano aresztowania, znaczył, że wielu osobom udało się uciec, i wciąż brakowało członków o decydującym znaczeniu w tej rozgałęzionej, europejskiej sieci: „Kenta”, Fritza Bocka, Paula Robinsona, Gilberta, radiooperatorów, kurierów, rosyjskich agentów. Jeśli w ogóle ich wymieniano, to nie pod prawdziwymi nazwiskami, a żadna tortura nie mogła ich wydobyć z więźniów na Prinz--Albrecht-Strasse, bo ich nie znali.

\* Z niem.: Unicestwienie hitlerowskiego państwa wszelkimi środkami było moim

celem.

146

Proces trwał cztery dni. Erika von Brockdorff – elegancka blondynka – roześmiała się, gdy Roeder zażądał dla niej kary śmierci.

– Ihnen wird das Lachen schon vergehen\* – rzucił Roeder.

– So lange ich Sie sehe, nicht\*\* – odparła. Wyrzucono ją z sali, ale okazało się, że miała rację, skazano ją na sześć lat ciężkiego więzienia, również Mildred udało się ująć z karą więzienia. Jednak Hitler nie uprawomocnił wyroków i w nowych rozprawach skazano je na karę śmierci. Zginęli wszyscy – czterdzieści pięć osób skończyło na szafocie, kobiety stracono gilotyną, mężczyzn powieszono – a Horst Heilmann w ostatnim słowie powiedział tylko: „Ich möchte mit Schulze-Boysen gemeinsam sterben diirfen"\*\*\*.

Dwa dni przed Gwiazdką – 22 grudnia 1942 między 20.18 a 20.33 – stracono w Berlin-Plötzensee pierwszych jedenastu członków ruchu oporu. Skazańców przyprawiono do skrzydła więzienia III, a stamtąd wchodzili na mały dziedziniec. Na jego końcu stał niski budynek z pobielonym wapnem pomieszczeniem bez okien, podzielony na środku czarną kotarą. Za kotarą stała gilotyna, a w tylnej ścianie były małe cele z czarnymi zasłonami, gdzie skazanych wieszano. Arvid Harnack siedział ze związanymi na plecach rękami i słuchał Prologu w Niebie z Fausta, w ostat-

\* Z niem.: Wkrótce odechce się pani śmiać.

\* Z niem.: Jak długo pana widzę – nie.

\* Z niem.: Chciałbym móc umrzeć razem z Schulze-Boysenem.

147

nich godzinach życia czytał mu go książkę, a jego amerykańska żona, Mildred, tłumaczyła w celi śmierci na angielski wiersze Rilkego. Hilde Coppi karmiła piersią synka. Harro Schulze-Boysen napisał do rodziców pożegnalny list: „Wierście razem ze mną w czas, który nadejdzie, gdy zwycięży sprawiedliwość. Teraz w Europie w sensie duchowym sieje się krew. Podaję Wam wszystkim rękę i ronię łzę (tylko jedną) jako pieczęć i dowód mojej miłości, Wasz Harro". Zabierano ich ze skrzydła śmierci pojedynczo i prowadzono przez dziedziniec do zimnego korytarza.

Pod długą ścianą ustawiono tam stary stół, a za nim stał prokurator krajowy. Było dziesięciu, może piętnastu świadków – jedni zawstydzeni i przerażeni, inni ciekawscy, aroganccy, nienawistni – wszyscy milczeli. Naprzeciwko stali kaci, główny kat miał na głowie wysoki jedwabny cylinder, pozostali byli w czarnych garniturach. W czterdziestym drugim nie stosowano już w czasie wykonywania wyroków śmierci żadnych ceremonii – za dużo było tych wyroków – chodziło tylko o to, by sprawę załatwić jak najszybciej.

– Czy nazywa się pan Harro Schulze-Boysen? – spytał prokurator pierwszego skazanego, którego wprowadzono ze związanymi z tyłu rękami.

– Jawohl\* – Harro Schulze-Boysen odpowiedział sucho, wyzywająco, twardo.

– Przekazuję pana do wykonania egzekucji kary śmierci.

\*Zniem.: Tak jest.

148

Zdjęli marynarkę, która wisiała na jego nagich ramionach, a on dał znak trzymającym go strażnikom, że chce pójść sam. Puścili go i szedł wyprostowany, w zdeptyanych kapciach, w kierunku rampy, gdzie z rzeźnickiego haka zwisał skórzany pas.

Hitler rozkazał powiesić ich na rzeźnickich hakach, żeby ich śmierć była bolesna i upokarzająca, specjalnie dla nich zbudowano szubienicę z ośmioma takimi hakami. Harro Schulze-Boysen stanął na ramie i z pogardą spojrział na świadków – i czarną ko-arę podciągnięto. Z celi wyszedł człowiek w jedwabnym kapeluszu – przez chwilę było widać drgające ciało – i kotara opadła za plecami kata. Zrobił krok w kierunku prokuratora i oświadczył:

– Das Urteil ist vollstreckt\* – i uniósł ramię w hitlerowskim pozdrowieniu.

Jak na komendę otworzyły się drzwi do holu i prowadzony przez dwóch więziennych strażników wszedł następny skazany.

– Czy nazywa się pan Arvid Harnack?

– Jawohl.

– Das Urteil ist vollstreckt.

– Czy nazywa się pan John Graudenz?

– Jawohl.

– Das Urteil ist vollstreckt.



- Czy nazywa się pan Kurt Schumacher?
- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.
- Czy nazywa się pan Hans Coppi?
- \* Z niem.: Wyrok wykonany.

149

- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.
- Czy nazywa się pan Kurt Schulze?
- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.
- Czy nazywa się pan Herbert Gollnow?
- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.
- Czy nazywa się pani Elizabeth Schumacher?
- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.
- Czy nazywa się pani Libertas Schulze-Boysen?
- Jawohl.
- Das Urteil ist vollstreckt.

I tak wymordowano ich taśmowo, bez słowa.

- Powiesili ich jak świnie w rzeźni – powiedziała mama i opróżniła do dna butelkę wódki. Myślała o Horstchen, „Das Urteil ist vollstreckt”. Ból brzmiał w jej głosie, ostrym i przenikliwym, ostrze jej bólu wydobywało się z twarzy i ugodziło mnie w serce – wpatrywała się we mnie – a ja umierałem z przerażenia i nie wiedziałem, kim ona jest.

Szkoła leżała obok fabryki wyrobów odlewniczych Guldborg, dym z komina unosił się nisko nad szkolnym podwórkiem i osmalał budynki i rozprzestrzeniał się niczym konfetti. Był wszędzie – we włosach i w odzieży i w książkach – chodziło się z brudnymi rękami, a gdy padał deszcz, po twarzy spływała sadza, a na ulicy były czarne kałuże.

150

Chodziłem nie do szkoły, tylko do zakładu karnego, i każdego dnia dostawałem lekcję. Do klasy wkraczał nauczyciel i stawał za katedrą, my siadaliśmy za pulpitemi – ja miałem pulpit tylko dla siebie – i było dyktando i czerwone kreski w zeszytach do wypracowań. Obojętnie, jaką mieliśmy lekcję – historię, duński, geografie czy rachunki – zawsze chodziło o to samo: słuchać i robić, co każą. A jeśli nie chciało się słuchać, to dostawało się w ucho i trzeba było chodzić na zajęcia pomocnicze, a tam dzieci miały wszy.

Generalnie nauka polegała na siedzeniu cicho i powtarzaniu tego, co mówią nauczyciele – Wołga, Dunaj i Gudena i dwa dodać dwa to cztery – a najważniejsza była miłość ojczyzny i nienawiść do Niemców. Na lekcji historii słuchaliśmy kazań na temat wojny 1864 roku i Dybbol Molle\* – wszystko ukazywano w kontekście wojny – i słuchaliśmy o klubie Churchilla i Montgomery ego i o obozach koncentracyjnych; nauczyciel kręcił głową, jakie to nieludzkie. Na geografii spuszczano przed tablicą mapę, państwa miały na niej różne barwy, Niemcy były czarne, ZSRR czerwony, i Dania do rzeki Eider też. Na lekcjach duńskiego czytaliśmy Gwiazdy chcą świecić, a w Klubie Jana i we wszystkich innych książkach w bibliotece Niemcy byli źli. Na lekcjach śpiewu panna Molier siadała przy pianinie, na rozgrzewkę śpiewaliśmy Spójrzcie przyjaciele na mapę Danii i Dania pomiędzy

\* Jeden z najważniejszych duńskich symboli – młyn dwukrotnie zniszczony w walkach z Niemcami i dwukrotnie odbudowany.

151

morzami i darliśmy się, fałszując Oto przed chwilą spadł deszcz. Panna Molier była bojowniczką o wolność, w czasie okupacji przeszmygłowała przez most Christiana IX w torebce ręczny granat! Gdy innym dzieciom dzwonek oznajmiał czas radości, dla mnie oznaczał czas próby, starałem się jakoś przebrnąć przez przerwę. Dzieci na lekcjach nauczyły się, kim byłem. Byłem niemiecką świnia, a mama hitlerówką i zadzierającą nosa, wypindrzoną panią dyrektorową. Większość czasu spędzałem otoczony przez grupę chłopców i dziewczynek, popychali mnie, pluli i chórem wrzeszczeli. Najgorzej było, gdy czepiali się mamy: „Hilde-gaard, Hilde-gaard” – beczeli jak kozy, sztucznie się śmiejąc. Uszy od tego bolały, wstydzilem się i gdy pytano mnie o

imię mamy, nie odpowiadałem. A przed dzwonkiem kończącym przerwę wrzucili mnie pod pompę – woźny stał odwrócony tyłem i nie reagował, niczego nie widział. Przyszedłem na lekcję spóźniony i ociekający wodą i dostałem burę – czyżbym nasikał w spodnie? Klasa wybuchła śmiechem, a mnie wysłano do domu, żebym się przebrał.

W klasie b była jeszcze jedna osoba, nad którą się pastwiono, Nina Westphal. Miała długie, ciemne włosy, jej ojciec był inwalidą, chorował na stwardnienie rozsiane i poruszał się na wózku. Dzieci dręczyły ją z tego powodu i chociaż była dziewczyną, przewracały ją i biły – jej ojciec był spazmatykiem! Widziałem, jak siedzi sama na parapecie okna, jak z roku na rok jest coraz bardziej roztrzęsiona. Zaczęły się nerwowe drgawki, szklane oczy, dziwne

152

zachowania i nerwicowe reakcje z błahych powodów

– a potem zniknęła. Nie wiem, czy jej rodzina wyprowadziła się z Nykobing, czy też ją gdzieś wysłano, w każdym razie wymknęła się. Niczego tak bardzo nie pragnąłem dla siebie.

Czytałem Jenningsa w internacie i marzyłem, że to ja nim jestem, ale za każdym razem, gdy po powrocie do domu oznajmiałem, że już więcej do szkoły nie pójdę, rodzice mówili, że na pewno wszystko się zmieni, muszę tylko wytrzymać, mogę za to dostać, co tylko chcę. Więc żądałem naleśników, coca--coli, pism z komiksami. Wszystko to dostawałem, i wszystko wracało – w piątej, szóstej, siódmej klasie – aż pewnego dnia, gdy wyprowadzałem ze szkolnego podwórka rower, zobaczyłem w bramie mamę w ocelocie. Przeraziłem się.

– Mamo, co ty tu robisz?

– Idź do domu, idź – powiedziała. Dostrzegła Michaela, jednego z najgorszych, i – w futrze i na szpilkach – zaczęła gonić go po ulicy. Nie mogłem znieść tego widoku, popedałowałem w swoją stronę i wiedziałem, co będzie w szkole następnego dnia. Stali przygotowani z metalowymi rurkami i prętami, Jorgen, Poul, Jesper, a na czele Michael – mogłem równie dobrze ustawić się pod murem i czekać, aż mnie rozstrzelają.

Z Nykobing kojarzyłem wyłącznie strach, nie śmiałem iść ulicą i jeśli gdzieś się wybierałem, zazwyczaj szedłem bokami – i zawsze się spóźniałem. Nie mogłem

153

wybrać Gronsundsyej, bo wtedy trzeba było przechodzić koło baru Jaegergrillen, gdzie grzali motorowery

– trzybiegowy „Puch” dla chłopców, z oparciem i wysoką kierownicą, „Puch Maxi” dla dziewcząt – ubrani w niebieskie dżinsowe kurтки z nieodłączną szcnotką w kieszeni na piersi. Dziewczyny bez przerwy szcnotkowały włosy, a chłopcy używali ich do bójek – krew wyłaniała się z wzorku w kropki – aż nazbyt często tego próbowałem. Poszedłem tam z ojcem po pół kurczaka z frytkami – kupowaliśmy kurczaki, gdy mamy nie było w domu – przy automacie do gry gapili się na nas Śmierdzący John, Jesper i Sten. Coś tam głośno mówili o „kiełbasianych Niemcach”, i „tu nie można kupić Sauerkraut”\*

– a Sten zbliżył się do nas i popchnął mnie. „No nie, co ty sobie wyobrazasz?!”

– powiedział ojciec, a on tylko się roześmiał. Zabraliśmy kurczaka w aluminiowym opakowaniu i tackę z frytkami i pojechaliśmy do domu, ale ja nie mogłem przełknąć ani kęsa, patrzyłem na ojca, miałem nadzieję, że ich zabije.

„Wariatka Johanne! Wariatka Johanne!” – wrzeszczały dzieciaki, a wieść już obiegła kilka ulic na zapas, gdy przez miasto ciężkimi krokami szła Johanne, ciągnąc za sobą ogon smrodu. Nosiła łachmany i zdeптane buty i niemal nie było jej widać pod szmatami, w które była zakutana – jeśli w ogóle ktoś śmiał w jej stronę spojrzeć. Na ramieniu dźwigała worek, patrzyła wprost przed siebie i powtarzała: „Precz, precz, precz!”

\*Z niem.: kiszona kapusta.

154

Przerażała nas, gdy tylko wyłoniła się zza rogu, piszczeliśmy i uciekaliśmy. Jej dom stał przy Ostre Alle – okna były zabite deskami – za płotem rosły chwasty i stosy śmieci. Jeśli się rzuciło kamieniem i zawołało: „Wariatka Johanne!

Wariatka Johanne!”, wybiegała z domu z siekierą nad głową i krzyczała – ale ja trzymałem się z dala.

Przez Bispegade też nie mogłem chodzić, więc prześlizgiwałem się pod wielkimi czerwonymi budynkami szkoły technicznej, ryzykowałem, że mnie napadną, zwłaszcza zimą, gdy spadł śnieg, policzki szczypały i czerwieniały od krwi, bo w twardych śniegowych kulach krył się gruz. Ulice wokół Ostre Skole były niebezpieczne,

przechodzenie pod tunelem niepewne, a przez tunel prowadziła najkrótsza droga, prosto pod torami kolejowymi – ale oni stali tam na czatach, nie dało się im wymknąć, więc idąc do miasta, wybierałem daleką drogę dookoła dworca, pod mostem i dalej przez Vesterskovvej.

Na Frisegade była gospoda – gdy Paul Fisker się upił, bił wszystko, co się ruszało, a w soboty był tam striptiz – więc z sercem w gardle szybko pokonywałem Slotsgade, bo mogłem natknąć się na Tommyego. Mieszkał z ojcem na tyłach sklepu i czyścił maszyny do pisania, był młodocianym kryminalistą, wyciągał siedemdziesiąt pięć na godzinę na swoim motorowerze – posiekanym, podziurawionym, z podrasowanym silnikiem. Tommy rządził od chwili, gdy się zjawił – w szóstej klasie – dziewczyny za nim szalały, rysowały na piórnikach serca i wypisywały jego imię literami flower-power. Tommy i Gert włóczyli się

155

z rockersami, Gert jąkał się i miał łuszczycę – chodziły plotki, że przyszedł do swojej matki w jej urodziny, zaciągnął ją pod prysznic i zbił. Obaj dostali emblematy do przyczepienia na plecach – zostali przyjęci do wizardsów, którzy mieli siedzibę w jednej piwnicy na Strandgade. Cały rejon portu, Sydhavn, to był teren zakazany, Lindeskoven też. Zaczęto tam budować betonowe bloki i otwarto klub młodzieżowy. Chłopaki mieli fryzury jak Torben Lendager, palili papierosy, pili piwo i słuchali zespołu Gasolin, dziewczyny nosiły rurki, chodziły w drewniakach i słuchały Walkersów – nigdy nie przeszedłem na drugą stronę Gedservej.

Kiedy do Nykobing przyjeżdżało wesołe miasteczko, rozbijało się na placu, który nosił nazwę Cementen. Wesołe miasteczko migotało i hałasowało jak sklep z zabawkami – samochodziki, powietrzne gondole, strzelnice, automaty do gry – można było kupić gofry i popcorn, pachniało kiełbaskami, ale była to kraina dla mnie zamknięta. Jeden jedyny raz, gdy odważyłem się wejść, żeby posłuchać na żywo Sir Henry ego, znalazło się kilku wizardsów, Gert mnie rozpoznał i kazał pozostałym trzymać mnie i nasikał mi na spodnie. Koło dyskotek, do których chodzili imprezować – Den Rode Pimpernel, Ellens Ranch – bałem się przechodzić nawet za dnia, a w piątki spotykali się na stacji kolejowej i rozgrzewali na skwerze koło Łabędziego Stawu; nie wychodziłem na miasto po zmroku.

Chłopcy grali w klubie B1901 i w soboty na stadionie odbywały się mecze – nie śmiałem tam cho-

156

dzić – ojciec mówił, że piłka nożna jest dla idiotów. Więc kupiłem w kiosku nadziewane cukierki i angielskie ciągutki z lukrecją i w hali sportowej przyglądałem się z góry, jak dziewczyny grają w piłkę ręczną – grały w klubie NFH\*, a ja byłem zakochany w jasnowłosej Susanne. Próbowałem schować się przed Śmierdzącym Johnem, który szedł na zapasy – jego strój sportowy nigdy nie widział prania i John śmierdział jak kupa gnoju – wyczułem go węchem, zanim uderzył – niemal rzygałem po ciosie pięścią w brzuch, i więcej do hali sportowej już nie poszedłem.

Kto ostatni przychodzi, ten sam sobie szkodzi – gdy tworzone drużynę, nie zostałem do niej wybrany, bo wepchnęli mnie do wody, na pływanie, i ukradli mi z szatni skarpety i buty. Odmówiłem pójścia z chłopakami do ogrodu Skarupa, żeby kraść jabłka – stała tam szopka, w której się spotykali i wykonywali kary – latem nie jeździłem z nimi na plażę. Ostatnim razem, gdy to zrobiłem, czekała na mnie pułapka – powiedzieli, że będzie Susanne, chce mnie o coś zapytać – i pojechaliśmy rowerami, z rącznikami i kąpielówkami na bagażnikach. Droga prowadziła przez Lindeskoven, pod błękitnym niebem rozpościerały się pola i łąki, skręciliśmy w lewo w drogę wijącą się do Tjasreby i Stovby i dalej do Marielyst. Paliło słońce, nad groblą drgało powietrze, przebraliśmy się w rowie i na wyścigi pobiegliśmy

\*NFH – Nykobing Falster Handboldklub – Klub Piłki Ręcznej Nykobing Falster.

157

do wody – i wpadłem do dziury po brzegi wypełnionej meduzami.

Powierzchnia posypana była piaskiem, żeby nic nie było widać, przeszkadzali mi w wydostaniu się z pułapki tak długo, aż ich to znudziło, wtedy dopiero dali spokój i poszli się kąpać. Pozbierałem swoje rzeczy i pojechałem z powrotem – całe ciało swędziało – z daleka ominąłem zajazd Kjorupa i rynek w Marielyst, gdzie pracowali w czasie wakacji – kiosk z lodami, plac kampingowy, minigolf. Zdzierali z turystów i kpili z nich i cieszyli się za każdym razem, gdy jakiś Niemiec utonął pociągnięty na materacu przez fale na szerokie morze – pojechałem

dalej, aż do Elkenore, gdzie nie było ludzi.

Na szkolną zabawę przystrojono salę gimnastyczną, w jednej z klas urządzono bar z napojami, w innej garderobę. Uczniowie młodszych klas wchodzili do sali, trzymając się za ręce, tańczyliśmy w dużym kole O, boogie, woogie woogie, ale później trzeba sobie było radzić samemu. Chłopcy przynieśli w plastikowych torebkach piwo – Bla Nykobing – a dziewczyny schowały w toalecie butelkę czerwonego martini i co chwilę chodziły tam czesać się i nakładać na powieki niebieskie cienie. Kochałem się w Susanne od pierwszej klasy – jej ojciec był piekarzem, miał sklep na Solvej, kilka przecznic od nas, nad drzwiami piekarni wisiał rogalik, a Susanne od czasu do czasu stała za ladą. Co niedzielę naciskałem dzwonek u ich drzwi i pytałem, czy jest w domu. Musieliśmy być cicho, bo jej ojciec spał – wcześniej wstawał – oglądaliśmy w salonie telewizję razem z jej mamą i te-

158

lewizor był całkiem ściszony, czekałem, aż Susanne wreszcie powie: „Pójdziemy do mojego pokoju?” Godzinami siedziałem obok niej na łóżku i nie wiedziałem, jak ją pocałować – może najlepiej spytać, a gdybym tak objął ją ramieniem i trzymał za rękę? Nigdy nic z tego nie wychodziło – nawet wtedy, gdy się żegnaliśmy, bo zamykała drzwi, nim zdążyłem ją pocałować – i następnej niedzieli znów do nich przychodziłem, i kolejnej też, aż wreszcie zdecydowałem się iść na szkolną zabawę.

W sali gimnastycznej panował półmrok, dokoła wisiały girlandy i flagi – migały dyskotekowe światła – cuchnęło potem, brudnymi ręcznikami i gumiakami. Chłopcy stali przy drabinkach w jednym końcu sali, dziewczyny siedziały na ławkach w drugim, parkiet był pusty, a muzyka grała – Bay City Rollers dla dziewcząt, Nazareth i Status Quo dla chłopaków – wszyscy czekali, aż zabawa się zacznie. I zaczęła się, gdy zabrzmiał Hey, Were going to Barbados! i kapitan samolotu przywitał pasażerów: „Captain Tobias Wilcom welcoming passengers aboard Coconut Airways' Flight 372 to Bridgetown!” – dziewczyny wstały z ławek i ostrożnie zaczęły tańczyć w grupie. Nim płyta się skończyła, byli przy nich pierwsi chłopcy, reszta dołączyła przy New York Groove grupy Hello, potem była Sugar Baby Love i Magie Pilota, a jeszcze potem Mud i Showaddywaddy, aż wreszcie zaczął się zbliżać koniec zabawy i kulminacyjny punkt wieczoru – przytulany. Przyrzekłem sobie, że to zrobię, i zacząłem szukać Susanne – puścili If You Think You Know How To

159

Love Me grupy Smokie, to był znak – ale przy wejściu do sali gimnastycznej zobaczyłem Tommy'ego i Michaela z kilkoma innymi z klubu młodzieżowego. Tamci zostali przy drzwiach, a Tommy poszedł w kierunku dziewczyn i wyprowadził Susanne na parkiet do przytulanego. Przy następnej piosence – I Occ, Ym not in love – zaczęli się całować, całowali się i całowali, a ja nie mogłem wyjść, bo musiałbym przejść koło tych w drzwiach, a Michael już miał mnie na oku. Nie było innego wyjścia, zresztą nie miało to już znaczenia – ręka Susanne penetrowała spodnie Tommy'ego, puścili Gilberta O'Sullivan'a Alone again, naturalny – chciałem już tylko umrzeć, skończyć z tym raz na zawsze, chwyciłem jakąś butelkę i ruszyłem prosto do wyjścia.

Jak daleko sięgam pamięcią, pragnąłem wyrwać się z Nykobing i z domu, w którym wyrosłem. Nigdzie nie mogłem chodzić, stale musiałem być czujny, poruszałem się na minimalnej przestrzeni – było to jak chodzenie po linie – ulica rozciągała się na długość moich kroków, prowadziła z garażu do szkoły i z powrotem. Wszystko skurczyło się do kamienia w mojej kieszeni – grzechoczącego kamienia – ojciec mówił, że pochodzi z morza kredowego, nikt nie wiedział, jak jeden kamień dostał się do środka drugiego – dodałem go do mojego zbioru w szufladzie. Leżały tam muszle, jeże morskie, stare kanapki z szynką owinięte w staniol, odłamki granatu od

160

wuja Helmuta, i co tam jeszcze trzymałem, nikomu nie pokazując. Zbierałem wszystko – gdzieś to musi być, na pewno znajdę – szczęście czekało za rogiem. Trzeba tylko kierować się nosem, jak na Wielkanoc – ciepłej, zimniej, gorąco, gorąco, i okazywało się, że na półce z książkami leży jedno jajko, pod lampą drugie i jeszcze jedno w paterze. Gdy w Hamburgu szliśmy z babcią na spacer do lasu – „Osterspaziergang”\*

– coś błysnęło w trawie, a tam jajka owinięte w żółte i czerwone i niebieskie złotka. „Der Osterhase war der\*\* – mówiła babcia, a ja prawie w to wierzyłem.

Było to długie poszukiwanie skarbu, szedłem za tropami – znajdowały się wszędzie – w ogrodzie szukałem czterolistnej koniczyny, na ulicy monet – zazwyczaj okazywały się resztkami gumy do żucia, ale nigdy nie wiadomo, co się znajdzie – i grzebałem w stosach gruzu w poszukiwaniu strzałek. Pochodziły od uderzeń pioruna i gdy się jakąś znalazło, kopał człowieka prąd, a wieczorami wyglądałem spadających gwiazd. Gdy orali pola, jeździłem rowerem w gumiakach do Falkerslev na poszukiwanie kamiennych toporków i grotów oszczepów i leżałem na nabrzeżu w porcie i patrzyłem w wodę. Pachniało smołą i zgniłymi wodorostami, liczyłem pływające w ławicach rybki, łowiłem kraby, na przynętę miałem zawieszoną na sznurku głowę pła-stugi.

U naszych sąsiadów, państwa Hansenów, były

\* Z niem.: Spacer wielkanocny.

\* Z niem.: Był tu zajaczek.

161

orzechy laskowe – Hansen pracował w odlewni i bez przerwy kaszlał – zbierałem też kasztany w ogrodzie biskupim, muszle winniczków, plastikowe kółka do robienia łańcuchów i szklane kulki. Wuj Helmut dał mi kawałek górskiego kwarcytu i skamienielinę z ośmiornicą – nazywało się to amonit – która trafiła na półkę do moich eksponatów wystawowych.

Najlepsze z wszystkiego były znaczki – kłębiły się w kartonowym pudełku jak motyle, gdy siedziałem i porządkowałem je w jadalni, popołudnia miały jak chwila. Znaczki były oknami na świat, większy i bogatszy, niż można to sobie było wyobrazić, pełen królewskich głów i obcych krajów jak Helvetia, Suomi, i ten najpiękniejszy z wszystkich: Formosa. Gdzieś w wielkim świecie czekały na mnie papugi, orchidee i różowe chmury, próbowałem je znaleźć, podróżowałem po całym globie, oglądałem piramidy, przemieszczałem się parową lokomotywą – a potem pocztą lotniczą do Thule i dalej fregatą do Włoch. Byłem na olimpiadzie w Meksyku i witałem się z królem Fryderykiem IX w kolorze czerwonym, a gdy na dnie pudełka zamigotały znaczki gwiazdkowe, odkrywałem, jak jest późno, zbierałem siły, przykrywałem pudełko wieczkiem i już się cieszyłem na podróż następnego dnia.

Byłem pewien, że jestem na tropie wielkiej tajemnicy, i ruszyłem na poszukiwanie, jak w seriach Tajemnica o... i Ich pięcioro, i jak w książce Emil und die Detektive\* – zacząłem myśkować w ca-

\* Erich Kastner, Emil i detektywi.

162

łym domu. Szukałem, obstukiwałem ściany przedpokoju, nasłuchiwałem, czy nie kryją się w nich tajemne drzwi, musiały tam być, odgłos był głuchy. Najbardziej nieprzyjemna była kotłownia – kocioł chodził tuż pod moim pokojem – widziałem ją pełną wisielców i grających w karty czarnych kotów i wszystkiego, co najgorsze u braci Grimm. Minęło wiele lat, nim ośmieliłem się tam wejść – otworzyłem drzwi, macałem ścianę w poszukiwaniu włącznika światła, wszystko mogło wyskoczyć z mroku – ale kotłownia okazała się tylko szarym i ciepłym pomieszczeniem, w rogu burczał piec. Nie było czego się bać – tokarka, krzesła ogrodowe, kartony z butami i gazetami i różnymi gratami, które ojciec uporządkował i odłożył – nigdy nie wiadomo, do czego mogą się przydać – a za zasłoną stał stary kufer.

Był to rodzaj kufra, z jakimi wyjeżdżano do Ameryki – czarny, zniszczony i tak duży, że mógłbym do niego wejść – spostrzegłem napisane gotykiem inicjały: F.S. To był kufer Papy Schneidera. Nie mogłem wytrzymać z ciekawości – co też się w nim kryje? – i zapukałem – przez krótką chwilę bałem się, że wyjrzy z niego Papa Schneider – ale kufer był zamknięty. Na pewno krył mnóstwo skarbów. Może Papa Schneider polował na wielkiego zwierza? Oczami wyobraźni zobaczyłem go na sawannie, w korkowym kasku na głowie, to znów w smokingu na pokładzie statku oceanicznego. Kufer trafił do naszej piwnicy z jednego powodu: żeby mnie zabrać za Atlantyk.

163

Musiałem tylko znaleźć klucz, ale nie wiedziałem, gdzie jest, a nie miałem odwagi uchwycić się pierwszej myśli: sekretera. Stała w salonie, rodzice chowali w niej kryształę, ważne dokumenty i wartościowe przedmioty. Na górze stał zegar z brązu, a na pokrywie pulpitu figurki z porcelany, które łatwo mogły spaść. Otwieranie szuflad i pokrywy było zabronione – nie miałem wątpliwości, że jest tam podwójne dno – sekretera kryła rozwiązania wszystkich zagadek. Bałem się, że zostanę złapany na gorącym uczynku i długo to odkładałem, aż w końcu już dłużej nie mogłem i jakoś samo się to stało.

Zacząłem, gdy tylko mama poszła do sklepu Olsena na zakupy – czułem się jak włamywacz, wszystko było inne, obce – musiałem się śpieszyć. Trzeba było zdjąć porcelanowe figurki i otworzyć pokrywę pulpitu, a potem postawić figurki z powrotem dokładnie tak, jak stały przedtem, żeby nic nie było widać – nasłuchiwałem, czy ktoś nie zbliżył się do drzwi, czy nie słychać kroków na schodach do piwnicy. Zegar z brązu tykał coraz głośniejsze. Grzebałem w starych paszportach, świadectwach chrztu, księgach rodowych i papierach z niebieskimi, czarnymi i czerwonymi stemplami, na niektórych widniał niemiecki orzeł. Było pudełko z biżuterią i złotymi monetami, które dostałem na urodziny od doktora Jaschinskiego, fotografie dziadków ze strony ojca zrobione przy autobusie, i rodziny z Kleinwanzleben – nie byłem podobny do dziadka, spojrzałem na Karen – to tak wyglądała, sprawiała wrażenie

164

poważnej. Ze strachu, że zostanę nakryty, wstrzymałem oddech i otworzyłem małą pokrywę.

Leżała tam brązowa koperta, na której pismem mamy było napisane: „Erinnerungen von Hildchen”\*. Ostrożnie ją otworzyłem. W środku były fotografie babci i ojca mamy, Heinricha Volla, dzienniczki szkolne, dyplomy sportowe – tenis, pływanie, jazda konna – legitymacja mamy z Arbeitsdienst, „Arbeit fur dein Volk adelt Dich selbst” i „Fragebogen fur die Entnazifizierung Hannover”\*\*. Nie miałem czasu, by dokładnie wszystko przejrzeć, szukałem dalej i znalazłem złożony list od Horsta Heilmanna datowany w Berlinie 20.8.42. U góry Horst napisał wielkimi literami „Geheim/Vernichten”\*\*\* – reszta tekstu była napisana ukośnym pismem, nie mogłem go odczytać, ale też list nie był pisany do mnie. Znalazłem jeszcze kartkę z życzeniami mamy na pierwszą Gwiazdkę u Papy Schneidera:

„Liebes Christkind! Ich bin das hildchen Voll und wohne in Kleinwanzleben. Ich wiinsche mir ein Pup-penwagen und Niisse, Apfel und Pfefferkuchen aber auch ein Weihnachtsbaum wo wir zu Weihnachten herum stehen und singen o, du fröhliche er wird ganz herrlich werden. Aber ich weiss ja gar nicht wo ich meine Schularbeiten machen soli dann wiinsche ich mir noch ein Schreibpult. Aber zum kneten auch noch ein Kasten Knetgummi. Mein Voleger  
'Wspomnienia Hilduni.

\*\*Z niem.: „Praca dla twojego narodu cię uszlachetnia” oraz „Kwestionariusz denazyfikacji”.

\*\*\*Z niem.: Pofne/zniszczyć.

165

vors Bettchen ist ganz zerissen kónnte ich nicht einen neuen haben? Und zum Kochen einen klei-nen Weckapparat. Zum Lesen ein Buch. Und einen neuen Roller”\*. Kartka była ofrankowana czerwonym znaczkiem ze śpiewającym aniołkiem i napisem „Gloria in ex-celsis deo”, 5 fenigów. Wydawało mi się dziwne, że mama była kiedyś mała. Myśląc o Hildchen Voll, wziąłem do ręki leżące w głębi pudełko, uniosłem wieczko – i uderzył piorun. Był skarb, garnek złota – śmierć. Krzyż Żelazny. Czarny krzyż z żelaza oprawny w srebro, ze skrzyżowanymi szablami i swastyką w środku, należał do mamy. Usłyszałem, że w drzwiach wejściowych ktoś przekręcił klucz.

Przez kilka lat sądziłem, że mają rację, że mama była nazistką, wstydzilem się tego, ale broniłem jej. A jednak nie tak było. Odznaczył ją generał Raeger – po wojnie – za uratowanie setek niemieckich żołnierzy od wywiezienia do Rosji. Dowiedziałem się tego od wuja Helmuta. Gdy wreszcie odważyłem się spytać o to mamę, powiedziała, że okręciła sobie wokół małego palca szefa Czerwonego Krzyża na

\* Kochane Boże Dzieciątko! Nazywam się Hilde Voll i mieszkam w Kleinwanzleben. Chciałabym dostać wózek dla lalek i orzechy i jabłka i pierniczki, ale jeszcze choinkę, wokół której będziemy mogli stać i śpiewać o, radosny będzie pięknie. Nie wiem, gdzie mam odrabiać lekcje więc chciałabym też dostać pulpit do pisania. I jeszcze do modelowania plastelinę. Dywanik przed moim łóżeczkiem jest całkiem podarty, czy mogę prosić o nowy? I mały garnek do gotowania zapraw. I książkę do czytania. I nową hulajnogę.

166

sektor wschodni, upił się ginem, wyznał jej miłość i awansował ją na „głównego urzędnika” zarządzającego ambulansami, o co go poprosiła. Wtedy zaczęła organizować ucieczki i w ambulansach szmuglowała żołnierzy ze szpitala na drugą stronę Łaby, na zachód. Nie mogła uratować Horsta, więc zapewniła bezpieczeństwo tylu żołnierzom, ilu się dało – ryzykowała życie, w każdej chwili mogła zostać

nakryta. Gdy przyszła do niej wojskowa policja, skinęła jedynie głową i poszła po płaszcz. Ale oni tylko poprosili, żeby zameldowała się u amerykańskiego dowódcy – nie aresztowali jej. I nie powiedzieli, o co chodzi – zaryzykowała i poszła do dowództwa, i okazało się, że to generał Raegener – który był w niewoli – poprosił o spotkanie z nią. Chciał o czymś porozmawiać. Wszedł do pokoju widzeń – zamiast jednej nogi miał drewnianą protezę – podał jej rękę i powiedział „dziękuję”, a potem wyjął pudełko i wręczył jej Krzyż Żelazny drugiej klasy. Leżał schowany w pudełku, z czarno-biało-czer-woną wstążką. Nigdy go nie wyjmowała i nigdy nikomu o nim nie mówiła. Widziałem go na jej piersi tylko jeden raz, w sześćdziesiątym siódmym. W Montrealu odbywała się wystawa światowa, pojechali z ojcem w swoją wielką podróż do Kanady, zobaczyli wodospad Niagara i w drodze powrotnej odwiedzili Lions Club w Chicago. Krótco potem wyrzucono ich z Lions Club w Nykobing – powiedziano, że klub nie jest na tyle „international”, żeby tolerować nazistkę – i gdy wieczorem wrócili do domu z hotelu Baltic, mama wpadła w szal.

167

Wyjęła z sekretery pudełko i przypięła sobie Krzyż Żelazny. I wyszła z domu. Ojciec stał w przedpokoju – z salonu wpadało światło – próbowałem ją zatrzymać, chciałem, żeby dała spokój, żeby przestała. Ale to już nie była mama. Nic nie słyszała, poszła z Krzyżem Żelaznym przez Grosundsvej, przez most Hojbroen i dalej przez całe miasto, i śpiewała Das Preufienlied:

„Ich bin ein Preu<sup>e</sup>, kennt ihr meine  
Farben?

Die fahne schwebt mir weif} und schwarz  
foran!

Das fur die Freiheit meine Vater starben,

Das deuten, merkt es, meine Farben an.

Nie werd' ich bang verzagen,

Wie jene will ich's wagen:

Sei's triiber Tag, sie's heitrer Sonnenschein,

Ich bin ein Preuse, will ein Preuse sein!"\*

Ojciec nie wiedział, co powiedzieć, jak to wytłumaczyć – do kolacji nie wspomnieliśmy o tym ani słowem, a mama podała Maccaroniauflauf. W każdej chwili mogła się załamać. Delikatnie zamykałem drzwi i wspierałem ją najlepiej, jak potrafiłem, przytakiwałem, podjąłem grę – tak, rzeczywiście, jasne, tak. Gdy chciałem wyjść, pytała: „Wo gehst du hin?”\*\* Obiecywałem, że szybko wrócę, jeśli długo

\* Narodowy hymn Prus. \*\*Z niem.: Dokąd idziesz?

168

mnie nie było, wychodziła z siebie, gdzie ty się po-dziewałeś? Spieszyłem się do domu i już ze schodów z piwnicy wołałem „hej!”, miałem nadzieję, że jest w dobrym humorze. Mówiła ze skargą głosem, była smutna, nawet najwzyczajniejsze zachowania stały się sztuczne, robiły wrażenie niezręcznych, brzmiały jak wyczone repliki. Wszystko wokół siebie zamieniła w tragedię, a my przyjęliśmy nasze role i występowaliśmy w tym jej przedstawieniu, jadalnia, stół, obrazy były jedynie kulisami. Gdyby któryś z nas wyszedł z roli i powiedział, jak sprawy w rzeczywistości się mają, wybuchłoby piekło. Opętał nas jakiś zły duch i ojciec siedział przy stole i prosił o sól i rozpaczliwie szukał jakiejś polisy, która by spowodowała, że wszystko samo z siebie zniknie.

Ale nie zniknęło. Mama marzyła o wyrównaniu rachunków, kiedyś widziała na stacji kolejowej komendantkę obozu z Arbeitsdienst. Zachowała się, jak gdyby nigdy nic. Co powinna była zrobić? Uderzyć ją? Opluć? Sprawiedliwość nie istniała. Mama nie wierzyła w Boga, nienawidziła Go, piła eksportowe piwo i paliła cygaretki.

„Schweigsam iiber der Schadel-sstatte óffnen sich Gottes goldene Augen”\* – wypuściła dym i powiedziała, że Manfred Roeder, generalny oskarżyciel, który ich wszystkich zamordował, został po wojnie uniewinniony! Osobiście wystarał się o to, by „łagodne” kary więzienia dla kobiet zostały zamienione na kary śmierci – żeby nie mogły zeznać policji, co się tam działo – nawet dla Liany,

\* Cytat z wiersza Psalm niemieckiego poety Georga Trakla.

169

która miała zaledwie dziewiętnaście lat. Po wykonaniu wyroku zadzwonił do ojca Horsta Heilmanna i powiedział z pogardą: „Ihn Sohn ist ausgelósch”\* i przysłał mu rachunek, 300 marek. Oskarżyciel państwowy zdecydował, że Roeder wykonał swój obowiązek, i w 1951 oddalił sprawę. Kat mógł wrócić do swojej willi w Essen i

pracować jako adwokat, ba, został nawet przewodniczącym rady parafialnej. „Rote Kapelle nie istniała” – powiedziała mama. Mogłaby wsiąść do pierwszego lepszego pociągu do Glashiitten i poderżnąć mu gardło. To gestapo wymyśliło komunistyczną organizację szpiegowską, żeby zlikwidować przeciwników reżimu. A Roeder tkał tę historię dalej i wmówił sędziom, że oskarżeni są agentami i zdrajcami stanu i że zasługują na karę śmierci. Nie mieli nic wspólnego z sowieckim wywiadem, nie działał żaden nadajnik meldunków – „ach!” westchnęła i zgasła cygaretkę. Schulze--Boysen wysłał do Moskwy tylko jedną wiadomość: „Tausend Grii(3e allen Freunden”\*\*.

Gdy ruszyła kampania cukrownicza, z komina cukrowni zaczęła się wydobywać para – w powietrzu unosiła się słodka woń – a śnieg spadał na ziemię niczym landrynki i tak też smakował. Wyciągałem język, uwielbiałem śnieg i nienawidziłem go. W miarę jak sypał, zamieniając miasto w wielkie, białe pole

\* Z niem.: Pański syn nie żyje. \*\* Z niem.: Tysięczne pozdrowienia dla wszystkich przyjaciół.

170

bitwy, we mnie powoli narastał strach, istniało ryzyko, że będą mnie napastować i prac. Dostawałem śniegiem w twarz, uszy i spodnie, jadłem go w przerwach, zasadzali się na mnie w drodze ze szkoły do domu.

Przez miasto jechały traktory wiozące góry buraków. Dzieci biegły za nimi w nadziei, że kilka buraków spadnie i będą się mogły nimi bawić – albo sprzedać za dwie korony, gdyby spadło więcej. Tłoczyły się przed fabryką, a ludzie chodzili z zadartymi nosami. „Pachnie pieniędzmi!” – mówili. Gdy świętowali, upijali się piwem Bla Nykobing i śpiewali: „Jestem z Falster, gdzie rosną buraki, buraki, buraki, buraki! Buraki, buraki, buraki, buraki, buraki, buraki, buraki, buraki!” Od rana do wieczora buraki.

Pewnego dnia byłem z mamą na zakupach w sklepie i Olsen za ladą chwycił się za głowę: „Boli mnie burak!” Nagle zdałem sobie sprawę, że ludzie w Nykobing rzeczywiście mają na karku zamiast głów buraki – może to ja czegoś nie wiedziałem?

Sprawdzałem u piekarza na Solvej, ale Susanne uśmiechała się jak zawsze, poszliśmy jeszcze do kiosku po cygaretki, chuda pani przede mną też niczym się nie wyróżniała. I tak było do końca dnia, studiowałem głowy w poszukiwaniu śladów, które mogłyby je zdradzić, łodyg, zgrubień. Gdy przyjrzałem się bliżej, wiele przypominało buraki, byłem tego coraz bardziej pewny i niedobrze mi się robiło, gdy mijaly mnie na ulicy traktory. Wyobrażałem sobie, że to transport głów, że na polu po szyję tkwią w ziemi ciała i rosną i rosną, a potem ścina się im głowy.

171

Na podjeździe do naszego domu zrobiłem sobie w śniegu dziurę, włożyłem do środka i ukryty w niej byłem polarnikiem na ekspedycji na Grenlandii – Peter Freuchensvej\* leżała tuż za rogiem. Tym razem zrobiło się późno, zapadł zmrok i zasnąłem. I nagle usłyszałem, że na zewnątrz ktoś się śmieje, więc wygramoliłem się z jamy, żeby zobaczyć, o co chodzi. Na ulicy niedaleko mnie stała jakaś postać ze świecącą głową – ogień płonął w oczach, nosie i ustach – w oknie sąsiada naprzeciwko podobna postać o trójkątnych oczach szczerzyła się do mnie wrednym uśmiechem. Wrzasnąłem i uciekłem, nie mogłem w to uwierzyć – mieli buraczane głowy i paliło się w nich światło, którego za dnia po prostu nie było widać!

Tajemnica o buraczanych polach roznosiła się – odkryłem coś przerażającego – unikałem buraków, odwracałem wzrok i nigdy nie patrzyłem im w oczy. Najgłupszy chłopak w klasie miał na imię Jesper. Mieszkał w zagrodzie za miastem i przez cały rok chodził w krótkich spodenkach. Miał grzybicę, włosy ostrzyżone „na garnek”, na lekcjach gryzł ołówki i dłubał w nosie – im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że jest jednym z nich. Niedługo potem – oczywiście! – wpadłem na niego po szkole. Siedział na schodach na Enighedsvej i wycinał coś nożem, przyglądało się temu kilkoro

\* Peter Freuchen (1886-1957) – duński podróżnik, odkrywca i pisarz, urodzony w Nykobing Falster, autor m.in. Przygody w Arktyce (1960).

172

dzieci. Podniósł oczy i coś do mnie powiedział, ale ja nie słuchałem. Nie mogłem oderwać oczu od tego, co miał w rękach: trzymał buraka, w którym wyciął usta i nos.

– Na co się gapisz? – spytał, podnosząc się, a ja zaryzykowałem:



– Masz pusto w buraku – i z całych sił zacząłem biec. Natychmiast mnie doścignął i przewrócił, ze wszystkich stron nadbiegły dzieci.  
– Bitwa, bitwa, bitwa! – wołały, a Jesper siedział na mnie i prał i wciskał mi twarz w śnieg, ledwo chwytałem powietrze, zacząłem wołać o pomoc. Jesper przestał, spojrzał na mnie z góry i powiedział to, co zawsze mówili: „Niemiecka świnia!” – I roześmiał się, a razem z nim pozostali. Spytałem, czy już mogę sobie iść, i usłyszałem, że muszę poprosić. Skinałem głową, ostrożnie się uniosłem, oparłem na łokciach i nim się zorientował, dmuchnąłem mu w twarz. Oczy wyszły mu z orbit, machał ramionami, twarz powoli zaczęła się rozmywać, z uszu wydobywał się dym, a potem głowa odpadła i potoczyła się ulicą. Dzieci rozbiegły się z krzykiem, a ja strzepnąłem z płaszcza śnieg, podniosłem buraka i poszedłem do domu. A w domu ulepiłem bałwana, któremu nasadziłem go jako głowę – i cieszyłem się tym widokiem. I jeszcze ulepiłem śniegową kulę i ugniatałem ją tak długo, aż zrobiła się twarda jak kamień.

173

Na piętnaste urodziny ojciec powiedział, żebym wyszedł na ulicę. Przed domem stał czarny trzybiegowy „Puch”. Nie miał wysokiej kierownicy ani oparcia i wyrabiał najwyżej trzydzieści na godzinę, no i musiałem jeździć w kasku – był żółty i dwa razy większy od mojej głowy, wiedziałem, że będą się ze mnie śmiać. Powiedziałem „serdecznie dziękuję”, a mama spytała, czy go nie wypróbuję. Nadepnałem na pedał i gdy puściłem sprzęgło, motorower stanął dęba – i pojechałem przez Hans Ditlevsensgade i Peter Freuchensvej i z powrotem. A potem weszliśmy do domu i zjedliśmy śniadanie.

Po południu ktoś zadzwonił do drzwi – zerwałem się, obawiałem się najgorszego – za drzwiami stał wuj Helmut. Przyjechał prosto z Oberfranken. Był niższy i bardziej pochylony niż kiedykolwiek. „Guten Tag” – powiedział i złożył mi życzenia. Poszliśmy do jadalni do rodziców, widziałem, że wuj Helmut z trudem się porusza.

„Co za niespodzianka” – powiedział ojciec, mama nalala filiżankę kawy i kieliszek koniaku, wuj nie chciał ciasta, musiał zdążyć na prom, więc od razu przeszedł do sprawy. Spytał, czy możemy zostać na pięć minut sami, i położył na stole kawałek metalu. Był to ostatni odłamek granatu, który niemal go zabił. Wuj opowiedział mi o Stalingradzie, gdzie otoczyły ich rosyjskie siły i gdzie przeżyli swój koniec. Postanowił zdezerterować, i tak miał zginać, ale udało się – jemu samemu i całej kompanii – przedrzeć się przez okrażenie, a za nimi niemiecka armia zamieniła się w lód.

174

Pomachałem Helmutowi, zatrąbił i skręcił w przecznicę – i nigdy więcej go nie spotkałem. Gdy tylko wrócił do Munchbergu, poszedł do swojej kliniki i zrobił sobie rentgena – stało się to, czego bał się najbardziej – na zdjęciu zobaczył, że musi umrzeć, miał raka – przez promieniowanie rentgenowskie – ale nikomu o tym nie mówił. Jak zwykle zjadł z Evą i Clausem kolację; Axel i Rainer wyprowadzili się już z domu. A potem powiedział: „Mahlzeit” i powlókł się na górę do swojego pokoju. Zamknął drzwi, usiadł z butelką wina i fiolką morfiny i zaczął pić i pisał w dzienniku – był przekonany, że na tamtym świecie czekają na niego przodkowie – a gdy fiolka była pusta, zapadł w sen.

Wieczorami wsiadałem na motorower i jeździłem nad morze sprawdzić, czy wciąż jeszcze jest w nim woda. Nie było nic przyjemniejszego – zostawić wszystko za sobą, stać nad Bałtykiem w miejscu, gdzie kończy się wyspa Falster i wystawić twarz na wiatr. Patrzyłem na spienione fale rozbijające się o falochron i poszedłem plażą – ciągnęła się jak okiem sięgnąć – i szukałem muszli i skamieniałych jeży morskich i niezmiennie miałem nadzieję, że znajdę bursztyn. Zdarzało się to bardzo rzadko, prawie wcale, za każdym razem okazywało się, że to tylko kawałek szkła, albo żółty pęcherz wodorostu, takie coś do niczego się nie nadawało. Kopnąłem w piasek i wszedłem na molo, rozłożyłem ramiona i machałem nimi w górę i w dół – i mewy natychmiast odlatywały, brały mnie za jakiegoś drapieżnego ptaka – a potem przeklinałem to miejsce

175

i plułem pod wiatr, a wiatr zawiewał mi moją śliną prosto w twarz. Mimo że wyprowadziłem się z Nykobing, nigdy stamtąd nie umknąłem, nigdy nie uciekłem od domu na Hans Ditlevsensgade. Rodzice żyli sami, siedzieli, słuchając tykania bornholmskiego zegara, który sprawiał, że czas posuwał się do przodu – i tylko on chodził. Wszystko inne zatrzymało się w miejscu. Nie mieli nikogo poza mną, wciąż byłem „das kleine Knudchen”. Każdą Gwiazdkę i Nowy Rok i Wielkanoc i

wszystkie urodziny świętowaliśmy razem przy stole w jadalni, i wszystko było tak jak zawsze.

Ostatnie lata ojciec spędził, opiekując się mamą, źle ją zoperowano w prywatnym szpitalu. Złamali jej kręgosłup i nie mogła się wyprostować. Chodziła najpierw o lasce, potem z balkonikiem i każdego dnia staczała walkę i patrzyła na mnie zmęczonymi, smutnymi oczami – a ja nic nie mogłem na to poradzić, nie dało się jej pocieszyć.

Chorowała coraz bardziej, narzekała na chroniczny ból w krzyżu i w pęcherzu – stan zapalny nie przechodził, ciągle musiała siusiać i w końcu założyli jej cewnik. Radioterapia poparzyła jej gardło – miała nowotwór w jamie ustnej – i jadła coraz mniej i kurczyła się w sobie. Lekarze nic nie mogli poradzić, nie potrafili nawet uśmierzyć jej bólu – nie działała żadna morfina. A gdy kiedyś upadła i złamała nogę, usztywnili ją metalową szyną i od-

176

ąd mama nie mogła się już poruszać – i położyła się do łóżka. Przynoszono im z miasta jedzenie, ojciec nie wychodził za drzwi, a potem mieszkał już w latającym domu – nie wiedział, gdzie jest – od czasu do czasu w Kopenhadze, to znów w Orehoved, albo na Nybrogade w Nykobing – świat skurczył się do jednego, zamkniętego, duszącego i mrocznego pokoju z łózkami i szafami z Kleinwanzleben. Któregoś dnia mama zadzwoniła z telefonu, który miała w sypialni, i powiedziała, że ojciec jest w szpitalu. Wsiadłem do pociągu, musiałem się nimi zająć – tylko na dwa dni, to nic poważnego, migotanie serca. Żeby usłyszeć ją w nocy, gdyby coś się działo, posłałem sobie w moim dawnym pokoju na końcu korytarza, pozostał niezmienny. Mama zwołała mnie. „Ach, wie sehe ich aus\*, jak ja tu marnie skończyłam” – narzekała. Spróbowałem unieść ją trochę wyżej, podłożyłem pod plecy poduszkę i uczesałem włosy, były rzadkie i przetłuszczone od potu.

Ostrożnie umyłem jej twarz i poprosiła o perfumy, leżały w szufladzie nocnego stolika. Potem starałem się skusić ją jabłkiem, obrałem je i pokroiłem w cienkie plastry. Wypiła nawet piwo i torebka przy cewniku napełniła się i założyłem nową, tę pełną nakłułem w toalecie i posprzątałem.

Oddałbym życie za jej życie, ale ona nie chciała mojego życia, leżała w łóżku, nie piła i nie jadła. Mogłem wyczyniać różne rzeczy, na próżno, nic nie pomagało. Spędziłem wieczór, wkładając jej do ust

\* Z niem.: Ach, jak ja wyglądam!

177

kwaskowe cukierki, bo nawilżały gardło – prosiła o cytrynowe – no i powoli zaczęło się dokręcanie śruby.

Gdy położyłem się spać, usłyszałem jej krzyk – wbiegłem do pokoju, siedziała wyprostowana na łóżku. Powiedziała, że będzie wymiotować, wybiegłem po wiadro. – Ach was seid ihr doch fur Menschen\*, zaszary kraj, zaszary, zaszary, zaszary kraj! – jęczała. Zwymiotowała pastylki, jabłko i piwo, które w nią wmusiłem. Dwukrotnie opróżniłem wiadro, a potem usiadłem na jej łóżku.

– Mamo, musisz się uspokoić – powiedziałem, a ona zaczęła na mnie krzyczeć:

– Jak mam się uspokoić, skoro wymiotuję?!

Pogłaskałem ją po policzku i zacząłem coś opowiadać, żeby zapomniała o sobie, o bólu, o ciele, żeby powoli ją tym opowiadaniem uspić.

– Pamiętasz, jak odwiedzaliśmy babcię, skręcaliśmy w ulicę, na której mieszkała, to była Ketten-hofweg numer... 108, prawda? – Specjalnie podałem zły numer, żeby ją zmusić do słuchania, poprawiła mnie:

– Nein, 106.

– No jasne! – wykrzyknąłem. – 106! Pamiętasz, że przy wejściu do domu były skrzynki na listy?

– Tak, oczywiście! – odparła.

Mówiłem dalej, że potem szło się przejściem na lewo i dochodziło do drzwi z matowanym szkłem.

\* Z niem.: Ach, co z was za ludzie!

178

– Pamiętasz? Gdy się zadzwoniło, dzwonek wydawał burczący dźwięk i babcia otwierała i wchodziliśmy schodami na górę – jak ona się nazywała, ta kobieta, która mieszkała na pierwszym piętrze, ta Żydówka?

– Frau Badrian – powiedziała mama i parsknęła, a ja potwierdziłem:

– Tak, Badrian, sympatyczna kobieta, a potem drugie piętro i już byliśmy u babci. Pamiętasz, jak tam pachniało? W przedpokoju był taki miły, dający poczucie bezpieczeństwa zapach – i te drzwi z matowym szkłem, dzwoniło, gdy się

je otwierało, żeby wejść do salonu. Jaki on był elegancki! I jedliśmy kolację, jak ja lubiłem jedzenie babci! Pamiętasz jej kuchnię, taka mała, a te patelnie i garnki takie stare, jeden miał ponad sto lat!

– Ja, wir haben immer aus unsere Sachen auf-gepasst\* – powiedziała, a ja spytałem, czy pamięta widok z balkonu przy sypialni na podwórko, na którym był pensjonat – Pension Gólz – był tam owczarek alzacki, który bez przerwy czekał, i wielkie drzewo.

– Kasztanowiec, prawda? – spytałem.

– To były jadalne kasztany – odparła – Esska-stanien, czegoś takiego hat man nicht w Danmark\*\*.

Poprowadziłem wycieczkę dalej. Mówiłem, że na Kettenhofweg przechodziliśmy obok domu, gdzie mieszkała wariatka, która zbierała rozmaite śmieci

\* Z niem.: Tak, zawsze dbaliśmy o nasze rzeczy.

\* Z niem.: Jadalne kasztany... nie ma w Danii.

179

i z ogródka przed domem zrobiła jeden wielki gnojnik.

– Tak – potwierdziła mama – kiedyś usiadłam przy niej w tramwaju, śmierdziała.

– I nigdy nie chciała się posunąć, prawda?

– Nein.

– A pamiętasz, jak się nazywała ta szeroka ulica, do której się dochodziło, ta, gdzie jeździł tramwaj?

– Bockenheimer Landstrase – odparła, a ja zawołałem uradowany:

– Tak! Bockenheimer Landstrase! Przechodziło się na drugą stronę i prosto do piekarza, uwielbiałem Pfannkuchen, a za rogiem był mały, mroczny sklep papierniczy – długopisy, zeszyty i papier we wszystkich kolorach. Prowadziła go jakaś młoda kobieta. No a jak się nazywała ta ulica, do której się dochodziło potem, ta duża, która kończyła się aż na Opernplatz?

– Goethesstrase – powiedziała, a ja ucieszyłem się:

– Ale masz pamięć! A przypominasz sobie ruiny opery?

– Nie było aż tak źle, żeby nie udało się jej odbudować – odparła.

– Tak – powiedziałem – no i dochodziliśmy do Palmengarten, tego wielkiego parku z jeziorkiem, po którym można było pływać łódką. I pływałem przez cały dzień, jak mi było dobrze! A ta palmiar-nia, wielka, cała ze szkła, gorąco jak w tropiku, i wilgotno, i palmy i studnia życzeń, a plac zabaw pamiętasz?

180

– Pamiętam – mama otworzyła oczy i spojrzała na mnie tym zimnym, stalowoszarym spojrzeniem, którego bałem się przez całe życie. – A ty pamiętasz, co się wtedy stało?

– Bawiłem się na drabinkach, miały kształt samolotu, leciałem nad wodą i nie chciałem lądować, dopóki nie dotrę do Ameryki.

– I? – spytała, a ja zawstydziłem się i przyznałem, że czekała i czekała i dostała zapalenia płuc i omal od tego nie umarła.

– Właśnie – uśmiechnęła się złośliwie, a ja wiedziałem, że nadeszło, dotarłem do końca opowieści, a ona nie zasnęła.

Rozbudziła się i była teraz tą drugą kobietą, która patrzyła przez oczy mamy. Wskazała na cukierki na nocnym stoliku:

– Kto tu położył te cukierki?

Było to straszne, nie byłem w stanie oddychać, coś uciskało mi klatkę piersiową.

– Ja.

– Dlaczego? Zabierz je stąd!

Zaniosłem cukierki do kuchni i wróciłem. Patrzyła spode łba:

– Gdzie jest pudełko?

– Jakie pudełko?

– Pudełko z cukierkami, gdzie ono jest? Wo, wo?!\* – warczała, a ja dopiero wtedy zrozumiałem.

– Ależ właśnie je stąd zabrałem, powiedziałaś,

\*Z niem.: Gdzie, gdzie?

181

że mam je stąd zabrać, cukierki posklejały się od tego ciepła w pokoju.

– Gdzie jest to pudełko? – spytała ostrym, piskliwym głosem. Musiałem się przyznać, wyrzuciłem je. Spojrzała na mnie oskarżycielsko – i dostała skurczu w nodze i zaczęła krzyczeć. Noc minęła na pocieszaniu jej i wymienianiu woreczka z moczem, chciała, żebym założył nowy, choć stary jeszcze nie był pełen, cuchnąłem uryną i wymiocinami mojej matki.

Następnego dnia nie przesypiałem jednym ciągiem więcej niż dziesięciu minut. Mama leżała z na wpół zamkniętymi oczami i wyglądała, jakby za chwilę miała umrzeć, pomagałem jej połykać pastylki. Miała wysuszone gardło, a pastylek było sporo, bolało, gdy je połykała, powinna mieć coś w żołądku, spytałem, czy chce trochę lodów – smakowały jak te, które jadalismy w Lubece, uwielbiała je.

– Nein! Duńskie lody są ze wstrętnej śmietany. – Zwymiotuje na samą myśl, o, włoski sorbet, który podają w Niemczech, to są lody! Powiedziałem, że chętnie pójdę kupić sorbet.

– W Danmark nie potrafią robić sorbetu, do niego też dają śmietanę! – I zażądała, żebym ją przewinał, zabrałem worek z moczem do łazienki, opróżniłem. I zasnąłem na podłodze.

Obudziło mnie wołanie, wpadłem do sypialni.

– Mój worek! Mój pęcherz! – krzyczała, ciągnąc za cewnik. – Gdzie on jest? Gdzie jest?! Daj mi go! – Gwałtownym ruchem odrzuciła na bok pie-

182

rzynę, rozsunęła nogi, szarpnęła za majtki i pokazała swoją intymność, miejsce, gdzie kończył się wężyk cewnika.

– Tu jest, jest tu, ciepło – mówiła, wywracając oczami, w których było szaleństwo i złość.

– Mamo, przestań, proszę cię, nic się nie stało, proszę cię! – błagałem.

– Nie! – krzyczała. – Co ty sobie myślisz?! To mój worek! To mój pęcherz! Jesteś niedobry, jesteś niedobrym chłopcem! Du bist ein böser Junge, nein!\* – A potem usiadła w łóżku, chwyciła z nocnego stolika butelkę, nalała wody do szklanki i wypila wielkimi haustami i znowu nalała i wypila, patrzyła na mnie krzywo, nie mogłem już tego znieść, wybiegłem z sypialni i na dół do salonu, bałem się, że rzuci się za mną z tą swoją chorą nogą i mnie zabije. Próbowałem dzwonić na pogotowie po pielęgniarkę, ale było zajęte, nagrałem na automatyczną sekretarkę prośbę o pomoc.

– Aaaaaa! Kund! Knud! – wołała mama z sypialni.

Pobiegłem na górę, a tam cuchnęło, od razu wiedziałem, że to się stało. Leżała w łóżku, w embrionalnej pozycji, powykręcana, wyglądała jak szkielet – dotknąłem jej szyi, żeby zbadać puls – i cofnąłem rękę gwałtownie, automatycznie, bo dotknęła tego, co najgorsze – trupa. Moja matka zamieniła się w przedmiot, stała się częścią przyrody, rozpo-

\* Z niem.: Jesteś niedobrym chłopcem, nie!

183

częły się procesy gnilne. Usta miała otwarte, oczy też, były czarne, patrzyły na mnie z daleka. Nie docierało do mnie, że umarła, trzymałem ją za rękę, głaskałem po policzku i po włosach. Mówiłem do niej, jakby wciąż jeszcze żyła:

– Siisse Mutti, ich hab' dich so lieb\*.

Zdawało mi się, że usta lekko się poruszyły, przystawiłem ucho i poczułem słodki zapach śmierci – ogarnęło mnie przerażenie, chciała przekazać mi imię, które zdradził jej Papa Schneider! Zakryłem rękoma uszy, nie chciałem go znać, patrzyłem na nią i kręciłem głową. Jej twarz była skamieniałym krzykiem.

W tej śmierci nie było nic ze spokoju. Umarła udręczona, zbolała i nieszczęśliwa. Zadzwoiłem na policję, przyjechał lekarz i stwierdził rigor mortis, wypytywał mnie o okoliczności śmierci, żeby się upewnić, że nie popełniono przestępstwa. „Popełniono – powiedziałem – ale to było dawno, dawno temu” – i lekarz zaczął wypełniać świadectwo zgonu. „Hilde-gard Lidia Voll Romer Jorgensen” – powiedziałem, kładąc nacisk na Romer. Poprosiłem, żeby ją jeszcze trochę zostawił w domu – skinął głową i wyszedł – usiadłem przy jej łóżku i czuwałem przez całą noc, rozmawiałem z nią i z samym sobą, i poprzysięgłem zemstę.

\*Z niem.: Mamusiu, kochana, tak cię kocham.

184

Rano zadzwoniłem do szpitala, żeby powiedzieć ojcu, a potem pojechałem po niego. Zajrzał do mamy – posłałem mu w pokoju gościnnym – i usiedliśmy przy stole. Próbowałem trzymać go za rękę, pocieszać, rozmawiać, ale nie dało się ani go pocieszyć, ani rozmawiać, nie miał nic do powiedzenia. W pewnej chwili zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego. „Do kogo ty dzwonisz? Co ty robisz?” – spytał. Nie wiedziałem, co powiedzieć, zrobiłem to tak dyskretnie, jak tylko potrafiłem, żeby uniknąć jego wiecznych uwag. Właściciel zakładu pogrzebowego przyszedł ubrany na czarno.

Trzęsły mu się ręce, był spięty, wyjął teczkę ze zdjęciami trumien i urn –

wskazałem na trumnę bez krzyża i na prostą urnę. Chciałem wybrać największą klepsydrę, ale ojciec wszystko zepsuł – nie i nie, i po co to, i dość tego, przestań. Na koniec umówiłem się, że przyjadą po mamę najpóźniej jak to możliwe, okazało się, że będzie to o szesnastej.

Resztę dnia spędziłem z ojcem, na wszystko narzekał, herbata była za słaba, potem znów za mocna, dlaczego przyniosłem gazetę do salonu, kto przełożył papiery, nie te talerze, co w zmywarce robią srebrne noże, nie, nie chce nic zjeść, nie, nie chce ciastka. Punktualnie o czwartej do drzwi zadzwonił właściciel zakładu pogrzebowego. Ustawili trumnę w salonie i poprosili, żebyśmy wyszli. Czekaliśmy w moim pokoju, ojciec zaczął szlochać, jakoś dziwnie, dźwięki jakby dochodziły z pus0tej skrzyni, nie mogłem tego znieść, właśnie znosili mamę na dół.

185

Zapukali do drzwi, zeszliśmy do salonu, mama leżała w białej trumnie – w miejscu, gdzie zazwyczaj stała choinka – położyłem jej pod głowę jaśka, ojciec grzebał laską w kłębku kurzu na podłodze, a potem rozdrażniony wskazał na stół:

– Co to jest?

– O co ci chodzi? Co? – nie rozumiałem.

– To, co tam leży, co to jest? Dlaczego to tam leży? Kto to tam położył?

To była torebka herbaty, którą zostawiłem na stole. Zabrałem ją, stanąłem przed trumną, trzymałem ojca za ramiona, wreszcie spytał:

– Która to już godzina? Kiedy przyjdzie pastor?

– Ależ tato, czekają na nasz znak, żeby wynieść trumnę.

Przyprowadziłem właściciela zakładu pogrzebowego, przykręcił wieko, a potem wszedł jego asystent i zabrali trumnę do samochodu.

Było popołudnie, błękitne, bezchmurne niebo, półksiężyc, właściciel zakładu pogrzebowego sztywno się uklonił i powoli odjechali – czarny samochód z białą trumną – skręcili w przecznicę, a ja spojrzałem na księżyc i przyrzekłem sobie, że zawsze, gdy zobaczę go na niebie w dzień, pomyślę o mamie.

Wróciliśmy do domu. Unosił się w nim zapach nieboszczyka. Rozsunąłem zasłony i otworzyłem okna i drzwi, żeby przewietrzyć. Ojciec zaprotestował, poprosiłem, żeby jednak pozwolił mi przez kilka minut wpuścić świeże powietrze, ale on nie chciał, był zły. Gdy przewietrzyło się z najgorszego, pozamykałem

186

okna i usiedliśmy – spytałem o klepsydrę, odparł, że ta sprawa nie dotyczy innych ludzi. Próbowałem tłumaczyć, że jeśli nie zamieścimy anonsu, to tak jakby mama nie istniała, jakby nigdy nie żyła i nigdy nie umarła, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Podniósł oczy do nieba i pokręcił głową.

Gdy czegoś chciałem, zawsze mówił „nie”, i teraz też, sprzeciwiał się zamieszczeniu anonsu o śmierci mamy i słowom „nasza ukochana” – nie chciał, żebym pisał „ukochana”, „droga” ani innych podobnych bzdur – więc zaproponowałem treść, w której były wyłącznie fakty, i pokazałem mu tekst.

– Spójrz, tato, czy tego chcesz? Mama jest tu niczym i nikim, rzeczą, kilkoma liczbami, jakby zmarła, nie mając nikogo ani niczego.

– Nie, na co to? – powiedział. Chciało mi się płakać.

Zrezygnowałem i nie pytając go o zgodę, postanowiłem przygotować anons dla siebie samego, myślałem i myślałem, co napisać, co powinno znaleźć się w tym tekście? Wreszcie pod nazwiskiem mamy i datami urodzin i śmierci napisałem trzy słówka, które wyrażały wszystko: „O suses Lied”\*. Pochodziły z Liebeslied Rilkego, która mówi o tym, że żeby wydobyć ze skrzypiec jeden ton, smyczek gra na dwóch strunach, a my jesteśmy jednym w najbardziej niewinnej, nie kryjącej znaczeń, czystej muzyce. Było to oczywiste jak okno z żałob-

\*Z niem.: O słodka pieśni.

187

nym obramowaniem, pojechałem do właściciela zakładu pogrzebowego i przejrzałem tekst razem z nim, żeby czegoś nie pomylił – załamałbym się, gdyby na klepsydrze znalazł się błąd. Wskazałem na niemiecką literę s, najważniejszą i najtrudniejszą z wszystkich liter, powiedziałem, że jest niemieckim „sz”, spytałem, czy wie, co to jest. Skinął głową, a ja jeszcze raz spytałem, czy jest tego pewien, i powtarzałem to w kółko, dopóki wszystko nie było na swoim miejscu.

Gdy przyniesiono gazetę, „Berlingske Tidende”, pobiegłem po nią do przedpokoju i otworzyłem na stronie z klepsydrami, był mój anons z ulubionym mamy: „O suses Lied”. Zacząłem czytać: „O Siibes Lied”\* – przez wielkie „S” i „b” zamiast „s”.

Właściciel zakładu pogrzebowego nie wiedział, co to jest „s”, nie słuchał, co mówiłem – zrobiło mi się ciemno przed oczami, wszystko na próżno, zawsze wszystko na próżno, to się po prostu nie mogło udać.

„Nie ma mowy o niemieckim psalmie – powiedział pastor – poza tym Znam taki cudny ogród to nie żaden psalm”. Musiałem upraszać organistę, żeby sprowadził na pogrzeb pianino, ale był temu niechętny, bo potem trzeba je będzie przetransportować i nastroić, a to kosztuje pięćset koron. Kościół był pusty i organista zagrał pieśni za szybko, żeby mieć to z głowy, a pastor, choć go o to prosiłem, nie wymienił nazwiska Romer – „Hildegard... Jorgensen

\* Słowo „siibes” w języku niemieckim nie istnieje.

188

przeżyła koszmar wojny i Hildegard... Jorgensen przyjechała do Danii w 1950 roku”.

Flaga przed kościołem była opuszczona do połowy, na zewnątrz czekał przedsiębiorca pogrzebowy i wręczył mi kopertę, do której włożył karty z wiązanek – wszystkie były ode mnie. A potem powlokłem ojca do samochodu, trzymałem nad nim parasol, bo padało. „Co robisz? – mówił. – Przestań!” Pojechaliśmy na cmentarz. „Uważaj, nie tędy, jak ty prowadzisz, dokąd właściwie chcesz jechać?” – zrzędził. Wybrałem szosę wzdłuż wybrzeża, wysiedliśmy przy Ostre Kirkegard i poszliśmy do grobu dziadów. Grabarz opuścił w dół urnę, a potem przysypał ją ziemią.

Ojciec nie chciał nagrobka. Nikomu nic do tego, po co mają wiedzieć, kto tu leży, niech pilnują swoich spraw. I nie pozostał żaden ślad – tylko czarno--biały grys i tabliczka z numerem. Wróciliśmy do domu, zrobiłem kawę, przyniosłem z jadalni filiżanki. Nie wypowiedzieliśmy ani słowa, zanurzyłem twarz w rękach i wybuchnąłem płaczem i płakałem, płakałem, płakałem. Nad mamą i ojcem i nad wszystkim, co się wydarzyło, i nad niewypowiedzianą stratą tego, co się najbardziej kocha. A potem przestałem płakać.

Poszedłem do swojego pokoju i otworzyłem szufladę. Wszystko w niej jeszcze leżało – muszle i jeże morskie i stare kanapki z szynką i kamień z uderzenia pioruna i szklane kulki, szukałem odłamków granatu, które dostałem od wuja Helmuta. Kawalek

189

po kawałku złożyłem je w całość i przede mną leżał rosyjski granat ręczny – dokładnie tak, jak powiedział wuj. Napełniłem go wszystkim, co w sobie nosiłem, bólem, rozpaczą, wściekłością – włożyłem zapalnik, poszedłem na most Hojbro i objąłem wzrokiem Nykobing po raz ostatni. A potem wyciągnąłem zawleczkę i odrzuciłem ją najdalej, jak się dało, zamknąłem oczy i zatkałem palcami uszy.

WYDAWNICTWO REPLIKA POLECA

ARNO STROBEL MAG BRACTWO

Co kryje się za śmiertelnym zamachem na papieża?

„»Mag« należy do tej kategorii książek, które, gdy weźmie się do ręki, czyta się jednym tchem.” Trierischer Volksfreund

„Habemus Papam!” Okrzyk radości z tysięcy gardeł. Chwilę później nowy przywódca Kościoła katolickiego pojawia się na balkonie Bazyliki Św. Piotra. W tym samym momencie pada strzał. Śmiertelnie trafiony papież osuwa się na ziemię. Zabójca zostaje szybko ujęty, ale odmawia zeznań, domaga się za to rozmowy z biskupem Corsettim. Dzień później biskup pojawia się w małym sklepiku spożywczym, aby odebrać kartonowe pudło, zdeponowane tam przez zamachowca. Pudło jest ciężkie -a skrywa tajemnicę o jeszcze większej wadze. Zagadkowe dzienniki naprowadzają biskupa Corsettiego na trop potężnego bractwa, które knuje niebezpieczny spisek przeciw Kościołowi...

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa:

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

Zamów telefonicznie: +48 61 868 25 37

PIOTR ROWICKI ERYK

Ciepła, pełna humoru opowieść, w której realizm i zwyczajność miesza się z niezwykłością i magią. Ludzie kochają się i kłóca, raz są pobożni a raz grzeszni. Na strychu objawia się Matka Boska, wieś terroryzuje małoletni piroman, Eryk ucieka z domu podczas srogiej zimy...

Na pierwszy rzut oka historia dzieje się w bliżej nieokreślonej współczesności, ale w tekście zostały rozsiane rozmaite sygnały pozwalające całkiem precyzyjnie określić czas. Ciekawsze jednak

od historycznego śledztwa może okazać się uświadomienie,  
co z wielkich dziejów dociera na daleką prowincję  
i co z tych dziejów zostaje.

Eryk Kowalik z Cudownego

Oto opowieść o samotności i dojrzewaniu, humorystyczna, ale także  
wściekle inteligentna. Dowcipna, choć właściwie autor nie odkrywa niczego  
nowego, jednak jego sposób narracji wciąga i intryguje. Ten opis  
społeczności, owych ludzi, postępowań. Postacie skrywają za maskami  
bezradność, czy wprost przeciwnie - despotyczną złośliwość. Są ludźmi.  
Zwyczajnymi, którzy z jednej strony potrafią przetrwać, ale z drugiej są zdolni  
do poświęceń. Jednak tytułowy Eryk jest odmieńcem. Papuga, którą nagle  
zakwaterowano na Biegunie Północnym. Nadzwyczaj inteligentnym,  
ale właściwie w pełni nieświadomym tego, co zwiemy życiem.  
Wspaniała i genialnie poprowadzona fabuła i bohater,  
który śmieszy i wzrusza.

Coś, co warto przeczytać!

(Recenzja z portalu [www.wp.pl](http://www.wp.pl))

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa:

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

Zamów telefonicznie: +48 61 868 25 37